

J. I. KRASZEWSKI

na nowo odczytany

**OSTATNIE
CHWILE**
Księcia Wojewody



WYDAWNICTWO WŁ. BAKA

W wydawnictwie naszym ukazała się znakomita powieść:

J. I. KRASZEWSKI

OSTATNIE CHWILE KSIĘCIA WOJEWODY

str. 296, format A 5, na pięknym białym papierze 80 gr. Cena 550 zł.

3-cia powieść z I-szej serii

KRASZEWSKI

NA NOWO ODCZYTANY

pod red. prof. Uniw. Toruńskiego
K. W. Zawodzińskiego

Znawstwo duszy ludzkiej, którego dowód daje Kraszewski w swych powieściach, najwyraźniej występuje w „Ostatnich chwilach Księcia Wojewody“.

Jest to szczytowe jego osiągnięcie jako psychologa. Akcja żywa i bogata, kunsztowne operowanie nastrojem, ciekawa kompozycja każą „Ostatnie chwile Księcia Wojewody“ uznać za jedno z największych arcydzieł powieści polskiej.

Słusznie pisał znakomity historyk Władysław Smoleński: „Pod względem pomysłu i wykonania „Ostatnie chwile Księcia Wojewody“ pomiędzy utworami Kraszewskiego najprędniejszą stanowią perłę“.

Powieść ta jest dowodem wspaniałego artyzmu wielkiego pisarza. Czyta się ją z niesłabnącym na chwilę zainteresowaniem.

Jest to utwór, który każdy czytelnik jest zobowiązany znać. Bez jego znajomości nigdy nie zorientuje się on w wielkości Kraszewskiego jako artysty.

Powieść powinna się znaleźć w każdym domu polskim wśród arcydzieł literatury ojczystej. Biblioteka bez „Ostatnich chwil Księcia Wojewody“ jest niekompletna.



PAPIERY PO GLINCE

OSTATNIE CHWILE
KSIĘCIA WOJEWODY

PANSTWOWE
ZAKŁADY
GRAFICZNE Nr 2
WROCŁAW
KOŚCIUSZKI 29
312 — (F 12479)

U 232528
756426 II

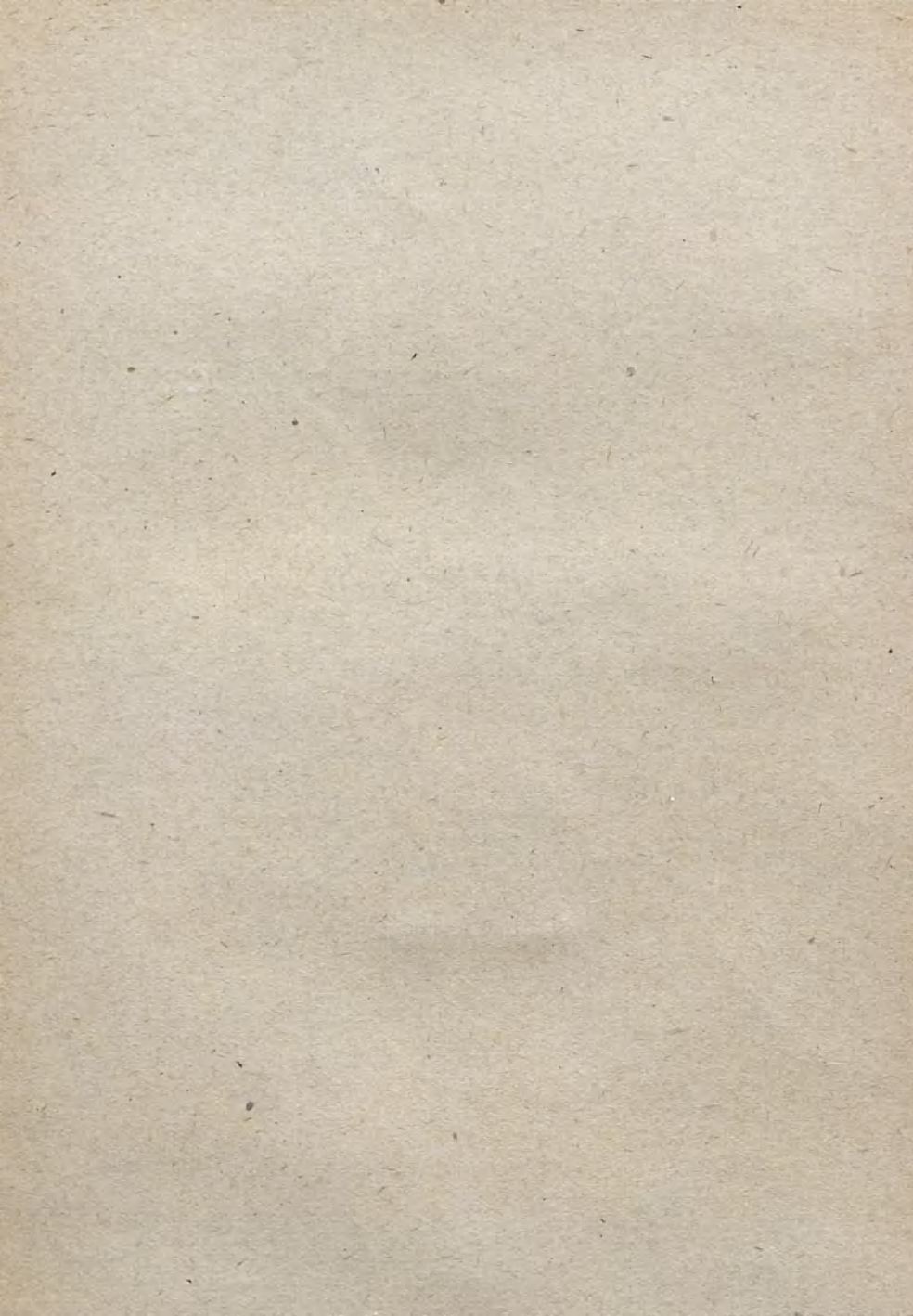
D-03/245/13



10-

20.02

PAPIERY PO GLINCE



Wiele napisano i wiele się jeszcze pisać będzie o nieśwież-
skich czasach, za rządów ordynacyi¹⁾ ś. p. księcia Karola
Radziwiłła panie kochanku, dopóki ludzi stanie, którzy jego
i żywot ów, jakiego już dziś śladu nie zostało, oglądali. Prze-
cież śmiało to powiedzieć można, iżby i na wołowej skórze
wszystkich wspomnień radziwiłłowskich nie spisał. Było na
co patrzeć i czemu się dziwować, gdy moc a potęga szła
z fantazją w parze; więc też dokazywały obie takich spraw
a rzeczy, o jakie gdzieindziej trudno. Świat przejechać a po-
dobnych nie ujrzyć. I powiedzieć można, iż wszystko co się
o tych czasach, ludziach i rzeczach prawi, nie tylko prze-
sadem nie jest, ale dużo do prawdy nie doszło. Wiele osob-
liwszych przygód dla tego już dziś powtarzać trudno, żeby
im nikt wierzyć nie chciał. Czas i ludzie byli cał²⁾ inne,
czyny też, których my celu nie rozumiemy; a często jedynym
bywało tylko pokazanie światu, iż niemożliwe możnemu panu
jest możebnem.

Historyi takich siła, ja co to piszę, pamiętam, ale nie

¹⁾ Forma władania dziedzicznego w niektórych dobrach ma-
gnackich, w Polsce rzadka: Ordynacje Nieświejska i inne — Ra-
dziwiłłów, Zamojska, Ostrogska, Pinczowska Myszkowskich — to
wszystkie w dawnej Polsce, przeważnie obciążone obowiązkiem
utrzymywania oddziałów wojskowych i fortec: Nieśwież, Zamość
i Dubno. ²⁾ Wcale.

myśle się o opowiadanie ich kusić; być tam inne, na pozór proste sobie i pospolite sprawy z aglomeracji ¹⁾ ludzi osobliwszych wynikające, które niemniej zajmować mogły umysły poważniejsze, a naturę człowieczą obserwować lubiące. Dwór ks. Karola jak jego włości i panowanie, jak bogactwa, był ogromny. Po większej części składał się on ze szlachty, z familjantów, których policzywszy rodziny, okazało się, iż niemal osobny mały światek stanowił i jakby kraj udzielny. Żył to mnóstwo w samym Nieświeżu, po dobrach i miasteczkach książęcych, ba w zamku i około osoby księcia jegomości. Doliczywszy do dworu, oficjalistów, posesorów ²⁾ wojskowe komendy, ekonomów, starych rodziny klientów ³⁾, duchowieństwo, ubogich krewniaków z dziesiątej wody po kisielu, na tysiące szła liczba. Nie brakło też i tak zwanych rezydentów różnego kalibru, którzy się z łaski książęcej, przy stole, na jurgielcie ⁴⁾ i podarkach utrzymywali, nie robiąc nic, tylko pana Boga i dobrodzieja chwalać.

Jużem to ja nigdy ludzi, co się puszczają na ów chleb próżniaczy nie lubił. Kalectwo i starość poniekąd wymawiają takich pasożytów, inaczej to już nieciekawej natury oznaka, gdy kto niezapracowany chleb łaskawy zjada. Takich darmożyjów w samym Nieświeżu było podostatkiem, bo książę, obyczajem rodziny i dla zachowania w narodzie miłości i popularności, łatwo przyjmował, ugaszczał i zatrzymywał.

Służyłem ja podówczas w regimencie ⁵⁾ księcia, a staliśmy

¹⁾ Skupienia. ²⁾ Dzierżawców. ³⁾ Żyjących pod opieką. ⁴⁾ Stałej placy. ⁵⁾ W pułku piechoty.

ciągle prawie załogą w Nieświeżu i przy dworze się kręcili. Nie było tak dalece co i robić, bo choć czasem egzerunek¹⁾ w polu sprawialiśmy, i dla dostojnych gości przyszło wystąpić, to potem tygodniami, ba miesiącami, czasu dosyć zostawało grać w mariasza²⁾ i ziewać. Książę zwłaszcza w późniejszym wieku fantazją miał wielce zmienną, rzadziej wesołą, częściej chmurną, a choć przy obcych rad był okazywać humor pański, widział to każdy bliższy, iż szczęśliwym się nie czuł. Zabawiać go też starali się wszyscy jego dworacy, przyjaciele i cokolwiek nas było koło niego.

Roilo się ludu, dzień też nie przeszedł, żeby kto obcy nie przybył, posłaniec, szlachcic z prośbą, gość, klient, kwestarz, artysta, wirtuoz lub kupiec. Osobliwie ci, co za groszem gonili po świecie, ciągnęli tu jak w dym, bo słynął książę z bogactwa nie daremnie. a gdy radziwiłłowską dumę kto zażyć umiał, sypnął niemal po królewsku. Używano wspaniałości i nadużywano. Wieszalo się więc koło naszego dworu mnóstwo przybłądów. Niektórych z nich pozbyć się było trudno, a wielu gdy raz książę Karol przyjął i prosił by zostali, zasiadali na całe lata, jedli, pili i żywili się odrobinami... a gospodarzowi z twarzy ich nazwać było trudno.

Raz pamiętam, po obiedzie, dzień był gorący i powietrze parne, towarzystwo całe, od stołu wstawszy, udało się za księciem do ogrodu. Była w nim altana grabowa, ogromna, dobrze utrzymywana, gęsta, cienista, a mogąca bodaj paręset osób pomieścić, — książę w niej spoczywać lubił, bo

¹⁾ Ćwiczenie. ²⁾ Gra w karty.

i słońca nie przepuszczała i gdyby pokropiło, nie łącno deszcz zmoczył, tak gęsto splecione miała gałęzie.

W pośrodku niej stół kamienny okrągły, dokoła także ławy i jeszcze darniowe siedzenia rzędami były ustawione. *Honoratiores*¹⁾ zasiadali na kamieniach, reszta na darni, która, chociaż miększa, miała tę niedogodność, iż wilgoć z siebie, w tem cieniستم miejscu wziętą, sączyła, ale czasu lata nie dawało się to czuć bardzo.

Chociaż już wówczas w Nieświeżu nie pito tak jak bywało dawniej, i ksiązę stracił był gust do gęstych puharów, nie obeszło się wszakże po obiedzie bez kieliszka, i ledwie do altany dwór zatoczył, słudzy tace z butelkami za nim przynieśli; pił kto chciał i co życzył. Wino na dni powszednie nie było osobliwsze, ale węgrzyn wytrawny²⁾ i dający się pić. Gdyby też lepszego dawano, nie starczyłyby piwnice na tyle gęb i gardeł. Corocznie szły z Węgier transporta, a stary zasób był niezmierny. Młodego wina nie używano, stawiono je na konserwę, a wytrawne porządkiem na stół promowano³⁾. Piwniczny księcia, co miał w zarządzie składy różnych napojów, bo tam znalazł każdy co chciał, pono ptasiego mleka tylko brakło — nie małą był figurą i dobrej też głowy a pomocników dostatkiem potrzebował, ażeby piwnicami zarządzać. Beczek było coniemiarą, gąsiorów i flaszek ani zliczyć. Krzątało się koło nich gawiedzi jak mrowia, niemców, francuzów i swojskiego drobiu. Gdy ksiązę Karol co osobliwego żądał z pod ostatniego klucza, gdzie były owe wo-

¹⁾ Wyżsi godnością, dostojniejsi. ²⁾ Wytrzymały w piwnicy.
³⁾ Wysuwano.

jewodów wileńskich miody stare, sekty¹⁾ i wina hiszpańskie, włoskie, burgundzkie, małmazje²⁾ itp. dawano na to kwity nawet. A do tych trunków kieliszki też osobne występowały małe, rżnięte, z cyframi i herbami, robione umyślnie pono w Wenecji, bom takich nigdzie nie widywał, przez przezroczyste szkło szły po nich jakby nici mleczno białe świderkiem. Gdy kieliszki te się ukazały, znak to był pewny, że nielada węgryzna nalewać miano. Przyszła czasem księciu fantazja ni ztąd ni z owąd, kazał dać omszonego — i choć dwór tak był liczny, nie minął mały kieliszeczek nikogo. Tego dnia wszczęła się o tem rozmowa, czem pragnienie gasić. Jenerał Fryczyński, który na Wschodzie był wiele, i za końmi arabskimi, i w innych poselstwach, ją przeciwko innym utrzymywać, iż woda cale pragnienia nie gasi ale je powiększa jeszcze, iż z limonjowym³⁾ sokiem też nie wiele warta, a po owocach, szczególnie figach, na Wschodzie niemal śmiertelną bywa, dodając, że nie ma w gorąco jak nie wiele, a mocnego napoju. Wszczęła się tedy dysputa *pro et contra*, jak pić i co kiedy, a większość była za tem, iż pan Bóg wodę dla umywania stworzył.

— Już ja to panie kochanku czuję, do czego waszeci zmierzacie — rzekł książę, chcielibyście radziwiłłowskiej piwnicy zajrzeć do serca... no, to niech marszałek butelczynę jaką wytrzęsie, panie kochanku, ale na dziś starszej nie, tylko księcia Krzysztofa I-go.

Wina bowiem zwały się pospolicie od imienia książąt, za

¹⁾ Wina z nad m. Śródziemnego. ²⁾ Wina greckie, słodkie, bardzo cenione. ³⁾ Cytrynowym.

których na konserwę postawione były. Księcia Krzysztofa wino sławiło się, że miało tłustości słodczy wiele... mastkie¹⁾ było, gęste a mocne. Zaden likwor mu nie dorównał siłą a o smaku mówić nie ma co. Czas jest lepszym majstrem od człowieka i gdy co chce zrobić, nie dorówna mu żaden farmaceuta.

— Za łaskawem pozwoleniem waszej książęcej mości, przerwał Fryczyński, nim skorzystamy z dobroci księcia wojewody, proszę o słówko.

— Asindziej wiesz, panie kochanku, odparł książę, iż w rzeczypospolitej nieświeżskiej wolność mówienia nieograniczona.

— Gdy się zgadało o winach, kłaniając się dokończył jenerał, nie odrzeczy by W. Ks. Mość odraportować²⁾, iż tu w Nieswieżu gości od tygodnia domagający się audjencji szlachcic jakiś, który wcale szczególną rzecz ofiarować zamysła księciu. Właśnie jednak, dla tego, iż rzecz balamutnie wygląda, niedopuszczono go...

— Mój Fryczyński, rzekł książę, po prostu z mostu bez przedmowy, mów co się święci. Straszny z ciebie retoryk³⁾, a ja tego nie lubię.

— Ale to szlachcic awantura... napytał gdzieś butelczyne, powiada, że chce księciu odstąpić wino, które miał Noe wyszedłszy z arki spreparować. Jużci trudno temu uwierzyć! różniał się Fryczyński.

— Czemu? czemu? przerwał książę — a bo z waćpana

¹⁾ Por. „omasta“ jakby tłuste, mażące się. ²⁾ Zameldować.

³⁾ Krasomowca.

niedowiarek... Ja sam o takim winie słyszałem, tylko nie było pewności, czy Noe, czy ten bestja syn jego Cham je pre-parował. Ale czemu szlachcica mi nie daliście? posucha taka... przestało się o czym gadać i czym dychać, a szlachci-caście sobie na prywatny użytek skonfiskowali.

— Kiedy bo, on, książę, — przerwał Niemeksza — szlachcic na kuglarza wygląda.

— Zapewne! a kuglarzy na świecie nie trzeba? spytał książę — co wam panie kochanku, o ludziach sądzić, dajcie mi go tu... ja go węchem poznam. Asan wiesz iż mi Pan Bóg dał, jak wszystkim Radziwiłłom ten dar, iż nosem czujemy szalbierzy¹⁾. Dla tego panie kochanku tak mi trudno z ludźmi żyć, strasznie wszystko mi śmierdzi. Ale — dawajcie szlachcica z winem Noego.

Pobiegli tedy dworzanie szukać, a książę się rozglądał niecierpliwiąc, gdy nareszcie ukazał się obiecany szlachcic, gromadnie prowadzony. Książę się nań popatrzył długo, a było na co — dalipan²⁾.

Naprzód, kaduk³⁾ go wie z jakiej on tam familii pochodził, ale twarz miał czarną, osmaloną, niemal cygańską, zarost jak smoła; do tego kędzierzawy, oczy wypukłe jak węgle, zęby długie, białe... przeciągłe oblicze grubo pofałdowane jakby w zakładki.... Tu i owdzie po niem rosły, niby kępiny brunatne, brodawki pokryte długimi włosami; ręce w których czapkę niósł, także były całe porośłe jak u niedźwiedzia... Idąc miotał się, ruchał, łamał, jak gdyby chciał kości potrzaskać, nogi mu latały, ręce się kołysały, głowa

¹⁾ Oszustów. ²⁾ Zamiast „dalibóg“. ³⁾ Zam. diabeł.

tańcowała, oczy obracały się, gęba mięła. Znać, taki miał obyczaj, czy też nań to z wielkiej radości przyszło, iż miał być nareszcie do księcia dopuszczony. Ubiór też miał na sobie choć nasz, ale osobliwszego kroju i kolorów. Szarawary karmazynowe szerokie, buty malinowe, cytrynowy żupan atlasowy, a jasno zielony kontusz¹⁾. Nie dosyć na tem, dla większej pstrocizny pas niebieski z czerwonym, a na kontuszu jeszcze szamerowanie pomarańczowe, niby ze złotem, czy szychem²⁾. Przy czapce mu się piórko kołysało jakiegoś osobliwego też ptaka, mienione niebieskie z zielonem. Szabelka była u rękojeści turkusami sadzona, znać wschodnia. Jeszcze księcia nie dopadł, gdy mu się kłaniać począł, a no tak jakby z ziemi orzechy miał zbierać... albo pokłony bić. Machnął się tak raz, drugi, trzeci, wyprostował gdyby tyczka od chmielu i stał.

— Zkąd to, panie kochanku, pan Bóg prowadzi? — spytał książę.

— Prościuteńko ze Stambułu — rzekł szlachcic.

— Cóżes wacpan za jeden, czy szlachcic i kto go rodzi panie kochanku? — spytał znowu książę.

Temu już się gęba ruszała zawczasu, taką miał gadać ochotę.

— Szlachcic z prapradziadów, zawołał, a niemałego imienia, mości książę, boć Krzyski.

— Krzyski? powtórzył książę cicho parę razy i ramionami ruszył.

— Od stu lat osiedliliśmy się teraz na Rusi... mówił

¹⁾ Kontusz wkładano na żupan którego rękawy odsłaniały rozcięte rękawy pierwszego, wyloty. ²⁾ Nić metaliczna, udająca złoto.

Krzyski, matka moja była de domo Poraitarum¹⁾, szlązanka, Anna Ildefonsa. Ojciec chorążym w pancерnej chorągwi Księcia Hetmana Koronnego. Ja też służyłem wojskowo, byłem w seminarjum, gospodarzyłem, podróżowałem, próbowałem szczęścia rozmaicie, ale mi się pochwycić nie dało..

Księżę patrzył nań bardzo ciekawie.

— Zkądżeż to waćpan — rzekł — do tego wina Noego, o którym to już słyszę, panie kochanku, mógł przyjść.

— Jedyne to, mogę powiedzieć szczęście, jakie mi się w życiu trafiło, odezwał się Krzyski. Dostałem go w Stambule.

— Przecież turcy wina nie używają, — zawołał książę — co mi to, panie kochanku duby smalone prawisz?

— Właśnie, m. książę, iż turcy wina nie piją, butelczyna się tym sposobem uratowała. Są przecież dowody wierzytelne.

Tu sięgnął za kontusz po papiery, związane pstrym sznurkiem.

— Mówże asindziej, panie kochanku, mruknął książę.

W tej chwili zjawił się w ulicy pacholek, niosący pudełko, całe żółtymi gwoździami nabijane, misternej roboty i wszyscy na to puzdro oczy zwrócili.

— Historia na którą poprzysiądz mogę, gdyby potrzeba była, jest następująca — pospiesznie zaczął szlachcic. Do Stambułu dostałem się szukając szczęścia z bursztynami, przy dworze pana wojewody, który z ostatniem poselstwem jeździł.

¹⁾ Z domu (szlacheckiego) herbu Poraj.

— A cóżeś to waszeć handlował? a szlachcic? — ofuknął książe.

— Jako żywo, nie handlowałem — obronił się Krzyski, wiozłem je w darze Sultanowi, obiecując sobie, iż mi się za to wywdzięczy. Ale tam Agi i Magi poszachrowali tak, żem i bursztynów postradał i nic za nie dostał. Bawiąc tedy w Stambule, włóczyło się szczególnie po grekach. Natrafiłem na jednego który handel prowadził ze Wschodem. Raz mnie poprosił na przekąskę i dużo o swoich podróżach do Armenii i Persji rozповідаł, jakich tam osobliwości napytał... Między innemi, rzecze, dostałem się do piwnicy, w której Noe na konserwę wino stawił. Pargaminy były przy niej świadczące, iż Sem i jego potomkowie piwnicę tę w wielkiem poszanowaniu utrzymywali. Ale, choć jej strzeżono, nie bez tego, żeby kradzieży nie było i z postępem czasu wysmoktali do kropki, tak że zostały tylko te trzy butelki. Owe trzy ostatnie kupił ów grek Andropolus za wielkie pieniądze i jedną z nich cesarzowi austrijackiemu sprzedał, drugą królowi francuzkiemu, a trzecią, mości książe, chociaż z największą w świecie biedą i utrapieniem dostałem ja, a cò się godnem okazało cesarzowi i królowi, w. ks. mości, miłostiwemu panu, którego naród nasz z cesarzami i królami obcemi na równi stawia... przynoszę, nie żądając za to *c u r i o s u m*¹⁾ i nektar nic nadto, by mi łaski pańskie pozyskał i nieśmiertelnością mógł Litwy *p a t r e m*²⁾, obdarzyć.

Rzekł, pokłonił się, nogę jedną naprzód wystawił, rękę odgiął skinąwszy na pacholka, wziął od niego owo puzdro

¹⁾ Ciekawością. ²⁾ Ojca.

i z wielką gracją u nóg księcia je złożył. Książę jak zawsze był bardzo poważny, nawet gdy najpocieszniejsze prawil rzeczy, tak tym razem niemal ogłupiał, oka nie spuszczał z mówiącego.

— Noego wino, panie kochanku! rzekł po namyśle mrużąc, warte gęby... ale jakież dowód, że go Cham dajweldrekiem nie podprawił? że go grecy, persy i ormijanie nie po-falszowali?

— Pieczęć wierzytelna Noego, który jak wiadomo powszechnie, rzekł Krzyski niezmiészany, gołąbkę z gałązką w pyszczku w herbie swym nosił.

To mówiąc przystąpił do puzdra, kluczykiem je otworzył, wieko odjął i ciekawie do koła zgromadzonym ukazał na atlasowem miękkim posłaniu leżącą butelczynę. Stara ona była, pękata, wcale poważnie wyglądająca, i miała w istocie na korku pieczęć z wyobrażeniem gołąbki.

Ostrożnie podjął Krzyski precjoz ten i oddał go w ręce księcia, który opatrzywszy ze wszech stron... nazad go głową trzęsąc oddał szlachcicowi.

Trwało tedy chwilę milczenie, książę sumował i chmurno rozmyślał.

— Widzisz asindziej, ozwał się potem, niewiedzieć co z tem robić. Samemu pić niegodzi się, ludzi częstować nie ma czem... schowaj sobie asindziej to wino dla kogo takiego co sam pić ma determinację, dla mnie ono... na nic...

— Wszelako, odchrząknął książę, ponieważś się trudił ku mnie i okazał szacunek, którego nie lekceważę, będę się starał wywdzięczyc.

Prosił Krzyski bardzo, aby butelkę jego do skarbcu wzię-

to, na co książę głową kiwnął i a d p e r p e t u a m r e i m e m o r i a m schować kazał, szlachcica zaś na dworze uczciwie podejmowano. Siedział tedy tydzień i dwa jedząc i pijąc dostatnio, a jak skoro się rozpatrzył między ludźmi, począł się wszędzie wświdrowywać, językiem mleć, księcia zabawiać, faworytom pochlebiać i tak się umiał stać potrzebnym a miłym, iż mu książę Karol dał pomieszczenie we dworku właśnie po umarłym Barwinkowskim pozostałym. Domek był nizkiego, ogródek do niego cale nie brzydki i kawał łąki, gdzie się kobyła wypasać mogła. Wielkąśmy mieli w istocie pociechę z tego rezydenta, ale razem zagadkę.

Chociaż się z Krzyskich wywodził i wiele o procedencji¹⁾ mówił, znać było, że wiele też o sobie nie dopowiadał... a z rozmów co chwila wydawało się, iż był obieżyświat, jakich mało. Umiał potrosze wszystkiego, dobrze zgoła nic, ale o wszelkiej rzeczy językiem mleł tak, iż póki do roboty nie przyszło, zdawało się każdemu, iż równego sobie nie ma.

Książę, który był w ogóle dla ludzi i ludzkich słabości bardzo wyrozumiałym, ba do zbytku pobleżającym, tego furfanta²⁾, który mu się przypochlebiał wszetecznie, nie lubił. Dawał mu gadać, śmiał się, ale nigdy się do niego nie zwrócił, sam go nie zaczepił, nie okazał mu, by był z niego rad, słowem zbywał się natręta jako mógł. Nic to nie pomagało. Krzyski znać sobie powiedział, iż się w łaski wszrubować musi i zuchwale, bezwstydnie nabijał się księciu. Przy każdym przyjęciu, w każdej okazji stawał tak, aby spojrzenie pańskie go nie minęło, zachodził, szył się, wkręcał, głos zabierał,

¹⁾ Pochodzeniu. ²⁾ Nicponia (z włoskiego).

a choć go czasem spotkało milczenie, odprawa lada jaka, lub żart czyj, jakby nie słyszał. Polykał pigułkę i swoje dalej robił. W końcu obyliśmy się z nim i mniej się stał przykrym.

Bałamut był i kłamca jakich mało, ale kłamał bardzo umiejętnie, bo nigdy rzeczy z palca nie wyssał, ale odrobinę jakąś pochwyciwszy z muchy rozdymając wołu robił i gdy go złapano na fałszu, zawsze się z niego na swój sposób wyłgać umiał.

Gębę miał jak prości ludzie powiadają, gdyby cholewę; język wyprawny, nie zająknął się, nie zmięszał, nie zarumienił, a z ludźmi nie gniewając się nigdy, tak sobie poczyniał, iż łatwowierniejszych brał jak ryby na wędę. Dla wszystkich grzeczny, pokorny, pochlebny, zawsze wesół, niegniewający się nigdy za nic, w końcu już przyrósł do nieświeżskiego dworu i chociaż go nikt nie kochał, cierpiano go i bawiono się nim, a gdy go nie było, jakby nam już czegoś brakło.

Wszyscy go znali, znał on też wszystkich, bo się przedstawiał i natrącał każdemu... a służył w małych rzeczach bardzo ochotnie i żwawo. Zaden, z pozwoleniem púdel niemiecki wyuczony służyć na dwóch łapach, tak nie tańczy przed swoim majstrem, jak ten przybłęda przed nami się kłaniał i wdzięczył.

Jakeśmy go pierwszego dnia widzieli ubranym, tak już potem z małemi odmianami, chadzał zawsze, wdział tylko niekiedy kontusz buraczkowy a żupan niebieski, a szarawary żółte, bo pstro musiało być koniecznie. Przy kołpaczku kitka jeśli nie ta... to inna, ale dalekowiedna. Śmieli się z niego, raz nawet na teatrze go któryś z aktorów wyimitował do-

skonale, że się za boki trzymano, choć i on tam siedział. Ale myślicie, że się pogniewał?, gdzie zaś, poszedł do aktora który się aż schował gdzieś ze strachu, uściskał go, podziękował mu i rzekł do drżącego ze strachu. — „To było bardzo, bardzo ładnie, miły panie Gaska, ale waćpan trzymałeś się pod bok ot tak... a ja się nie biorę za bok nigdy, abym kogo przypadkiem łokciem nie potracił, nie jest to w mym charakterze“. Poczem skłonił się i poszedł.

Był wcale nie głupi, czasem dowcipny... a zresztą, co w nim siedziało pod tą skorupą pstrą... nikt nie wiedział. Plótt, że był z Rusi, wskazywał okolice, a okazywało się potem, że jako żywo, nikt go tam nie znał, ani widział.

Księżę panie kochanku nazywał go — sukcesorem Noego i pod tem imiennieem chodził we dworze. Najprzykrzejszem to księciu było, co on sobie wybrał właśnie dla przypodobania się jemu. Gdy księżę w dobrym był humorze, lubił opowiadać dykteryjki na pozór niedorzeczne... otóż Krzyski mu potakiwał, dorabiał do nich kontynuacyjne, poklaskiwał do zbytku, a gdy się tylko odezwał, księżę wraz milknął i posępniał.

Raz się tak stało, że księżę wedle zwyczaju opisywał jak się do nieba dostał i co tam widział; nieostrożny Krzyski też począł z różnych beczek swoje nad tem komentarze, a tuż wojewoda zamilkł. Koso spojrział i jak mak siał. Było to po wieczery. Rozeszli się zaraz wszyscy, zostało nas kilku, generał Fryczyński, ja, de Larzac komendant fortecy, Puzyna, którego księżę bardzo lubił, niejaki Macewicz i Zabłocki. Mielśmy nazajutrz polować w Nalibokach, więc się jeszcze trzeba było rozmówić, jak i kiedy jechać mamy. Ale zamiast

tego ksiązę który mlczał posepnie, rzecze w końcu do Puzyny.

— A! mój kniaziu, kniazieczku, panie kochanku, ktoby mnie od tego Krzyskiego uwolnił, dałbym mu konia z rzędem... Kością w gardle mi siadł, panie kochanku, patrzeć na niego nie' mogę, czysty arlekin... Widziałem gdzieś podobniuteńkiego we Włoszech na scenie. Ale to, panie kochanku, godzinę jaką pośmiać się z takiego djabła dobrze, a nosić się z nim dzień w dzień za nadrą... doje! panie kochanku! doje! za grzechy!

— Ale mości ksiązę, zawołał Puzyna, cóż łatwiejszego, jutro mu przez marszałka dworu kazać powiedzieć, że go ksiązę pan żegna, a dać mu jeszcze dziesięć dukatów na drogę, to go nie zobaczymy.

— O nie! tak, to nie, odparł ksiązę, to nie po radziwiłowski, tak niemożna, trzeba żeby sobie dobrowolnie jechał z Nieświeża.

— A kiedy mu tu dobrze! i prochem go nie wykurzy nikt, zawołał Zabłocki.

— Niech mu ksiązę da gdzie w lasach pięć chat dożywoć, pojedzie i będzie po nim, dodał Fryczyński.

— Jabym mu dziesięć dał na dziedzictwo... westchnął ksiązę, ale, czy on głupi, panie kochanku, głodem mrzeć na dziesięciu chatach.

— Kiedy sobie żyje jak pan... Zadzierzawiłby folwarczek i powrócił... Zresztą niechby już sobie jadł i pił, dodał z boleścią ksiązę, aby mi się nie wścibiał nieustannie, panie kochanku. A to, gdzie go nie posieją wyrośnie...



— E! mruknął Zabłocki, gdybyś wasza książęca mość dał plenipotencję na piśmie, już byśmy go wykurzyli.

— Ale bo! zaraz wykurzyli! sprzeciwił się Radziwiłł, jeszcze bym ja go słowem jednym się pozbył, gdybym tylko chciał... ale nie można inaczej, tylko na dobry sposób się go pozbyć.

Puzyna się zamyślił i po chwili powiada.

— Wie książę wojewoda co? — Krzyski też pono ma wielki do ożenienia apetyt, a nie idzie mu o nic tylko, żeby ciepłą jejmość dostał, żeby nie pracując żył sobie dostatnio. Czyż to tu w Nieświeżu takich rezydentek braknie, coby się rade za mąż wydały, aby stare rejestra grzechów pokryć małżeńskim kobiercem? To go ożenić!!

— No! no! rzekł książę smutnie... mnie się zdaje panie kochanku, że on i od żony by się wyrwał, aby mi tu na karku siedzieć, panie kochanku!

Na tem się rozmowa skończyła, bo już przyszła była godzina księcia, o której zwykle do sypialni odchodził; nazajutrz pojechaliśmy do Nalibockiej puszczy, po tem książę fabrykę szklaną oglądał, gdzie mu właśnie ogromną wannę leli z niebieskiego szkła do kąpieli.

Rozmowy tej zdało się mało kto zapaniętał, i nic z niej nie wyszło, ale w Nieświeżu było tak, iż ci co kochali księcia jegomości, słowu jego najmniejszemu na ziemię paść nie dali... ani o niem zapomnieli. Czego sobie książę życzył, musiało się stać, chyba by cale niepodobnem było...

Tymczasem Krzyski po swojemu kręcił się we dworze...

Jakem powiedział wyżej na rezydentach w Nieświeżu i na rezydentkach też nie zbywało cale. Kobiet dwór był pe-

len z dawniejszych czasów jeszcze po matce i po siostrach księcia pozostałych, wychowanek, krewnych, służebnych, szlachcianek dobrego nawet rodu, uboższych, majątniejszych, młodych, starych i było w czym wybierać. Małżeństwa pod wysoką protekcją księcia kojarzyły się nieustannie. Młodzieży nie brakło, starzy też na ów lep niewieści brać się dawali, mało który miesiąc upłynął, żebyśmy na weselu nie potańczyli. A trzeba wiedzieć, że gdy która z panien ze dworu za mąż szła, naprzód często gęsto brała posażek, albo pensję, albo dożywocie, albo wieś zastawą, w najgorszym razie wyprawę i pod poduszkę coś, a wesele odprawiano w zamku. Książę zawsze rolę starosty na siebie przybierał, ucztą wspinała z tańcami, pijatyka i teatr i bal... a czasami jeszcze przenosiny sprawiano.

Między innemi mieszkała na zamku panna Zoryna Piskulska... Była to swojego czasu piękność tak znakomita, iż dla niej ludzie szaleli i w łby sobie strzelali. Jakim sposobem złożyło się, iż mimo to za mąż nie wyszła, trudno odgadnąć. Naprzód, że dla tej piękności bardzo głowę wysoko darła, a po cichu ludzie szeptali, iż się w niej sam książę swojego czasu kochał... Mogło to być, mogło nie być, pewna rzecz, iż miano dla niej szczególną konsyderację¹⁾, począwszy od księcia samego, który ją w rękę całował, co na moje oczy widziałem. Panna Zoryna naówczas miała może lat pod czterdzieści, może więcej, ale nie wydawała się starszą nad to. Owszem była jeszcze bardzo piękną i zakonserwowaną osobliwie. Osoba była wzrostu słusznego, kibici cudnej, trzy-

¹⁾ Poważanie.

mająca się prosto i coś w chodzie, a ruchach mająca królewskiego. Głowę nosiła do góry podjętą, a oczy przysłonię, z góry też na świat patrzyły. Chodziła wystrojona niezmiernie, ufryzowana zawsze, uróżowana, wybielona, z muszkami, woniało od niej z daleka, a nóżkę miała sławną, bo w trzewiczkach na korkach chodząc, gdy po sobie ślady zostawiła na piasku, nie były dłuższe od dziecięcej ręki. Garderobę miała prawdziwie książęcą, nie wiem czym ją dwa razy w jednej sukni widział, przy tem kochała się w klejnotach i choć nie wiele ich nosiła, bo się odziewała bardzo smakownie, zawsze one oczy zwracały. Co do innych przedmiotów, mało kto mógł co powiedzieć o pannie Zorynie, bo też ona nie wiele z kim mówić raczyła i przestawać. Niegdyś śpiewała bardzo pięknie, potem gdy głos jej się zmienił, zaprzestała. Grała na klawicymbale a r t e, a ci, co dobrze byli poinformowani powiadali, że też i języki różne posiadała i książki jej nie były obce, bo nawet dla teatrum nieświeżskiego, tłumaczyła sztuki.

Rodziców, ani bliższych krewnych panna Piskulska nie miała, oprócz jednego brata, domatora, któremu ksiązę wieś puszczał dzierżawą. Jeden raz w rok przyjeżdżał się submitować¹⁾ księciu, ale rychło się go pozbywano, bo miał szkodny defekt: jakał się przebrzydłe, a gdy się zająknął, pluł, kaszlał, dostawał niemal konwulsji, póki słowa nie wyksztusił. Zebyć znając to do siebie milczał, ale nie, gaduła był, że mu się gęba nie zamykała. Niekiedy cały frazes jaki przejechał nie potknąwszy się, no i dobrze, a tuż jak go tam coś

¹⁾ Złożyć hołd, wizytę jako znak uszanowania.

pociągnęło za język, choć siadłszy płacz... zaczynała się taka historia, że nie wiedzieć co było począć, napadła go niemal wściekłość. A gdy się kto rozśmiał, gotów był zaraz szabli dobywać. To też tego niewygadanego braciszka panna Zoryna jak mogła najprędzej się z Nieświeża zbywała. Fortuny znać nie mieli po rodzicach, tylko wiadomem było, iż książę przed aktami w Słucku prostym długiem: wziąłem, pożyczylem, do rąk własnych odliczyłem, zeznał pannie Zorynie pięć tysięcy czerwonych złotych, od których procent regularnie opłacano. A że prócz tego pobierała pensję jako rezydentka i przyjaciółka sióstr księcia jegomości, prezenta znaczne co święta, co Nowy Rok, na imieniny, a życie nic nie kosztowało, dworzanie cenili ją lekko na 10,000 czerw. złotych. Wiedzano i to, że gdyby się był który ożenił nie chybiła by go co najmniej tania dzierżawa wielkiej włości, może i co lepszego.

Pomimo tych oczywistych korzyści piękności i zalet osoby samej, nikt się tam ani ważył. Wiedział to dobrze każdy, iż się pod pantofel dostanie, a komuż swoboda nie miła. Wiedzano to też od ochmistrzyni starej pani Wyżyńskiej która ją od młodu знаła i była z nią najlepiej, prawie za matkę jej służąc, że się panna Zoryna Piskulska, wydać za mąż pragnęła bardzo... no, ale za lada kogo nie, o imię jej szczególnie szło i o prezencję taką, żeby się za gburą nie wstydziła, bo miała znajomości i przyjaźni aż po królewskich dworach.

Zabłocki i Macewicz szczególnie do serca wzięli, żeby co z tym nieszczęsnym Krzyskim zrobić. Jednego wieczora siedzimy w marszałkowskiej sali na dole, a było nas tam siła. Jedni grali w marjasza, drudzy w warcaby i szachy. Był

też i Krzyski, ale z nim nikt do kart nie siadł, bo z niemi robił co chciał. Kilka razy nam pokazywał takie z niemi sztuki, że rzekłbyś djabła miał w rękach: dobywał jaką żądał, mieniał, pstryknął tylko, latały mu na zawołanie. Łykał, z gardła wyciągał, oczywista, że z nim grać nie było sposobu. Chodził tylko od jednego do drugiego, to tu, to tam słówkiem i ukłonem się zalecając.

W tem patrząc ja, przystępuje do niego Zabłocki. Trzeba go było znać jakim ja znał, żeby się domysleć, iż nie bez kozery. Zabłocki był marsowaty¹⁾ człek, żółty, chmurny, pocciwy z kośćmi, ale filut jakich mało. A kroku w życiu darmo nie zrobił. Z Krzyskim też dotąd cale się nie wdawał. Stałem nieco podał, słyszę taką rozmowę.

Mówi Zabłocki. — Dużoś waćpan świata schodził, nie mało wydeptał podeszew... czy też jegomości nigdy na myśl nie przyszło się ożenić?

Krzyski obejrzał się, oblizał, ruchome brwi poskoczyły mu do góry i opadły... machnął ręką.

— Wiesz, panie Strukczaszy, (tak Zabłockiego honowano) rzecze, że w życiu mem mało o czem więcej myślałem jak o żeniactwie. Do tego m wzdychał, ku temu zmierzał, pracowałem, zabiegałem, kochałem się, bilem...

— Czyżes się waszmość kiedy w życiu bił; zapytał Zabłocki.

— A to pięknie! zawołał Krzyski, a cóżbym ja był za szlachcic, żebym cudzego mięsa nie próbował i swojego nie nastawił! Ale wracając do rzeczy, jedno mi się w życiu nie udawało, żadna mnie kobieta nie chciała...

¹⁾ Tu „chmurny“, nasrożony.

Westchnął. — Mieli szczęście i starsi i poczwarniejsi ode mnie, bo, nie zawsze byłem w czarnem ścierwie jak dzisiaj... udawałem się i do ubogich i do niemłodych...każda się Krzyskiego zlekła.

— A ja nie znajduję, żebyś jegomość znowu był tak wstrętny, albo taki straszny, rzekł Zabłocki.

— Jednakże taki już mój los! zawołał Krzyski i myślę w celibacie żywota dokonać.

— To by już prawdziwie było szkoda i dla imienia i dla plemienia, rzekł serjo niby Zabłocki. Pomilczał chwilę a potem rzecze do Krzyskiego. — Ino waszmość mnie posłuchaj, to my cię tu w Nieświeżu ożeniemy.

— Zgoda, ino z jedną restrykcją, odezwał się Krzyski, ożenie się z kim chcą. ale musi się jejmość we mnie pokochać a ja w niej.

— Dużo asindziej pretendujesz, uśmiechając się powiada Zabłocki, do szczęścia dosyć połowy tego, ale i to by być mogło.

Pomilczeli chwilę, aż znowu Strukczasyc: co mi pan powiesz o pannie Izabelli Kurzance?

Panna Izabella trzeba wiedzieć miała lat szesnaście i piękność była osobliwa, wychowywała się jako sierota w Nieświeżu, po Kiskach będąc krewną radziwiłłowską. Miała trzykroć posagu a wyglądała jak różyczka polna.

Krzyski oczy ogromnie wytrzeszczył.

— Zartujesz jegomość, czy drogi pytasz? rzecze.

— Nie żartuję, odezwał się marsowato jak zawsze Strukczasyc, dla czegoż byś nie miał sięgnąć wysoko? Masz



imię piękne... sam jesteś niczego... no, — i na sprycie nie zbywa.

— Alem za stary! rzekł Krzyski.

— No, to panna Szerczyńska?

Szerczyńska była ospowata, zła, ale dowcipna, w słowie dostała każdemu, języka jej obawiali się wszyscy. Mimo to, ludziom wielu swoją śmiałością u księcia pomagała. Księżę uciekał przed nią ale ją lubił.

— Panna Szerczyńska! panna Szerczyńska... widzisz pannie Strukczaszy, rzecz by potrzebowała wielkiego namysłu, odezwał się Krzyski. Naprzód trzebaby doświadczyć czy się człowiek do jej twarzy przyzwyczai, potem czy język wytrzyma, na ostatek... czy ona... bo wymagająca...

— Ale osoba stateczna, energiczna i wielkich przymiotów.

— Nie odrzucam i tego, byle kochanie przy tem było.

— Konkuruj asindziej o zmroku... rzekł Strukczaszy.

— Kiedy oczy mam kocie, uśmiechnął się Krzyski; ale rzekłszy to począł Zabłockiemu ręce ściskać, dusić i całować go po ramionach, dziękując za przyjaźń. Znać wśród tych czułości na ucho mu Strukczaszy szepnął. No, a panna Zoryna... toć to już na królewskie pokoje.

Krzyski to posłyszawszy, taką minę zrobił, że chyba jej opisać nie potrafię. Wyrażała ona, że chciałby i nie śmiał, że wysokie progi na jego nogi... że o tem nie ma co i mówić.

Zabłocki go tedy pod rękę wziął i uprowadził i ugadywał przeszło pół godziny z nim się wodząc... a szeptał mu coś, a radził, aż gdy się rozstawali ujrzałem na twarzy Krzyskiego, iż go Strukczaszy bodaj opętał. Poszedł zamyślony, za-

dumany, niezważając na ludzi... Znać ważąc co mu ten w uszy nakładł...

Nazajutrz była reprezentacja w teatrum, z baletem... księżę Jegomość w swej łoży siedział, dokoła dwór i cała pleć niewieścia.

Ze z rodziny książęcej nikogo nie było, panna Zoryna Piskulska niemal pierwsze miejsce zajmowała. Przyszła wystrojona ślicznie, co u niej nie nowiną było, siadła wyprostowana, a że w sali nieco było gorąco, poczęła się wachlować. Już to darmo powiedziano, iż charakter niewiasty poznać najłatwiej z tego jak się z wachlarzem obchodzić umie... bo wachlarzem gada, śmieje się, gniewa, zaleca, wabi... i dokazuje co zechce. W rękach panny Zoryny ów kawałek skrobanego drewna z papierem malowanym chodził jako żywy. Umiała się nim zakryć, z nim pieścić, przysłonić twarz, aby oczy tylko raniły, wzrok natrętny odepchnąć, aktorom okazać ukontentowanie lub obojętność, a z onej gry wachlarza jużby w niej każdy mógł poznać, że niepospolitą była kobietą.

Wszyscy też tego dnia, nie wyjmując i księcia, poglądali na nią, bo się królewsko piękną wydawała. Patrząc... Krzyski siadł w progu naprzeciwko niej, wystrojony jaskrawo, i jak w tęczę w nią oczy wlepił. Otóż druga komedja pomyślałem sobie, co też to z tego będzie. Zrazu widzę panna Zoryna ani spostrzegła adoratora nowego, miała ich jeszcze podobątkiem, choć w czwartym krzyżyku. Ale że jej oczy biegały po sali choć zdawały się nie ruszać nawet, schwytały go na gorącym uczynku. Myślała znać, że to przypadek i pominęła go wzrokiem. Po chwili, znowu zerk, mój Krzyski jak w tęczę, panna się odwróciła niby nie patrzy, udaje, że w tę

stronę ani się zwraca, ale widzę, że go obserwuje. A ten jak usiadł, jak się zapatrzył, tak nieruchomy niby wryty na kontemplacji jej oblicza skamieniał. Kiedy niekiedy tylko, znać mu dokuczyło tak w miejscu oczy trzymać, brwiami machnie, głębią westchnie, i patrzy a patrzy.

Panna się zasłoniła wachlarzem, ale przez szpary doskonale mogła widzieć Krzyskiego, kiedy może z uwagą mu się nie przypatrywała wprzód, jęła więc pilno go obserwować. Ale główkę miała tak wykręconą, iżbyś przysiągł, że na teatrum ma oczy i uwagę zwrócone. Krzyski znać się widzeniem tej piękności coraz mocniej upijał, bo mu się twarz mieniła jak niebo na pogodę, nawet wypiękniał. Zrobił się jakiś czuły, melancholijny, o miłosierdzie wołający.

Po ustach panny Zoryny uśmieszek latał, szyderski zrazu, potem jakby go mróz ściał; wypoważniała panna, westchnęła sobie *privatim* i znowu jęła się Krzyskiemu przypatrywać, zawsze przez wachlarz.

Ten z niej oczów nie spuszczał.

Seena ta odbywała się tak, iż mało kto ją mógł widzieć i rozumieć. Mnie ciekawość brała, bom sobie z boku w twarzach jako w otwartych czytał książkach. Nagle wachlarz spadł, oczy panny Zoryny skierowały się otwarcie, śmiało na Krzyskiego i powiedziały mu. — Dajże sobie asindziej pokój i ruszaj z Bogiem zkądś przyszedł. Wyprostowała się jeszcze sztywniej i poczęła, ruszywszy lekko ramionami, na teatrum już jawnie tylko uważać. Ale Krzyski, tak odprawiony, uparty był i swoje; patrzy a patrzy, jakby ją już zjeść pragnął. Pannie po ustach poleciał uśmieszek dumny, pogardliwy i szybko zerknęła na niego tylko, a potem na sce-

nę. Siedziała przy niej Szerczyńska, poczęły coś szeptać i śmiać się, oczki czarne Szerczyńskiej poleciały w górę na owego Krzyskiego i uszczypnęły go, ale był człek wytrzymały i nie dał się... Panny się śmiały, a on kontemplował.

Naostatek balet się skończył, a był turecki, bardzo przedziwny i sławna w nim swego czasu panienka, prosta chłopka z pod Ołyki, Zużłanka, tańczyła Sułtanę, tak że zjadłbyś ją tam, tak jej było ślicznie, książę się lubował w niej, bo to było istne cacko i gdyby nie to, że ręce miała chłopskie, to by do greckiego posagu była podobna. Zmarła potem z pleury, wytańcowawszy się zimą do transpiracji¹⁾ i zimnej napiwszy wody. Dużo po niej ludzi płakało. Jak piękna była, tak dobra, istny anioł, ino ręce miała chłopskie. Zużłanka tego wieczora cudów dokazywała, książę jej posłał naszyjnik koralowy. Skończył się tedy ów balet i wyszliśmy na wieczrę wszyscy, mnie ciekawość brała, czy też na sali Krzyski się do panny Piskulskiej zbliżyć odważy.

Wszyscy jeszcze byli Zużłanką zajęci, książę w doskonałym humorze opowiadał jak na teatrum w Medjolanie widział Angelinę pewną, która w powietrzu skoczywszy, dwa razy się skrzyła nim na ziemię spadła, wchodzimy do sali jadalnej, stół w pogotowiu, głodni wszyscy, więc do mis.

Zwykle Krzyski nie był do nich ostatnim, tym razem patrząc, podaje krzesło pannie Piskulskiej, która usta zagryzła, popatrzyła nań zbliżona i podziękowawszy usiadła. Ten, o jedzeniu nie myśląc, stanął za krzesłem. Patrząc, Szerczyńska łokciem trąca pannę Zorynę i oznajmuje jej, że kawaler na

¹⁾ Potu.

slużbie, ale Piskulska głośno gadając, ani się już obróciła. Nie chciała go snąć ośmielić do zbytku.

Chociaż na straconym posterunku mój Krzyski dotrwał, talerze zmieniał, podskakiwał, słowa nawet dobrego nie dostał, a wicherzy nie jadł. Znając żołądki rezydentów, mogłem ocenić z tego, że coś na serjo myślał, kiedy kolacją poświęcił, później już pono tylko pępek od gęsi dostał i trochę pałek nieogryzionych, ale obowiązku dopełnił.

Uważałem też, iż Zabłocki z boku bardzo pilno się całej grze przypatrywał.

Gruchnęło tedy nazajutrz po całym Nieświeżu, iż się sukcesor Noego chce z Panną Piskulską ożenić, ale nikt tego inaczej nie brał ino na żarty.

Znano pannę Zorynę, że wysoko bardzo patrzała i Pan Bóg ją wcale na żonę dla takiego Krzyskiego nie stworzył. Nikomu do głowy nie przyszło, ażeby z tego miało coś być na prawdę. We dworze najmniejszy odgłos zaraz księciu raportowano, więc tegoż wieczora doniesiono księciu do poduszki o całej sprawie, a ubrali ją dworacy, jak to oni umieją i złożono na Zabłockiego, że to on pono wędkę założył. Księżę ramionami ruszył tylko i krótko bardzo rzekł: Kiep, panie kochanku!

Księżę wstawał rano, modlił się, pił polewkę winną, lub kawę i często w pikowym szlafroku, nakształt dostatniego staroświeckiego kontusza zrobionym, chadzał długo, bo mu oficjaliści, sekretarze, rządcy i tchnąć do południa nie dawali. Tego dnia jak skoro wstał i umył się, kazał Zabłockiego wołać. Znaleziono go w stajni i jak stał jeszcze koniem pachnący, przyszedł do księcia.

— A to ty! rzekł książę, grożąc mu na nosie, a to ty, przecie! cóżes to najlepszego zmalował.

— Co, mości książę? spytał Zabłocki, bo mi to sam potem opowiadał.

— Jeszcze się zapierasz! panie kochanku! ofuknął Radziwiłł, co ci za koncept przypadł do głowy, swatać pannę Ciwunównę temu cyganowi Krzyskiemu? he?

Zabłocki stał strapiony, książę chodził po sypialni, jakby tem był bardzo obrażony.

— Przyjął kwiatek do kozucha! panie kochanku! dobry jesteś do kojarzenia małżeństw... Przecież Ciwunówna czegoś może lepszego warta, panie kochanku, niż takiego przybłędy? Aleś mi się spisał!

— Ale ja mości książę, wcale się w to nie wdawałem! rzekł Zabłocki.

— Nie juściby też Krzyski miał zuchwalstwo sam oczy podnieść na nią, gdybyś asindziej prochu na panewkę mu nie podsypał, panie kochanku. Kto aści o to prosił?

— Ale mości książę?

— Ale nie kłamże, panie kochanku, boś ty to sprawił, przerwał Radziwiłł. Gdzieżeś miał oczy i zastanowienie, tego murzyna prowadzić do Ciwunównej Zoryny, która przecież...

Książę aż sapał, postrzegł Zabłocki, że bodaj w nim pa-mięć dawnych amorów, o których mówiono, nie wygasła.

Pomyślał też, iż się książę obraził samem przypuszczeniem, żeby taki drab sięgnął po rączkę, którą on ze smakiem niegdyś całował. Widząc to Zabłocki, postanowił się wywinać bądź co bądź. Ruszył ramionami i z tą surową, zakwaszoną miną jaką zawsze miał, przerwał księciu.

— Prawdziwie nie wiem, kto księciu Jegomości mógł taką bajkę spleść, ale ja przecież w swaty i dziewosłąby się nie bawię. To nie moja rzecz, to Wojnarowicza departament, proszę mnie daremnie nie krzywdzić.

— Waćpan sądziłeś może, iż mi, panie kochanku, zrobisz przysługę wielką; żem narzekał na tego natręta Krzyskiego, więc go ożenić z Piskulską i w świat wyprowadzić. Aleś ruszył conceptem.

— Mości książę, ja ani conceptem, ani niczem nie ruszałem, rzekł Zabłocki, proszę mnie niewinnie nie oskarżać.

— No, to któż to zrobił! proszę! kto! pytam kto, panie kochanku! zawołał książę.

— Albo ja wiem!

— Zawołaj Wojnarowicza, panie kochanku, będę sędził. Zabłocki rad, że się wyrwie po Wojnarowicza ruszył.

Kto Wojnarowicza Tadeusza nie znał, temu go ciężko będzie odmalować, bo należał do tych ludzi, po których gdy ich wiekuisty garncarz w formie ułał, rozbił ją, aby drugiego takiego oryginała nie było.

W jednym nim siedziało może dziesięciu, ale wszyscy uczciwi ludzie. Przychodziły na niego dnie, że się tylko modlił i wyglądał na pobożnego pątnika, to znowu tygodniami całami dziczał na polowaniu, potem siadłszy grać dzień i noc zapominał jeść i pić aż omdlał, i rok w rękę kart nie wziął zakławszy się; gdy się kochał to do szaleństwa, gdy proce-sował to do wściekłości, a wszystkiego w świecie poprobowa-wszy na słabości ludzkie i biedy litościwym był jak żaden. Z księciem bywało to się kochał, to się kłócił, żegnał,

dwór opuszczał, na wieś jechał a księżę po niego, przeproszał i nazad prowadził, bo go bardzo lubił.

Wśród tych fantazji jedną miał stałą, ludzi kojarzyć i żenić, byle jak, ale koniecznie stułą wiązać.

— Bo to mosanie, wszystko złe z tego, mawiał, iż się ludzie nie dosyć żenia, jako jest przykazanie Boże. Jako żywo nie pewien siebie człowiek i nie wie kim jest póki się nie ożeni i nie przejdzie przez ogień probierczy. Wszystko złe z tego, mosanie, powtarzał wszystko złe... polaków wkrótce nie stanie...

A mimo to trzeba wiedzieć, że Wojnarowicz sam był nie żonaty i jakąś miłość nosił w sercu, której się pono pozbyć nie mógł. Ludzie powiadali, że się szalenie kochał w ubogiej dziewczynce, krewni mu odradzili małżeństwo, on też sam zląkł się niedostatku, gdy panna potem za męża wyszła a miłość zgasić się nie dała, Wojnarowicz cierpiał mocno i zapomnieć nie mogąc, losy swe przeklinał. Nadto był dobrym katolikiem, ażeby matkę dzieci kusił rozwodem, a nieszczęśliwy był bez niej całe życie. Ztąd owo jego napędzanie do ożenku.

Przytem jeszcze był impetyk i weredyk jak rzadko, księcia kochał bardzo, nawet mu życie uratował na polowaniu, gdy go o włos niedźwiedź nie rozszarpał, ale mimo największej czci i przyjaźni dla Radziwiłła rzadko rozmowa między niemi skończyła się bez kłótni. Wojnarowicz stał we dworku na miasteczku. Zabłocki pobiegł do niego i zastał gdy mu cyrulik głowę podgałał.

— Dzień dobry.

— A co tam?

— Księżę prosi, a pilno.

— No, juści nie pójde nie skończywszy operacji, a co tam za sprawa?

— Nie wiem.

— Mów no mów, cyrulik wie pewnie tyle co i my, sekretu dla niego niema.

— E! to tam coś idze o pannę Piskulską, rzekł Zabłocki, niewiem co się stało temu cyganowi Krzyskiemu, że pono do niej cholewki smali, księciu to nie wsmak. Posądził, że ja go ze smyczy spuścił, a jam na waćpana złożył, że chyba wy, bo ja się w swatanie nie wdaję.

Wojnarowicz tak się śmiać zaczął, że cyrulik brzytwę odjąć musiał, aby mu ucha nie uciąć.

— Dobryś, rzekł, dobryś; jak bieda to na Wojnarowicza, ale, mosanie chociażem ja skory do kojarzenia małżeństw, o podobnych nie śni mi się. Panna Piskulska już dobrze zasuszona, Krzyski też nie młody, para niedobrana i na lichu się to zdało.

— Księżę też gniewa się.

— To się znowu nie ma czego gniewać. A no czekaj, niech się kosowica¹⁾ skończy, pójdziemy.

Spojrzał na cyrulika i dał sobie spokojnie łba dogolić, potem umywszy się, ubrawszy, poszli na zamek razem, księżę aż przez okno z niecierpliwości wyglądał. Wojnarowicz jakby naumyślnie powoli się ciągnął. W progu spotkali się z księciem, Wojnarowicz jakby na umyślnie wdział na się albeński mundur przyjacielski.

¹⁾ Kośba, tu strzyżenie włosów.

— Widzisz, widzisz, Wojnarowicz, szatan cię spokusił czy co? począł ksiązę, po co ci znowu swaty i jeszcze takie nie sprzegłe? panie kochanku.

— Jakie swaty? co za swaty? powoli począł obwiniony, o Bożym świecie niewiem.

— A no, Krzyski się do panny Zoryny zaleca, panie kochanku.

— A mnie co do tego? spytał Wojnarowicz.

— Któż mu to poddmuchnął?

— Albo ja wiem...

— Dosyć, że między wami, panie kochanku, siekierka zginęła, westchnął ksiązę łamiąc ręce. Sam powiedz Wojnarowicz, jest w tem najmniejszy sens? panna wychowana do świata, a to bodaj czy nie cygan wypoliturowany.

Mości ksiązę, odparł Wojnarowicz sensu nie ma to pewna, ale nie zawsze szczęście bywa z sensem, i sens w szczęściu. A jeśli serce zagadało?

Chyba kieszeń, panie kochanku! rzekł ksiązę, to przechera jest ten Krzyski, ja go nie lubię, a pannę Zorynę szacuję.

— Za pozwoleniem, cóż się tedy stało? czy się oświadczył? spytał Wojnarowicz.

— Nie.

— Czy co splątał?

— Ale nie.

— O cóż więc idzie? bo dalipan nie rozumiem, zawołał przybyły, księciu się bodaj co przyśniło.

— Cały wieczór w nią patrzył jak w tęczę, a u kolacji stał za jej krzesłem.

Wojnarowicz splunął.

— Mości książe, odezwał się, ja codzień na księżyc patrzę, kiedy tylko jest na niebie, a przecie nikt mnie nie posądza, żebym się z nim chciał żenić. Zresztą, za pozwoleniem: a gdyby panna Piskulska tego samego chciała?

— Toby zwarzjowała chyba, panie kochanku, odparł książe.

— A gdyby zwarzjowała? przekomarzał się Wojnarowicz dalej.

— Panie kochanku, przerwał książe w pasji, dajże mi pokój, bo będę zły.

Wojnarowicz wesa pokręcił, zimny i nieporuszony, bo dowiedziona rzeczą było, że gdy książe się sierdził on stygl umyślnie, i zawsze go tym sposobem do większej jeszcze pasji doprowadzał.

— Mam honor w. książęcą mość, pana mojego miłościwego, pożegnać i łaskawej jego pamięci a protekcji się polecić, rzekł z pokłonem po chwili. — Nie, bo tu taki w Nieświeżu dłużej mieszkać nie można. Byle co, zmaluje kto jakie lichy, na Wojnarowicza jak w dym, w końcu tego już nadto i znieść nie można. Na pochyłe drzewo kozy skaczą. Jadę, mości książe, a niech sobie Ciwunówna Piskulska — idzie nie idzie, choćby za kominiarza, to mi już wszystko jedno.

Książę popatrzał, ramionami ruszył i żal mu się zrobiło, obie ręce położył na ramionach Wojnarowiczowi i począł mu w oczy patrzeć.

— Stary! stary! dałbyś pokój! panie kochanku... dałbyś pokój. Wy wszyscy z tego nieszczęśliwego Radziwiłła żarty sobie stroicie.

— Chyba książę ze mnie...

— No, dosyć już, dosyć tego, ale sam powiedz, jak można, żeby ten obieżyświat miał na Zorynę patrzeć.

— Mości książę, dalipan nie rozumiem, co to księcia tak bardzo obchodzić może. Dać by im pokój.

— Niemożna! niepozwalam! *Veto!* zawołał Radziwiłł.

Wojnarowicz zamilkł. W gabinecie wojewody różnych rzeczy było mnóstwo rozłożonych po stolikach, między innymi różaniec leżał turecki z ogromnych ametystów w złoto oprawnych, o którym podanie było, iż go Sierotka przywiózł z ziemi świętej. Wojnarowicz który go sto razy widział, wziął w ręce i nagle począł mu się dziwować.

— Na takim różańcu to się dopiero modlić smaczno! rzekł.

— Ale co tobie znów do różańca? zawołał książę.

Wojnarowicz położył pacierze, ręce w tył skrzyżował i stał; oba milczeli.

— Co to dziś? panie kochanku? zapytał Radziwiłł.

— Czwartek... mości książę.

— Czyś waćpan wczora był z suchotami?

— Nie, rzekł Wojnarowicz.

— A no, dalipan myślałem, żeś chyba wygłodniał, bo się z tobą rozmówić nie można.

— Czemu nie, byle rozsądnie...

— A jakże ja mówię? panie kochanku, po chińsku, czy bez sensu?

— Nie wiem, tylko to, że ja do końca dojść nie mogę, rzekł Wojnarowicz. A wiesz książę, jak najlepiej to skoń-

czyć? dodał, nie wdawać się w nic i puścić rzeczy, żeby sobie szły swoim trybem.

* Radziwiłł pomyślał i zamilkł.

Na obiad gdy zadzwoniono i wybębiono, bo na oboi sposób zwolywano do stołów, książęcego, marszałkowskiego i nnych (kilka ich było). Krzyski się stawił przy książęcym stole, wyelegantowany jak na niedzielę, a śmierdziało od niego gwoździkami, że przystąpić było trudno. Książę spojrział nań tylko i siadł na swem miejscu — wszyscy go unikali.

Ale szlachcic był uparty i niezłomny.

Jakimś sposobem zostało opróżnione krzesło nieopodal od księcia, śmiało je zajął. Kapelan pobłogosławił, wszyscy siedli cicho, jak mak siał. Książę nosem pociągnął i gwoździki poczuł.

— Co waćpan, panie kochanku do wąsów używasz? spytał oczy wytrzeszczywszy na Krzyskiego.

— Mastyks z Turcji jeszcze przywieziony, odezwał się niezmieszany szlachcic.

— Znać że turecki, bo pogańsko śmierdzi, rzekł książę, a to bym już smołę wołał.

Krzyski zrazu zamilkł.

— Ale bardzo zdrowy i od wszelkiej zarazy i jadu chroni, rzekł po chwili. Myśleliśmy, że się dalej posunie i ustąpi, przecież został w miejscu. Książę począł z Puzyną coś szeptać. U stołu siedziała też generałowa Morawska, panna Zoryna i jeszcze kilka panien z fraucymeru¹⁾. Uważaliśmy, że Ciwunówna była bardzo poważna, na Krzyskiego nie

¹⁾ Kobiety należące do dworu.

spojrzała, ale z twarzy jej gniew się nie wydawał żaden, tylko jakby smutek.

Różne były dyskursy przy stole, książę mało co mówił, dopiero przy wetach niby do siebie przyszedł trochę. Puzyna go zaczął wypytywać o podróże, to był księcia ulubiony przedmiot, bo naówczas mógł sobie prawie co chciał i bujał.

— Gdym w Wenecji był, panie kochanku, rzekł, chodziłem często na teatrum, i osobiwszą tam raz widziałem sztukę graną, której nigdy nie zapomnę, począł książę. Mówiono mi że była z cudzoziemskiego języka tłumaczoną, ale weneckiej się historii tyczyła. Przedstawiała panie kochanku, murzyna który się w białej panience zakochał, a co gorzej ożenił, i z niesłusznej zazdrości ją potem udusił.

To rzekłszy spojrzał na Krzyskiego powoli i na pannę Zorynę, która jagody jakieś jadła i jakby nie słuchała. Bo to nie ma nic gorszego, dodał książę potem, jak gdy się nie dobierze stadło, z tego wszelkie w świecie nieszczęścia.

Milczenie nastąpiło długie. Krzyski tylko odchrząknął jakby chciał dać znać, że słyszy i rozumie.

— Czegożeś to asińdziej chrząknął? spytał Radziwił obracając się do niego.

— Pestka mi w gardle uwięzła... rzekł Krzyski.

Wstali wszyscy od stołu i rozeszli się po pokojach, koło nieboraka Krzyskiego obszerna zrobiła się luka, nikt doń przystąpić nie chciał. Szlachcic przeżegnawszy się i pokłoniwszy, obejrzał w koło i pociągnął za paniami, wprost niby za panną Zoryną, książę spojrzał i zżymnął się.

Widać go to najwięcej niecierpliwiło, iż panna Piskulska całę Krzyskiemu złęgo oblicza nie okazywała. Była zimna,

obojętna, ale jakby go spenetrować ¹⁾ dobrze życzyła, dozwoliła mu przystąpić i zawiązać rozmowę.

Krzyski głębie miał wyprawną, gadać umiał i nastroić się potrafił, tylko nieszczęsna postać i twarz mu zawadzały, bo żeby usta otworzył latało w nim wszystko i śmiesznym się stawał.

Rozmowy panny Zoryny z nim zdala tylko po ruchu było można odgadywać, opowiadał znać coś o podróży do Stambułu, gdzie onego вина i mastyksu dostał do wąsów, panna Ciwunówna słuchała go z uwagą, ale bez nieukontentowania.

Księżę był nawiązał sobie jakieś dłuższe opowiadanie, ale tak mu zawadzał ten Krzyski, iż je przerwać musiał, i zżymnawszy się rzecze do Puzyny. Ale na miłość Bożą, idźcież wy go odciągnijcie od Ciwunówny, bo mi dziewczyny żal... a toć ją tymi gwoździakami struje.

Wszyscyśmy poczęli miarkować, że nie co innego było tylko księciu z zazdrości dawna jego miłość dla panny Zoryny wróciła. Puzyna pobiegł, przysunął się, ale nadszedł na to gdy Ciwunówna bardzo jakoś łaskawie właśnie opowiadała Krzyskiemu coś z czytanej księgi. Nie łatwo było obcesowo ich tak rozłączyć i po chwili dopiero pod ramię wzięwszy Krzyskiego odprowadził precz. Dziwna rzecz, że owa harda panna, której by ani posądzić nie było można, żeby ją taki przybłęda potrafił zająć, wcale nań patrzyła pobłażająco i nie odpychała. Zabłocki przyczaił się, schował i żałował, że się w to wdał, bo niespodzianie gotowały się kwasy.

¹⁾ Zbadać.

Powarzeni byliśmy wszyscy, a książę burczał i niecierpliwił się nie chcąc przyznać czem.

Nazajutrz Puzyna sądził, iż nic lepszego nie wymyśli nad to, by Krzyskiego wziąć na polowanie, a choć się rezydent wymawiał i wykręcał, naposiadł się na niego, prosił, męczył i pojechali. Książę, został w domu. Zabłocki także.

Polowanie owo zdradzieckie tak było obrachowane, że co mieli tego wieczora powrócić do Nieświeża, nie pokazali się aż czwartego czy piątego. Zaraz tego dnia gdy Puzyna wziął utrapionego natręta z sobą, Zabłocki był mimowolnym świadkiem i słuchaczem sceny która go przekonała, że książę w sercu afekt dla panny Piskulskiej zachował. Po obiedzie siedziała Ciwunówna z tamburkiem pod oknem w pokoiku, z którego drzwi szklanne wychodziły na ogród. Zabłocki był na ławce dla świeżego powietrza, tak że go widać nie było, ale drzwi otwarte wszystko słyszeć z pokoju dozwalały. Ciwunówna z wielką attencją szyła jedwabiami na atłasie. Książę szedł niby przypadkowo przez gabinet i przystanął.

— Co to to pięknego panna Zoryna haftuje? spytał.

— Kobięcy gałganek — odpowiedziała.

— Ale śliczności, dalipan, panie kochanku, i jak wszystko co z tych ślicznych rączek wychodzi.

P. Zoryna rozśmiała się. — Zkądże się to w. ks. mości na ten duser zebrało?

Książę zamilkł. — Czyby miał być, panie kochanku, nie do smaku i panna Ciwunówna wołałaby marcypan z gwoździkami od Krzyskiego?

— Dla czegoż od Krzyskiego?

— A no, panie kochanku — to ja wiem — szepnął książę.

— A ja nie wiem — odparła panna Zoryna.

— Czy ten cygan się, panie kochanku, podobał?

— Ani podobał, ani nie — rzekła Ciwunówna głosem statecznym — i cóż to zresztą w. ks. obchodzić może, kto się mnie podoba?

— Czemużby nie?

— Dla tego, żem księciu obcą, i...

— Ależ jam się na zabój w pannie Ciwunównie kochał... panie kochanku.

— To się tak księciu zdawało.

— Jak to, panie kochanku? zdawało? jakże to może być.

— Zdawało, dokończyła p. Piskulska, bo kto się kocha prawdziwe, odkochać się nie może — a ksiązę po tem miał i żonę i amatorów dosyć. Więc dla tego — mówiła ciągle Ciwunówna, żeś się w. ks. mość raczył w pokornej służbie niby to kochać przez trzy kwadranse, to już dla niej świat ma być zamknięty i nikomu na nią spojrzeć, ani jej sobie nikogo dobrać nie ma być wolno?

— Tylko nie Krzyskiego! zawołał ksiązę, na miły Bóg, tylko nie tego cygana.

— Zkądże ta antypatja, m. ksiązę?

— Zkąd sympatja? spytał Radziwiłł.

— Któż o niej księciu mówił?

— Moje własne oczy.

— To tylko dowodzi, że ksiązę już coraz więcej nie do-widzisz — rozśmiała się panna Zoryna — a czego się nie do-patrzysz, to sobie dokonponujesz.

— Kiedy bo się z panną Ciwunówną dogadać niepod-

bną? — rzekł książę. Chcesz iść panna za mąż? a toć się co lepszego znajdzie niż ta wędzonka z gwoździkiem.

Nastąpiło milczenie.

— Mój książę — poczęła panna — do czego to ta cała rozmowa nasza, nie ma nic i nic nie będzie, a książę siebie i mnie na śmieszność narażasz. To sobie zawarowawszy, mówiła panna dalej, proszę księcia, abyś mnie posłuchał z uwagą. Dla rozumnej kobiety co w mężu potrzebne? Imię, jaka taka prezencja, a charakter taki, ażeby na kiel nie brał i żeby wstydliwych przywar nie miał. — Przecież Krzyskich familja stara i skoligowana, prezencji człek nie ma, ale jej nabierze łatwo, jak się go wytresuje; na kiel jabym mu wziąć nie dała, a co się tyczy przywar...

— Już to tak, panie kochanku, panna sobie ślicznie wszystko ułożyła — zawołał wojewoda — ino po francusku mówiąc, kto bez gospodarza liczy, dwa razy rachować musi. Krzyski ten, djabeł go wie jeszcze czy Krzyski, czy Kryski, czy Kryński, czy kto on taki... prezencja właśnie jak lalki w jasełkach, o kłach przekonania nie było, bo je może pochował... a przywar mu nie zbraknie, bo szelma łgarz zawołany, a wiadome przysłowie kto kłamie...

— Ależ go książę widzę, srodze sobie znienawidził. Za cóż? ozwała się panna.

Dalej nie posłyszał Zabłocki nic, tylko książę sapnął i weszła generałowa Morawska — zagadano o czem innem.

Wieczorem przy rozbieraniu był Zabłocki, książę ciągle markotno wyglądał, próżno go rozbawić usiłowano. Tylko gdy się wszyscy rozchodzili, prosił Strukczaszyca, ażeby zo-

stał na chwilę. Gdy byli sami, kiwnął nań, aby do łóżka się zbliżył.

— Ty jesteś dobry człowiek i mój przyjaciel, rzekł książę — jam grzeszne stworzenie, często gęsto pana Boga obrażałem i obrażam, a no wierzaj mi, w gruncie zły nie jestem. Nikomu źle nie życzę... Tu się coś nie dobrego święci, panie kochanku — panna Ciwunówna gotowa tego trutnia w niedostatku innych akceptować... a ja czuję, że to będzie nie-szczęście. Szkoda kobieciny, panie kochanku... Temu Krzyskiemu, jeśli idzie o co, to o chleba kawałek, a pewno nie o Ciwunównę, trzeba mu inną parę nastreczyć, pomóż ty mi, kogoby to? Zabłocki się aż cofnął.

— Toś nie dobry, panie kochanku — idź że sobie spać. Dobranoc.

Po powrocie z polowania Krzyski, którego wymęczył znać umyślnie Puzyna, dwa dni musiał odleżeć, smarował się, kąpał, a na nogę kulał. Kulejąc zaś pokazać się nie śmiał; panna Ciwunówna znać o wszystkim wiedziała, bo zaraz nazajutrz Puzyny spytała co z nim zrobił i pogroziła mu na nosku. Puzyna o tem księciu doniósł, a książę był gniewny bardzo. Co jednak postanowił nie wiadomo, tylko uważano, że były narady z osobami różnemi. Trzeciego dnia gdy już wydobrzawszy Krzyski się na pokojach pokazał, dekoracja była zmieniona, książę przystąpił sam do niego i zapytał:

— Co to jegomości było, panie kochanku? dwa dniśmy go nie widzieli.

— M. książę, rzekł kłaniając się nisko Krzyski — polowaliśmy z kniazem, nogę sobie obraził.

— Wilczem sadłem trzeba było wysmarować — zawo-

łał Radziwiłł... jak ręką odjął? Panie kochanku... I dłużej wypocząć na kwaterze... dodał, może tam asanu czego brak?

— Nic mi nie brak, oprócz względów w. ks. mości, na którebym rad zasłużyć — mruknął cygan.

Książę wesa pokręcił. — Mój mości dobrodzieju, panie kochanku...

I odszedł.

Krzyski tego dnia płynął jak pączek w maśle — książę łaskawie do niego zagadał, dwór cały jakby na wyprzódki starał się dlań być grzecznym, uprzedzającym, ale tak wszyscy koło niego tańcowali, że tchnąć nie mógł. Miał już tego dosyć i nadto, radby się był uwolnił, nie było podobna. Kroku nie zrobił, żeby ktoś za nim nie poszedł, odciągali go, zajmowali i trapiли, że do Ciwunównej słowa przemówić nie mógł, ani się przybliżyć. Wszystko szło jakby na komendę, a tak zřęcznie, iż się biedak nawet poskarżyć nie mógł, owszem jeszcze dziękować musiał. Chmurny był, ale nadaremnie; do nocy go tak w opiekę wzięwszy, aż na kwaterę przeprowadzili i nie poszli, aż się do łóżka rozbierać począł.

Nazajutrz rano ledwie wstał, wszedł do niego Zabłocki. Tenby już rad był poprawić co popsuł, ale wielka to prawda, że stokroć łacniej złe zrobić niż zrobionemu zaradzić.

W izdebce Krzyskiego było ciasno, siadł Strukczaszyca na sepecie¹⁾.

— Sumienie mnie tu przyprowadza, odezwał się — bo-daj czym wam kłopotu nie przysporzył, wprowadzając na tę

¹⁾ Na skrzyni.

myśl nieszczęśliwą o Ciwunównie. Okazuje się po bliższem rozpatrzeniu, iż z tego nic nie może być.

— Ha? spytał Krzyski — z czego?

— A no, z konkurów i małżeństwa.

— Dla czego? spytał szlachcic, panna mi się podobała — nie okazuje mi wstępu, dalej, dalej, przy świętej cierpliwości, nie razem Kraków zbudowano — jakoś to będzie.

— Nie będzie nic — za to wam ręczę, ozwał się Zabłocki — darmo czas straciecie — ale tu na pannach nie zbywa i posażnych, a dla waszeczki miałem jak obszył wdówkę... powiadam wam.

— Wdówkę, skrzywił się Krzyski, no tak — chleb gotowy lecz nie zdrowy.

— Przesady...

— A ja powiem panu Strukczaszycowi, albo ta lub żadna.

— Kto? Ciwunówna?

— No tak...

— Zmiłuj się, to już niema ci co taić, księżę się w niej kochał, została mu do niej pasja... ona też...

— Tem lepiej, ojczel! tem lepiej! w to mi graj, zawołał porywając się Krzyski.

Zabłocki osłupiał.

— Ale księżę nie dopuści!

Szlachcic ręce począł obracać dzwnym młynicem jakimś... i śmiał się z pod wąsa.

— Proszę to mnie zostawić, to moja sprawa. Od czegoż głowa na karku; Pan Strukczaszyć dałeś mi błogostawioną myśl, za którą mu nieśmiertelnie wdzięcznen będę i obowiązany po wiek wieków — reszta już do mnie należy.

— W. pan nie znasz księcia! rzekł Zabłocki.

— Uczę się, uczyć, prawda, że nie znam, wielka prawda, ale człowiek przy dobrej woli wszystkiego się może wyuczyć... rzekł Krzyski. Książę bywa impetyczny a w gruncie serce złote...

— No tak, odparł Zabłocki, w impecie strzeli i zabije, a co ci z tego, że solenne nabożeństwo i nagrobek sprawi.

— Nic, panie Strukczaszy, do tego nie przyjdzie.

I począł go ścisnąć. Nieszczęśliwy Zabłocki, widząc go tak upartym, dał pokój. Wiem, bo mi to sam później nieraz opowiadał, a w części ja też własnymi oczyma patrzałem na to, iż mu się zdało jakby spokojnie idąc drogą nagle na sztuczną jakąś zasadzkę nastąpił... i alarm wywołał. Zabłockiemu ani się śniło, ażeby jego myśl, rzucona obojętnie, takich zawiślań miała być powodem. Nie wiedzieć co było począć — a szlachcica musiano się pozbyć, bo książę go znienadla i humor mu się popsuł. W Nieświeżu zaś od tego humoru pańskiego zawisło wszystko; gdy książę wesół był, rosły każdemu rogi, dwór aż tętniał od wesela; gdy na pańskiej twarzy chmura wisiała, jakby wszystkich kirem oblókł.

Cierpiał więc każdy na tej komplikacji i wszyscy na nią rady szukali. Książę już w owym czasie nie pierwszej, ba i nie drugiej był młodości, rozmaite dolegliwości czuć się mu już dawały, dokuczała pedogra, o której wszakże mówić nie było wolno, wzrok się mocno popsuł, choć go książę ani czytaniem ani pisaniem nie nadużył, nogi czasem odmawiały posługi, a otyłość czyniła ociężałym. Mimo to wszystko, jak za młodych lat, kiedy się w księżnie Tarakanów, w ks. Kingston i w innych wielu a wielu kochiwał, tak i te-

raz przychodziły mu niewinne fantazje i wspomnienie młodości. Zwykle się ono na tem kończyło, że uboga panienka, której sława przez to na żaden szwank wystawioną nie była, została wyposażoną, wydaną za męża, a nowy buziaczek wzdychania był przyczyną. Smieli się z księcia krewni, żartowały siostry, napominał ks. Katembrink kapelan i spowiednik, ale to nic nie pomagało.

Wszystkie te panie i panienki, w których się książę jego-
mość choćby przez jeden wieczór kochał, zawsze potem w wielkich u niego były łaskach; nie trafiło się jednak, ażeby do której po długi latach, jak teraz do panny Zoryny Pi-
skulskiej, powrócił. Prawda, iż to były amory młodości, owe-
go szczęśliwego wieku co wszystko ozłaca, i że, jak ludzie opowiadali, daleko jakoś dłużej trwały i mocniej zbliżyły osoby, tak że familja lękać się zaczynała, ażeby książę woje-
woda, zakochawszy się, mimo woli rodziny mezaljansu nie zrobił. A trzeba było znać Radziwiłłowskiego domu powagę, ażeby sobie wystawić, za jak straszną rzecz uważano oże-
nienie magnata z prostą szlachcianką.

Dom ten w istocie zarówno królewskim, za lepszy się miał od wielu książęcych, już to kolligacjami z panującymi doma-
mi, już bogactwy ogromnemi wbijając się w pychę.

Z familij królewskich w Europie, naówczas trony obsia-
dujących, nie było ani jednej, z którąby się jakąś nicią acz ceniuchną Radziwiłłowie nie łączyli, z wielu zaś nawet blisko spokrewnionemi byli. Pośród książąt Rzeszy mieli koligatów mnóstwo, a pomniejszym królikom splendorem i fortuną nie tylko dorównywali, ale im imponować mogli. Takiego domu potomek żeby miał ubogą zaślubić szlachciankę, nie śniło się

nawet nikomu. Tymczasem ksiązę był na sercu znać nieszczęśliwym i pociechy szukał jako mógł, albo raczej łudził się się chwilowo, że ją znalazł.

Gdy się to działo, bawiła właśnie i pani jenerałowa Morawska¹⁾ w Nieświeżu, a z nią jej dosyć liczny fraucymer, z pośród którego ksiązę szczególniej dystyngował, co się wszystkim pociesznem wielce wydawało, pannę Różę Sieniankę. Można powiedzieć, że to jeszcze było prawie dziecko, nie wiem bowiem, czy miała lat szesnaście, a była małańka, żywa, zwinna, śmieszek, dowcipna, dziewczyna zręczna i nad wiek wytresowana.

Wiadomo powszechnie, iż niektórym mężczyznom takie niedorostki, gdy je pan Bóg sprytem obdarzy, najlepiej podobać się umieją, osobiwie też starszym. Ksiązę ją inaczej nie nazywał tylko różyczką, a cały dwór szalał za nią. Była to poprostu córka ekonomska, ale ojciec i matka, szczególniej ostatnia, baba kuta, umiała sobie radzić. Naprzód dziewczynkę do klasztoru dała do wizytek wileńskich, gdzie się najlepszych familij córki wychowywały. Tam ona i języka i maniery i tonu dobrego nabrała. Potem już tak wyedukowaną nastreczyła jenerałowej, a nie można było wątpić, iż córka pana ekonoma, ba i wątpliwa pono szlachcianka, los mogła zrobić świetny. Ona też radzić sobie umiała, a że twarzyczka była piękna, główka dobrze umeblowana, przebiegłość wielka, a serca pono mało — mogła dojść daleko. Jenerałowa, choć ją panna Róża bawiła, nie lubiła jej. Wiele sobie bowiem niby jako dziecko i przez dzieciństwo pozwalała,

¹⁾ Siostra księcia Karola Panie Kochanku.

a teraz z księciem dokazywała tak, że czasem włosy na głowie wstawiała, tak była śmiała i zuchwała.

Czysty to był szatanik w motylem ciałku.

Przez tych parę dni, gdy Krzyski zaalarmował staraniem swem o pannę Zorynę księcia, biedna Różyczka zapomniana tak została, iż ksiązę na nią ani zważał. I co dawniej nosił jej cukierki, prezenciki, wymyślał zabawki, teraz i nie spojrzał. Dziewczyna, której znać o to bardzo szło, żeby z łaski nie wypaść i z pomocą księcia posażek zyskać a dobrą partję, okrutnie była zmartwioną. Wszakże nie bardzo to dawała znać po sobie. — Gdy rzeczy doszły do tego, że ksiązę pochmurniał już, a na Krzyskiego patrzeć prawie nie mógł, pannie Róży przysła myśl jakaś dziwna, kto ją wie na co rachowała. Po obiedzie, jak była furkliwa, biegająca, śmieszek i wszystko jej uchodziło, coby żadnej innej nie było tolerowaniem, przybiegła sama do stojącego na uboczu Krzyskiego.

Stała, dygnęła i patrzy mu w oczy, patrzy, szlachcic zaczął się czuć skonfudowanym. Poprawił pasa, pogładził czuprynę, zakręcił wąsa, spojrzał po sobie, czy się czem nie omazał.

Widząc, że ta stoi przed nim wciąż jak wryta i oczki przewraca, naostatek nie wytrzymał.

— Pozwoli panna Róża spytać, co we mnie dziś szczególnego upatrzyła, iżem od niej na takie szczęście zasłużył?

Różyczka parsknęła trochę, zawinęła się, popatrzyła i kiwnęła na niego ręką, aby za nią szedł. Sala była wielka, napełniona po bokach dworem, w pośrodku prawie pusta, tak że wygodnie się niesłyszczanym można było rozmawiać.

Róża go pociągnęła do środka, śmiejąc się, żartując, i poczęła z nim rozmowę. Nikt jej nie słyszał, widzieli wszyscy, każdy ją sobie inaczej tłumaczył — szlachcic się zżymał, potniał, stał jak pod pręgierzem; dziewczyna podskakiwała, szeptała, pluskała w ręce, uchodziła, powracała i dowodziła coś i sprzeczała się, a po kwadransie tej komedji puściła Krzyskiego jak po gorącej łaźni. Odszedł skonfundowany cały prosto w kąt i zaszył się.

Książę, który z Puzyną, jenerałem Fryczyńskim i kilku obcemi gośćmi rozmawiał, widział tę całą scenę. Znać było nawet, że go niecierpliwiła, zżymał się pokilkakroć, a gdy Różyczka odeszła od innych pań, w kilka minut i książę się za nią powlókł.

Ta już siedziała przy krośnach, jak gdyby nigdy nic nie zmałowala.

— Panno Rózo! odezwał się książę.

— Co, książę pan każe? spytała podnosząc główkę z twarzyczką niby posępną i poważną a chłodną.

— Czy i waćpanna się w Krzyskim zakochała? panie kochanku.

— Nie, mości książę, jeszcze nie — odezwała się dziewczeczka — ale wiedząc, że w. ks. mość chcesz się go pozbyć, myślę mu proponować, aby się ze mną ożenił, tobyśmy razem ztąd precz poszli — i — dodała cicho — i księciu by nic nie przeszkadzało... admirować muszki i róż panny Piskulskiej. To rzekłszy, głowę spuściła nagle na krośna i szyla dalej. Książę ręce w tył założywszy, wargę odstawił i stał ponury...

— A kiedy też już i komary mnie kąsać zaczynają — pa-

nie kochanku... szepnął jakby do siebie. Ta szyla bardzo pilno ze spuszczonej na krośna oczyma.

— A co pannie Róży do tego? zapytał po chwili.

— Wszystkim nam na sercu, żebyś księżę był wesół i zdrów — zawołała nie podnosząc oczu — więc i ja pracuję dla dobra powszechnego, ratując księcia jegomości. Przecież by mi księżę powinien być wdzięczny za to, że się poświęcam dla niego. Gotowam pójść za Krzyskiego.

— A to już epidemja jakaś! panie kochanku! śmiejąc się zawołał księżę, którego to rozweseliło — ale wie panna, nie myślisz tego co mówisz.

— E! dla czegoż nie? dla czego? rezolutnie poczęła Różyeczka — jestem uboga dziewczyna, księżę mi tego męża wyposaży dobrze i wyzłoci, to go sobie wezmę...

— Patrzajcież, panie kochanku, to nic pannie tylko o złocenie idzie, a zresztą nie patrzysz jaki mąż...

— Ale ba, mości księżę, ja z niego potem zrobię co zechcę!... rozśmiała się dziewczyna.

— O! to prawda, mosanie, panie kochanku — zawołał księżę — wy wszystkie, jak owa czarownica pogańska, umiecie nas przemienić w woły, osły i cielęta... Ale Różyeczka jeszcze na to za młoda...

— E! ja jestem już stara, bom się napatrzyła wiele, odfurknęła dziewczynka. Bądźże księżę pan spokojny o pannę Piskulską, ja Krzyskiego odbałamucę...

— Cóż mnie waćpanna panną Zoryną, panie kochanku, oczy wypiekasz, rzekł księżę — ja jestem przecie jej opiekunem i bodaj czy jej do chrztu nie trzymałem?

— Wieleżes książę miał lat naówczas? śmiejąc się spytała Róża.

— A jak się waćpannie zdaje, ile ja ich teraz mam?

— Doprawdy ja się na tem nie znam, ale myślę żeś książę nie stary...

— Ja dwa razy, panno Rózo — zawołał książę, wpadając w zwykły swój humor, dwa razy zostałem *de noviter repertis*¹⁾, z gruntu odrodzony. Raz w Wenecji alchemik w tyglu mnie odgotował, posolił i popieprzył, ale potem z wielkich kłopotów prędko postarzałem; więc po raz wtóry kazałem się Cagliostrowi w Warszawie odmłodzić eliksyrem i bardzo mi to pomogło... Gdyby nie to...

— Ale chrzestnej córce książę tego eliksyru nie dawał? szepnęła Różyczka...

Na to zapytanie pochmurniał książę. — Waćpanna jesteś złośliwa! — rzekł.

— Ja, jestem zazdrosna — odezwała się Różyczka.

Wojewoda wąsa pokręcił, popatrzał, pasa pociągnął, ale wtem go jenerałowa po ramieniu klapnęła i zakrzyczała grubym swym męzkim głosem — a proszę mi dziewczyny nie bałamucić... Wara od zielonych gruszek...

Na tem się skończyło, ale Róża, która sobie coś osnuła, zaczęła naprawdę wabić ku sobie Krzyskiego, który jak ów osieł Burydana między dwiema miarkami owsa, nie wiedział którą począć. — Był wszakże ostrożny, żeglował środkiem, zawsze więcej okazując skłonności do panny Zoryny, która wcale nań miłościwie patrzyła.

¹⁾ Na nowo wynalezionymi (sposobami).

Tak kilka dni upłynęło, a książę na Krzyskiego coraz się więcej zżymał, płatano mu figle — robiono przykrości, wytrwały człek nie dał się pożyć, odlatywały od niego te pociiski, nie zaczepiając skóry. W tydzień jakoś, książę poufałych i wypróbowanych swych dworzan wieczorem obesał, aby się na podkurek¹⁾ dla niego zebrali, dla narady o polowaniu. Ci co księcia lepiej znali, wiedzieli już dobrze z samego zakroju, że pewno nie o łowy szło. U drzwi postawiono dwóch hajduków, żeby nie przepuszczali tylko tych których książę chciał mieć u siebie tego wieczora. Na stole stało już wino, kieliszki, pierniki, tłuczenie i przekąski słodkie. Osób zaś wezwanych było z dziesięć, sami albeńczycy, stara gwardja, która pod tym wodzem nie jedną kampanją odbyła. Książę chodził po pokoju zamyślony; na ostatku, gdy się wszyscy zebrali, powiódł okiem, splunął i począł:

— A co? źle z nami, panie kochanku, lada truteń już do Nieświeża wlezie i króluje sobie i hece nam pod nosem wyprawia. Tego nigdy nie bywało, panie kochanku! Wlazł tu przybłęda, mospanie, kto go wie zkąd, ten sukcesor Noego, i panny sobie wybiera jak gruszki z sadu... jakby u nas panom brakło kawalerów i taką drogą rzeczą był konkurent, panie kochanku. A pókić to tego będzie! A pie! a wstyd, a hańba! Należy mu się nauka, panie kochanku.. na tom tu ichmościów zebrał — co czynić. Wtem wyrwał się jenerał Fryczyński. — Dałbym mu pałkami na bębnie i — wyświecił go ztąd...

Książę głową potrząsł. — Żołnierska rada, ale nic po tem.

¹⁾ Późny posiłek, po kolacji (zwykle po północy).

— E! m. książę, przerwał Puzyna... jużesmy nie jednego uchodzili staropolską sztuką, zażyłby jej na niego. Spoić go dobrze, zwadzi się, niech ino szabli dobędzie, zrobimy tak jakby którego z nas zabił, pod strachem popełnionego niby kryminału, czmychnie.

— Dobrzeby to było, rzekł książę, ale czyż nic już na cały Nieśwież, panie kochanku, nikt nowego wymyśleć nie potrafi?

Poczęli sobie tedy wszyscy głowy łamać, ten to, ten owo, a książę głową trząsł — nic mu się nie podobało... Westchnął.

— Ej! mospanie, mój panie kochanku, kniaziu mój, rzekł zwracając się do Puzyny — kiepskie czasy! na umyśleśmy podupadli, za księcia miecznika o koncept dobry nie byłoby tak trudno... a teraz lada Krzyski się z nas naigrawa... lada przybłęda po nas jeździ; a my trusie, panie kochanku... kołki sobie dajemy ciosać na głowie, żebym ja tu miał Wołodkowicza, Rejlana, a moich kilku dawnych przyjaciół, dalibyśmy mu zaraz radę...

Powiódł oczyma, wszyscy wymówką tą czuliśmy się dotknięci.

— Jeszcze, mospanie, panie kochanku, na koncept Radziwilla stać, rzekł, ale kto do wykonania rękę przyłoży!

— My wszyscy! wszyscy! poczęto wołać do koła... jaki taki zaklinał się już na wszelkie świętości.

— Otóż posłuchajcie — zażyjemy trutnia, szepnął książę po cichu, ale naprzód *verbum nobile*¹⁾, że się nikt nie wygada, nawet po pijanemu.

¹⁾ Słowo szlacheckie.

Podnieśliśmy ręce do góry; książę już usta otworzył i miał mówić począć, ale się raptem wstrzymał.

— Dziękuję kochanym moim panom a braciom za ich serce ku mnie i gotowość posiłkowania, aby dom Radziwiłłowski szwanku nie poniósł... ale stary rozum uczy, że w dziesięciu sekretu niema.

Wydobył ogromną chustkę z kieszeni książę i węzełków trzy na niej zawiązał.

— Proszę się ustawić wedle tego jak serce dyktuje; mam trzy chusty, jest węzłów dwanaście... kto wyciągnie, należy do spisku i zostanie, panie kochanku, wtajemniczonym, a kto odejdzie, choć sekretu wiedzieć nie będzie, pomagać na zawezwanie ślepo i z posłuszeństwem obowiązany...

Na stole były dwie chusty białe — złożono końce; książę odwróciwszy się do pieca, trzy węzły zadzierzgnął i wyciągnął nam rękę, abyśmy z kolei losu probowali. Szedłem jak pamiętam z kolei trzecim i dostałem koniec pusty bez węzła, zabierałem się więc odchodzić, gdy książę dodał:

— Napij że się wina na drogę, aby się nam powiodło... i panie kochanku... idź spać.

Tak się stało, węzły wyciągnęli trzy: Zabłocki, Wojnarowicz i Korsak. Reszta submitując się, że choćby karku nastawić gotowa dla satysfakcji księcia, rozeszła się po kwaterach; szedłem z Macewiczem, który, jak dziś pomnę, powiada mi:

— Dalipan za wiele honoru na takiego Krzyskiego! polują nań jak na grubego zwierza, a to chudy zając.

I tak szliśmy odpocząć.

Nazajutrz wielka nas ciekawość brała, co to się z tego wyświęci, ale nadaremno nastawialiśmy oczu i uszu — nie

przyszło nic nowego. Tylko Wojnarowicza nie stało przy obiedzie. Książe pyta Puzyny głośno:

— A cóż to Wojnarowicz? czy nie chory? co mu jest?

— Nic, mości książe, — dostał nagle wezwanie do domu, ktoś mu tam zasłabł. Jeszcze w nocy pojechał.

— A kiedy wróci?

— Nie mówił.

Krzyski jakby swój koniec przeczuwał. Korzystał ze swobody danej mu i gorąco się brał do panny Zoryny, — ale teraz ani mu kto przeszkadzał, ani się kto o to troszczył — dali mu zupełnie pokój. Późno wieczór Macewicz mi powiada ze śmiechem:

Wiesz asan co — ot wczora, mało sobie szacując tego Krzyskiego zbłądziłem; to człek sprytniejszy niż się zdaje. Nim na niego zapoleją, on pannę Zorynę pochwyci.

— Albo co? spytam.

— Dzisiem ich rozmowę słyszał, oni to już znają się jak tyse konie...

— Kto?

— A Zoryna z nim.

— Gdzieżeś to asindziej podsłuchiwał?

— To moja rzecz, dość żem gotów powtórzyć co mych uszów doszło.

Opowiedział mi tedy co następuje, iż po obiedzie, gdy wszyscy poszli po ogrodzie i szpalerach, znalazł pannę Zorynę przechadzającą się samotnie w ulicy, do której jakby na r e n d e z - v o u s przydreptał Krzyski. Macewicz stał za grabem i nie odszedł, taka go ciekawość zdjęła, co oni z sobą rozmawiać będą. Krzyski tedy przyszedł bardzo pokorny,

nieśmiały; a panna go przyjęła niezgorzej. Coś bąknęła z początku, czego nie dosłyszał, potem panna Zoryna spytała go:

— Masz waćpan liczną familją?

— Jestem tak nieszczęśliwy, że mi nie pozostało nikogo, rzekł Krzyski — w czasie ostatniego powietrza wszyscy mi wymarli.

— Masz waćpan jaki majątek? — Krzyski jakby się zakrztusił.

— Mam, ale się go doprocesować nie mogę.

— Gdzie?

— W Rusi... Łyknął i zamilkł.

— Czyś waćpan kiedy gospodarował?

Brała go na konfesaty¹⁾ widocznie.

— Czemuż nie! a jakże! zawołał Krzyski, szlachćcie się rolnikiem rodzi... mamy to we krwi...

— Bywałeś waćpan na dworze?

Tu długa nastąpiła pauza. — Muszę się przyznać — odparł obżalowany, że oprócz dworu Sultana tureckiego innego nie znam.

Panna kiwnęła głową.

— Cóż tu waćpana sprowadziło?

Zadumał się Krzyski, rękę potem na sercu położył westchnął i zawołał patetycznie.

— Przecucie mych losów! Byłem całe życie bardzo nieszczęśliwy, wiodło mnie coś do Nieświeża w nadziei, iż tu mnie za wieloliczne niepowodzenia czeka nagroda... że tu ujrzę nareszcie słońce...

¹⁾ Na spytki.

Panna nie odpowiedziała nic...

— Kto dużo cierpiał, ozwała się postępując dalej, tak że Macewicz zaciekawiony rozmową po za szpalerem od pnia do pnia przeskakiwać musiał, kto dużo cierpiał, wiele się powinien był nauczyć...

— Trudno to się chwalić — odparł Krzyski — ale mnie wolno spróbować...

Pannie Zorynie uśmiech pobiegł po ustach...

— Waćpan u księcia nie masz łaski?...

— Staram się o nie...

— Bądź waćpan uniżony, ale nie natrętny, i nie schlebiaj zbytecznie... Dalej już nie słyszał co mówili Macewicz, ale z sobą poszli razem i długo jeszcze trwała rozmowa.

Mnie, przyznając się do tego grzechu — choć człowiek był niemily i niechwytałający za serce, żal nieco było tego przybłądy, bom już miarkował z przygotowań, iż się mu coś dobrego musiało gotować. Kiedy księżę nieświeżskiego figla komu splatał, nie łąda on był, a nosił się z nim nie jeden życie całe.

Kilka dni nie było Wojnarowicza, naostatek powrócił. Tego samego dnia pod wieczór... pyta księżę głośno w sali panią generałową:

— Znasz asińdżko, panie kochanku, kasztelanową Zabrzezińską?

— Zabrzezińską? czekaj! ależ to rodzina wygasła! Zadnych już Zabrzezińskich niema! Chyba Brzezińską...

— Zabrzezińską — mówię! potwierdził księżę serjo, wdową po Hieronimie Zabrzezińskim.

— Po jakim?

— A to asińdzka nic nie pamiętasz...

Spór się wzdał, kto znał jakiego Zabrzezińskiego, kto słyszał o jakim, i okazało się, że tylko Wojnarowicz, Zabłocki, Korsak i ksiązę wiedzieli coś o Zabrzezińskiej.

— To wstyd, panie kochanku, dodał wojewoda, żeby o tak znacznej familii losach nie wiedzieć i osób a kolligacyj nie znać. Dawniej u nas, panie kochanku, każdy, nawet młody chłopiec. wyrecytował z pamięci filjacją każdej znaczniejszej rodziny w kraju, dziś wszystko zmarniało... Notabene, panie kochanku, że pani Zabrzezińska — osoba jest niepospolita... de domo Turska, a rodzi się z Dulskiej hrabianki... W młodym jeszcze wieku dla nadzwyczajnych bogactw i piękności, straciwszy rodziców, przez opiekunów oddana do klasztoru do Lwowa na wychowanie, przez jednego księcia Woronieckiego została wykradzoną i poślubioną. Wytoczono proces, odebrano mu żonę, ślub został uznany nieważnym i opiekunowie ją, panie kochanku, wydali za Opalińskiego... Z tym żyła półtora roku bezdzietnie, poczem owdowiała. Idąc tedy za głosem serca, panie kochanku — oddała rękę niejakiemu Hormajorowi baronowi, który w sześć miesięcy potem w pojedynku zginął, a dopiero po jego śmierci wyszła za Zabrzezińskiego i — owdowiała znowu...

Tym sposobem, nie licząc tego męża, panie kochanku, którego konsystorz nie uznał, miała trzech albo raczej półczwarta małżonka... i baba ciepła, panie kochanku, z fortuną wielką, bezdzietna, choć nie młoda, gotowa jeszcze wyjść za mąż.

— Zkądże to panu bratu przyszło mówić o tej Zabrzezińskiej? — spytała generałowa Morawska.

— Jużci nie bez przyczyny — odparł książę. — Piszą mi, że mając dobra pod Słuckiem, w których nigdy nie była... jadąc je zwiedzić, pewnie do Nieświeża wstąpi.

— Istotniebym ją ciekawa zobaczyć — rzekła pani Morawska...

— Trochę głucha, dodał książę — i z tych ustawicznych smutków, a z czworakiego wdowieństwa, melancholij dostała; mało słyszę mówi... niewielka z niej pociecha.

Rozmowa się na tym skończyła — a że gość w Nieświeżu osobliwością żadną nie był, oznajmienie też o przybyciu kasztelanowej Zabrzezińskiej przeszło, nie czyniąc wrażenia.

Tylko gdyśmy od stołu wstali, Zabłocki śmiejąc się przystąpił do Krzyskiego i powiada mu: Ot! gratka!! jak wdówka przyjedzie, rzucaj asindziej Zorynę, a pal do tej w konkury... to dopiero zrobisz interes nie lada.

Ramionami tylko ruszył Krzyski i usta wykręciwszy po swojemu, śmiać się począł — ależ bo też! rzekł po cichu — daj mi już asindziej pokój.

Dziwna się rzecz stała, że książę teraz jakby się z tym Krzyskim pojednał, mówił z nim często, żartował, był bardzo łaskaw i jakby się dopiero w nim rozsmakował, całe się stał innym. — Krzyski, przypisując to swym przymiotom, w to mu graj, ciągle księcia ani puścił. — Gdy wojewoda dykteryjki opowiadał, ten forsował i pomagał, tak że we dwu grali niby duet, przesadzając się na niedorzeczności; boki trzeba było zrywać ze śmiechu. Niekiedy tylko, gdy

wśród tego wesela księciu oko błysło po radziwiłowskiu, coś w wejrzeniu było złowrogiego.

Upłynęło tak dni kilka, Krzyski nawet trochę się opuścił około panny Zoryny, tańcząc przy księciu ciągle, który widocznie go chciał przyhołubić. I dokazał tego łatwo. Jednego dnia rano, w zamku widzę bardzo się wszystko poruszyło, książę kazał podać kontusz z guzami koralowemi perłowy, który był od występów...

Dowiaduję się — na obiad ma przybyć owa zapowiedziana kasztelanowa Zabrzezińska. Posłyszawszy historię o czterech mężach, każdy ją był ciekaw widzieć, jenerałowej nie wyjmując. Około południa toczy się karecisko stare od miasteczka, służby kilkoro, konie zdrożone, niepocześnie jakoś... książę czekał w sieni, poszliśmy wszyscy dla reprezentacji. — Patrząc wysiada kobieta staroświecką modą ubrana, dobrze niemłoda, twarz pomarszczona, figura przygarbiona, nie ładna, ale wyfiokowana śmiesznie, i różem i bielidłem. Przypatrzywszy się, znać było, iż niegdyś może była piękną, ale z tego mało co zostało... Tylko w oczach sprytu wiele. Książę jej rękę podał i na pokoje wyprowadził, jenerałowa się przywitała, kłaniała się, dygała, ale mówiła mało... U stołu niewieleśmy też rozmowy słyszeli bo stół był długi a mówiła cicho. Dopiero powstawszy, kiedy ją posadzono w sali na honorowym miejscu, ten i ów się zbliżał, podsłuchując rozmowy, bo się też jakoś ośmieliła i rozgadała.

Oczyrna też rzucała tu i owdzie po twarzach, szczególnie mężkich, jakby sobie do upodobania kogoś szukała. Ale się starej babie nikt zalecać nie myślał... Z jenerałową mó-

wiąc utyskiwała straszliwie, iż jej bardzo przychodzi trudno zarządzać obszernemi włościami, że ją oficjaliści okradają, że straty ma znaczne, że majątności dzierżyć nie kobiecej głowy rzecz.

A wtem ksiązę, który stał podle, ozwie się: Boć też, pani kasztelanowa, powinnaś pomyśleć sobie o towarzyszu, a przyjacielu, któryby ją, panie kochanku, w tem wyręczał.

Ta zaś rzecze głośno.

— Albo to łatwo, mości ksiązę — znaleźć sobie przyjaciela? Jeszcze póki się było młodą a gładką — co innego... a teraz...

Pokiwała głową — ksiązę Wojnarowicza trącił łokciem.

— Nie żonaty jesteś — rzekł, a coś pomyśleć by o tem! Wdówka jeszcze nie bardzo zwiędła... a majątek pański..

— Ja już do tych funkcyj kandydatem nie jestem... odparł się Wojnarowicz... nabrałem dość grochowych wianków.

Wieczór po strzelaniu do celu i różnych figlach, ksiązę do siebie na miód zaprosił. Miód to był co go tam drożej ceniiono niż najstarsze wino, istny nektar, rzadko się okazujący na stole. Ksiązę go sam lubił i utrzymywał, że zdrowszego napoju nie znaleźć. Prawda że był mocny a słodki, gęsty, wonny i szedł do gardła, jakby do własnego domu. Poczęło się plectenie banialuków okrutne, a żarty, a płasy, a śmiechy — aż się pułapy trzęsły. Krzyskiemu też Wojnarowicz dolewał dobrze, aż go podochocił porządnie. Sądząc, że jest w wielkich łaskach u księcia, mój jegomość podlaał pod samo krzesło pańskie i zabawiał go jak mógł. Szczególny miał dobór staroświeckich pieśni, o których u nas nikt nie

słyszał, hulackich zamaszystych, a tych się chętnie od niego uczono. Jedną tylko zapamiętałem.¹⁾

Hej kielicha, kielicha,
Bo mi w gardle zasycha!
I na duszy mi smutno...
I w sercu bałamutno...

Trzeba zalać robaka!
Hej sklanicy, szklanicy,
Bo mi mętno w żrenicy...
I w sumieniu wąż wierci...
I myślę już o śmierci.

Trzeba zalać robaka...
Hej puhara! puhara!
W oczach stoi mi mara,
Świat do koła się kręci...
Tracę resztę pamięci...

Trzeba zalać robaka...
Hej wiadrami, wiadrami,
A kto nie kiep — ten z nami!
Napijmy się do zdecha...
Tylaż nasza pociecha...

Trzeba zalać robaka...

¹⁾ Pieśń z rękopisu XVIII w. p. 13. M. (P. A.).

Tę pieśń gdy zaintonował, jakoś, tak rażno szło, żeśmy ją dośpiewali, nie mogąc mu się oddziękować, iż nas jej nauczył. Książę mruczał i wąsem kręcił i powiada do niego:

— Zuch z waszeci, panie kochanku, ja nie rozumiem, że się aści pan z talentami do dziś dnia nie osiedlił gdzie, nie ożenił i nie zrobił fortuny!?

— Szczęścia nie było, m. książę! rzekł skromnie Krzyski.

— E! co to tam szczęścia! bałamuctwo — odparł książę, mów chyba asindziej, żeś odwagi nie miał. Albo i tu w Nieświeżu, tyle panien i wdów, różnych różności, panie kochanku, posażnych majątnych — otyś się do której wziął.

— Zebyś mnie w. ks. mość chciał poswatać! — skłonił się Krzyski.

— No — chętnie, nie od tegom, asińdziej pewnie tego nie wiesz, że to ja króla portugalskiego z księżniczką holenderską swatałem, a bejowi tunetańskiemu ¹⁾ dałem za żonę cesarzównę perską.

— O tem nie wiedziałem...

— I gdyby nie jeden golibroda, co mi szyki pokrzyżował, byłbym wielki aljans do skutku doprowadził, królowę hiszpańską wydając za syna króla angielskiego, ale mi austrjacy przeszkodzili. Książę puścił się już w swoje opowiadania.

— Większych rzeczy dokazywałem, dodał, panie kochanku. Markiza del Pirogo, mającego lat 85 i sześć miesięcy, jak obszył, wyswatałem i ożeniłem z baronówną von Speck mającą lat nie pełna szesnaście. Cóż asińdziej po-

¹⁾ Władcy Tunisu.

wiesz, mieli sześcioro potomstwa. Markiz ze starego odmłodził tak, że menueta tańczył, a żona tak jakoś zestarzała, iż rychło się dorównali z sobą i było to najszcześliwsze małżeństwo na świecie.

— Zebyś też w. ks. mość raczył i mnie równie szczęśliwie dobroczynną dłonią zaswatać... rzekł z ukłonem Krzyski.

— Czekaj tylko asińdziej, wszystko to być może, tymczasem sobie, panie kochanku, napatrz a miej za regułę, że goły z ubogą, żenić się nie mogą. Szukaj kobiety statecznej, a majątnej, na wiek nie zważać nie trzeba, na piękność nie patrzeć, bo gdy się oczy przyzwyczają, to i Venus, panie kochanku, będzie obojętna, a bez pieniędzy życie obmierźnie... Co się tyczy innych przymiotów, panie kochanku, dodał ksiązę — to ci tylko powiem, że mężczyzna, który się kobiety boi, a przebiera w nich, skukając aniołów, nigdy szczęśliwy nie będzie. Żona — panie kochanku bierze się jak glina, z której ręce męża powinny taką figurę wycisnąć jaką sobie kto życzy... panie kochanku...

— Zdrowe rady, w. ks. mości, zawołał ręce podnosząc Krzyski — prawdziwe godne wielkiego mędrca i filozofa... Ksiązę nań popatrzył śmiejąc się.

— A wiesz asińdziej, panie kochanku, że to co mówię, tom słyszał od prostego chłopca, tyłkom sobie dobrze zapamiętał.

Krzyski głową potrząsnął; nie odpowiedział już nic, ale na twarzy jego znać było, iż mu łaska książęca dodała odwagi i humoru. Ksiązę też w duchu lepszym był niżesmy go od dawna widywali, tak że wszyscyśmy z tego byli szczęśliwi.... i wieczór przeszedł jak jedno oka mgnienie.

Następnych dni dowiedzieliśmy się iż kasztelanowa Zabrzezińska, która zaraz odjeżdżać miała, na prośby księcia i z powodu niezdrowia, przystała jeszcze na dni kilka... Milcząca w początkach, następnie spoufaliwszy się nieco z otaczającymi rozmówniejszą się stała i z mężczyznami chętnie dłużej rozprawiała wesoło... Kobieta rozkrochmaliwszy się wydała się bardzo oryginalną, bo choć miała odebrać wychowanie staranne, obejście się jej było bardzo proste i niewykwintne, obyczaje dziwne. Pierwszy raz w życiu zobaczyłem taką wielką panią, wprowadzie małym kieliszczkiem, pijącą wódkę przed obiadem. Wino też nie było jej wstrętnem. Anegdotek wesołych słuchała chętnie, uśmiechając się, i opowiadała niektóre bardzo śmiało. Księżę jej dopomagał. Nie wiem już którego dnia i z jakiego powodu, Krzyskiego, który stał słuchając z boku, księżę sam kasztelanowej zaprezentował.

— Muszę też pani kasztelanowej dobrodziejce przedstawić ciekawego, panie kochanku, człowieka, którego mi tu szczególnie traf do Nieświeża zesłał... Imci pan Krzyski z Rusi, szlachcic, podróżował wiele, był w Stambule, przywiózł do skarbcu nieświeżskiego butelkę wina własnej roboty patriarchy Noego... Złożyliśmy ją w skarbcu jako klejnot drogi, panie kochanku. P. Krzyski człek światły i miły, bywalec, widział dużo i umie wiele... Gdyby pani kasztelanowa potrzebowała *a m a n u e n s a*¹⁾ lub plenipotentą...

Krzyski się kłaniał, i co odprostował, to znów do pięt nagiął, a ledwie odgiął, musiał jeszcze bić czołem. Nam

¹⁾ Podręcznego, sekretarza.

zdala patrzącym wydawało się, jakby kto lalkę w jasełkach sznurkiem ciągał, bo Krzyski miał właśnie takie ruchy dziwne i gwałtowne; Kasztelanowa zaraz go zagadnęła i poczęła z nim rozmowę; książę się powoli wysunął i zostali tak w niewielkiem kółku, a szlachcic zagadnięty o Konstantynopol, o wschód, o sultana, kłamał jak najęty. Kasztelanowa w ręce uderzała powtarzając — dziwo! dziwo! Znać było że ten peregrynant zachwycił ją powieściami swemi o wschodzie, bo go jegomość wstrzymała bardzo długo przy sobie.

Następnego dnia znowu, za ledwie Krzyski się ukazał, kasztelanowa go pozwała do opowiadania nowych bajek, posadziła go nawet przy sobie i cale dystygowała nad innych. Wszyscyśmy to jego szczęście postrzegli. Wieczór i dni następnych jeszcze się to coraz stawało wyraźniejszym. Krzyski, nie można było po nim poznać, czy rad czy nie kontent, posłusznym był, ale konkury około panny Zoryny nieco się przerwały... Jednakże mądry chłop umiał swoje interesa tak prowadzić, aby panny Piskulskiej nie zrażać. Wyrwał się zawsze do niej na chwilkę, poszeptali, a że bawić gościa dopomagał, tego mu i Ciwunówna za złe wziąć nie mogła... Książę się zdala przypatrywał... Któregoś dnia, widzę, wziął Krzyskiego za pętlę od guzika i poprowadził do okna, przy którym ja stałem.

— Mój Krzyski, panie kochanku — rzecze do niego, czyś ty ślepy czy niedołęga.

— Albo co, mości książę!

— Chyba oczów nie masz, jeśli nie widzisz, że kasztelanowa się w waszeci, panie kochanku, szalenie rozmiłowała.

Krzyski spojrział, brwi mu wyszły aż na środek czoła

i opadły, nos się skrzywił, ramiona jakby ze stawów wyjść chciały.

— Niechże księżę nie żartuje... odpowiedział.

— Ale to nie żarty! waćpana szczęście niespodziane spotyka! panie kochanku. Bierz się w kupę do baby! Ja ją przez przyjaźń dla waszeczki zatrzymam tu, smal dobrze cholewy, a gdy chwilę upatrzysz oświadczyć się, panie kochanku... Bo, przypuściwszy w najgorszym razie, gdybyś w ucho wziął od kobiety, cóż ci to zaszkodzi, posmarujesz winem z rozmarynem i odejdziesz... a jeśli ci się uda!! miarkuj... panie kochanku.

Krzyski stał zamyślony, ale drygnął cały, nie mogąc przyjść do słowa, i odpowiadał rękami zawczasu.

— Księżę jakoś aż nadto łaskaw na sługę swego, rzekł pokornie — alem ja nie tak zakuty i nieostrożny jak się zdaje... Wysokie progi na moje nogi... a przytem mości księżę, ja do wdów nie miałem nigdy nabożeństwa.

Wojewoda stojąc nad nim węża kręcił.

— Wiesz co, Krzyski, rzekł, nigdym, panie kochanku, nie myślał, żebyś ty był taki ciemiega! Cały dwór to widzi, ja przysięgnę, że baba zaszłapała, a ty ślepym jesteś.

Krzyski głową kręcił — uśmieszek mu igrał po ustach dziwny, zdawało się jakby komedją grał i z trudnością się mógł od śmiechu powstrzymać, to znowu przybierał minę poważną i mówił z wielkiem niby przekonaniem.

— Nie trzeba się spieszyć — odparł Krzyski... a no, śmierć i żona, przeznaczona, jeśli *fatum*¹⁾ mi tę reliwię wydzieliło... już ona nie minie.

¹⁾ Los.

Książę wążem pokręcił — Jak sobie chcesz, panie kochanku...

Widząc i słysząc co się święciło, dworzanie też napadli na nieboraka, prześladować go wdową starą i animując aby targu dobijał. Krzyski stał jak oto dzik kiedy go ogary opadną, ufny w kły, niezłękniomy i pewien siebie. Odcinał się zrzęcznie, a gdy się wymknąć potrafił, uważaliśmy że popadł do Ciwunówny. Książę to także widział i pokwasił.

— Ale to głupi człek, panie kochanku — zawołał — uczepił się! zapewne słodki kasek ale nie dla waszeci.

— Daćby mu pokój, mości książę, szepnęła Wojnarowicz, niech idzie po swej woli, na wszystko się w końcu rada znajdzie.

Tydzień przeszło na takich różnych rzeczy obrotach przeminał, a z Krzyskim sobie rady dać nie było można. Zdawało się nawet że do porozumienia zupełnego przyszedłszy z panną Ciwunówną, spokojnie się zachowywał i minę miał bardzo wesołą, — kasztelanowa mu w istocie niemal codziennie większą okazywała konsyderacją, codziennie opowiadać jej coś musiał o Stambule i sultanie — ale co czynił to jak za pańszczyzną i nie wywzajemniał się wcale afektem biednej kobiecie. Uważaliśmy to, że gdy jenerałowej Morawskiej i innych dam nie było, a rozmowa między nimi się wszczęła, Krzyski gdy się tylko obejrzał, że sami są mężczyźni, kasztelanowej dziwołagi od rzeczy prawil i niekiedy bryznął tak czemś tłustem, żeśmy się aż lękali, przecież staruszka śmiała się, przyjmując to za dobre...

Znów tedy książę atak przypuścił do Krzyskiego, żeby ze swego szczęścia korzystał. Wybrał do tego chwilę gdyśmy

byli wszyscy na dole w sali obok sypialni książęcej, wyprowadziwszy tylko szlachcica na cztery oczy do swej komnaty. Kazał mnie, Zabłockiemu i Wojnarowiczowi słuchać, jak się do niego weźmie. Myśleliśmy, ja przynajmniej, iż książę tem napędzaniem chce go na dudka wystrychnąć. Ale otóż jak rzecz poszła.

Krzyski jakby się spodziewał, iż zostanie zawezwany do sypialni, wszedł spokojny, czuba zecierając... książę siadł też przy drzwiach.

— No, mosanie, panie kochanku, mam mu służyć za swata? namyśliłeś się? Kasztelanowa za waszecią przepada. Co ty myślisz...

— Ja myślę, że mógłbym przepaść przez nią, rzekł Krzyski.

— Dla czego? jak? co? panie kochanku.

— To jest tajemnica — odparł szlachcic.

— Jaka? tajemnica? co? śni ci się! mów panie kochanku.

— Chyba mi wasza ks. mość dasz słowo, że... za złe mojego zwierzenia się nie weźmiesz.

— Ale mów, panie kochanku.

Ten chrząknął i stanął w pozycji jak do tańca lub uroczystej mowy.

— Mości książę rzekł — źle się dzieje, gdy na najdostojniejsze domy w ojczyźnie zuchwałe szalbierstwo się targa... Tak jest, m. książę... Obawiam się, czyli księciu nie zagraża niebezpieczeństwo, czy nie osnuto tu czarnej intrygi, na jego kieszeń lub spokój.

— Gdzie? kto, panie kochanku — przerwał książę powstając nagle...

— Jam tu po Litwie, m. książę, dosyć się włóczył, rzekł Krzyski, a były miejsca gdzieś i siadywał... ludzi różnych znałem wiele... Czy uwierzyłbyś w. ks. mość, że w Słucku po bogatym dosyć szewcu została wdowa Zabrzezińska, sławna z wielu awantur kobieta, która oto miała odwagę pod imieniem kasztelanowej tu przybyć, aby z księcia, mojego łaskawego pana a dobrodzieja, w niegodny sposób sobie zażartować... Szczęściem że...

Nie domówił więcej, bo mu książę własną ręką usta zatknął i w największej pasji zawołał:

— Milcz... trutniu, panie kochanku, milcz że nie...

Krzyski umilkł... Wojewoda wypadł do nas zmieniony, blady, trzęsący się, dał znak Wojnarowiczowi, aby z nim do sypialni szedł. Krzyski stał tu wypogodzony i całkiem spokojny, poprawując nieco poplątanych wąsów — natychmiast Wojnarowicz go złapał i poprowadził do kąta. Rozmowy już nie słyszeliśmy, tylko widać było, że się z sobą ujadali bardzo, choć bez zwady. Jeden przyskakiwał do drugiego i odstępował, machali rękami, nasuwali się, sprzecali. Krzyski wymijał się, łamał po swojemu jakby sztuki pokazywał. W ostatku przyszło do jakiegoś porozumienia i Wojnarowicz mu coś na w ucho poszeptał, na co się tamten zgodził i rozeszli się spokojniuteńko. Szlachcic sypialnię opuszczając a mijając księcia, pokłonił mu się nisko i w ciżbie zniknął.

Mnie ta pierwsza rozmowa i ta wdowa po szewcu klinabiła w głowę, schwyciłem Wojnarowicza wpół, do kąta. — Gadaj! co to jest! wszystko słyszałem.

— Cóż ja ci powiem, chyba że to dola nieszczęśliwa tego Noego sukcesora nam przyniosła tutaj. Powinieneś się do-

myśleć... ksiązę mu chciał figła spłatać, a ten szatan zwałchał witerunek...¹⁾ Umyślnie tu ze Słucka sprowadzono tę wdowę Zabrzezińską... nie może być, żebyś o niej nie słyszał... Jest to szlachcianka (inaczejby u stołu księcia nie siedziała), która wyszła za szlachcica zubożałego, co butami handlował na Rusi. Baba była niegdy szalona i co mieli grosza straciła... chcieliśmy z nią Krzyskiego ożenić... nie udało się...

Wojnarowicz był zdesperowany, co oni to trzej pomocnicy księcia ten piękny figiel tak niezręcznie osnuli... i co mieli wziąć Krzyskiego, ten ich złapał.

Nie widziałem nigdy jeszcze księcia tak smutnego i zgryzionego... biegał tylko i szeptał wszystkim kogo spotkał: pilnujcie mi Krzyskiego, żeby nie drapnął, bo Nieśwież oniesławi... na miłego Boga, choćby go do trumny przyszło zamknąć a nie puścić. Szlachcica nie było co pilnować, bo ani myślał uciekać, a miał tyle rozsądku, że o swem odkryciu nikomu ani pisał. Owszem dla niepoznaki poszedł do owej słomianej kasztelanowej i bawił ją przez dobre pół godziny. Potem się zakręcił jeszcze... Ciwunównie zaniósł dobranoc i z nami wszystkimi wyszedł razem, dążąc do swojego dworku. Tu mu już podobno ksiązę wcześniej stróżów kazał posłać — tak się lękał, aby nie uciekł i całej historii nie rozgłosił.

Figlaby się był Radziwiłł całe nie sromał, ale że go filut tu złapał i wziąć mu się nie dał, był niepokieszony. Powiadali mi później, że z Puzyną siedział do północy, wzdychając i narzekając na niedołęstwo przyjaciół swych, na dołę, która go

¹⁾ Kierunek wiatru (słowo ukute dla dowcipu).

prześladowała, że mu się nigdy nic nie udawało i że dom Radziwiłłowski upada. Trzeba było oczywiście szlachcica, który zwąchał zdradę, załagodzić: przywiązać, posmarować czemś... najłatwiejszą rzeczą było go z Ciwunówną ożenić, a tego właśnie wojewoda sobie nie życzył. Nazajutrz rano nim jeszcze się na zamku ruszać poczęto — kasztelanowa zniknęła... Powiedziano, że pozdrowiawszy do dóbr swych odjechała... kilka osób tylko świadomych było przygody, tajemnica więc utrzymać się mogła... Krzyski swoim zwyczajem przyszedł przed objadem, zdaleka sobie stanął, skłonił się skromnie i jakby pewien swego naprzód się nie wyrывał.

Księżę mijając go, głową mu tylko kiwnął, odpowiadając na niski pokłon, a szlachcic miejsce u stołu zajął niby przypadkowo niższe i dalsze niż zwykle. Zniknięcie kasztelanowej, różne wieści chodzące o tem po dworze, mogły dać powód do rozmowy publicznej przy stole, czego znać księżę chcąc uniknąć, rozpoczął zaraz sam bałamutne opowiadania jakieś i nikomu o rzeczach zwyczajnych do słowa przyjść nie dał. Gdy to ten, to ów zagadnęli z innej beczki, bardzo umiejętnie narzucał swój przedmiot i tak szczęśliwie doszliśmy aż do wetów, a pędce też powstali.

Nigdy jeszcze Krzyskiego tak skromnym i cichym a razem tak uspokojonym nie widział. Spozierałem nań z ciekawością wielką i przekonałem się, że był człowiek wytrawny, który sobie radzić umiał. Przychodziło mi nawet na myśl, iż go już pewnie zagodzić musiano, alem się mylił, bo od wczorajszego dnia nic nie zaszło nowego. Panna Ciwunówna była też przy stole i w bardzo wesołym humorze, nie patrzyła niby na swojego adoratora ale go widziała dobrze

i czuć było, iż między tem państwem panuje jak najlepsze porozumienie. Przyznaję się do grzesznej ciekawości, iż gdy zobaczył ich idących do drugiej sali, stanąłem tak, bym rozmowy posłuchać mógł. Nie będę się taił ani tłumaczył się, iż to w interesie księcia czyniłem, bom folgował też własnej mej słabości. Szeptali zrazu po cichu z sobą coś, że dosłyszeć nie było podobna; potem Krzyski rzekł:

— Nie kłamię.

— Ale mi asińdziej prawdy nie mówisz całej, odezwała się Ciwunówna do niego — ja zaś należę do tych osób co i niewielkiem zadowolić się umięją, ale fałszu nie cierpię. Mówże mi waćpan całą prawdę o sobie, bom ją wiedzieć powinna.

— Proszę pytać — daję słowo szlacheckie, że nie skłamię — rzekł Krzyski.

— Gdzieś się waćpan rodził i czy to prawda, że z tamtych Krzyskich pochodzisz... jak mówiłeś księciu?

Szlachcic milczał.

— Żem Krzyski, toć mętrykę składam, i żem urodzony w niej stoi... przecie nieszlachectwa mi nikt zadać nie może... a żem we Lwowie w bursy pauprem¹⁾ był, toć nie krzywda...

— Familją waćpan masz?

— Wymarła.

— Wszyscy?

Krzyski milczał.

— Mów że mi pan prawdę.

¹⁾ Ubogi uczeń, utrzymujący się z fundacji dobroczynnej (bursy).

— Tak jak wszyscy... jedna mi tam siostra została, która nie zawadzi nikomu... alem się ja jej wyrzekł, bo za mieszcucha Tyczaka poszła.

— A pfe! zawołała Ciwunówna.

— Trudnoż było na pasku trzymać... westchnął Krzyski, ja do niej a ona też do mnie się nie przyznaje... mąż kupiec znaczny i człek majątny, ormjanin...

— Więcej kogo waćpan masz?

— Żywej duszy...

— Gdzieżeś się waćpan do tej pory obracał? spytała Ciwunówna.

— A! po całym świecie! — z różnych się pieców chleb jadło. Prawdę rzekłszy począłem od seminarjum, ale pobywszy lat dwa poczułem, że do stanu duchownego żednej skłonności nie mam... Musiałem się wywlec... Służyłem i w wojsku, jakoś mi i tu nie szło... Gospodarstwa też sprobowałem, grad i posucha się na mnie uwzięły, wyszedłem z torbami. Byłem dworzaninem u księcia wojewody, z którym aż do Stambułu dojechałem... i tamem biedy napytałem...

Począł biedaczysko wzdychać.

— Panno Ciwunówno dobrodziejko, odezwał się pokornie, — jak pana Boga kocham, gorzej się ja wydaję niż jestem. Człowiek nie zły, tylko mnie smutne nader wypadki przywiodły do tego, że m ludźmi pogardziwszy, postanowił z nich skórę drzeć, jak oni moję poszarpali. Doszedłem do tego na świecie, iż pochlebstwy a sztuką więcej zyskać można niż prawdą a cnotą; i choćm z drogi prawej nie zboczył, anim szalbierstwa popełnił... ale, ale....

— Ale co! spytała Ciwunówna...

— Jak mi dla ludzi miłości zabrakło... przestawszy ich żałować, korzystałem z nich jak się dało...

Panna spojrzała nań dziwnie pytająco, a dumnie.

— Mów waćpan wyraźniej...

— A no, włóczyło się po dworach, wysługując różnie... Bałamuctwem człek więcej zarobił pono, niżby mógł pracą twardą. — Przecież, dodał, gdyby mi lepsza zaświeciła gwiazda, do innychby się też sentymentów wróciło...

— Cóż za to ręczy?

— Najlepiej bieda, rzekł Krzyski.

— Na chwilę, — a gdy szpary odejdą? Tu przerwała nieco i jakby ośmielając się dodała żywo. — Spowiedź za spowiedź, jam też coś może panu winna... Mnie los nie szczędził choć na pozór wygadzał. Ludzie mnie zawsze za szczęśliwą mieć mogli, a jam ją nigdy nie była. Waćpan obiecał poprawę, ja się pewnie nie zmienię; duszę mam hardą, ale serce co się w dobry sposób ująć da... przemocą nigdy. Kobietą jestem a uledez nie potrafię. Tyranką nie będę, a sługą być nie chcę. Jeśli waćpan myślisz, żem w nim zakochana to się przejrzyj w zwierciadle. Trzeba mi jednak za mąż wyjść, a nie wiecznie w cudzym domu być na łasce. Mogłabym zamieszkać u brata... ale chcę własny mieć dom i gospodarstwo... Wybieram waćpana, wiesz dla czego? że biedy doznawszy, myślę, iż lepszy los szanować będziesz umiał, a tej, co ci rękę poda, nie wypłacisz niewdzięcznością.. Cóż waćpan na to?

— Ale ja się godzę na wszystko! rzekł kłaniając się Krzyski...

— Z księciem jegomością ja pomówię sama, dodała Ci-

wunówna rękę doń wyciągając, którą ten złamawszy się we dwoje, ucałował. — Bądź waćpan spokojny...

Z tem się rozeszli... Książę mocno pochmurniał dni następnych i opowiadał różne historie dziwne przy stole. Szczególniej nas to zastanowiło, iż tę którą powtórzę, z uśmiechem publicznie rozповідаjąc, ciągle, na Ciwunównę spoglądał.

— Już to waćpanom, panie kochanku wiadomo, że gdym płynąc z Hiszpanii rozbił się ze statkiem, około brzegów afrykańskich, korsarze nas wygłodniałych połapali niewodem ogromnym i wzięli w niewolę. Tu mi to bardzo było na rękę, żem u pani Galeckiej służył dawniej za kuchcika, panie kochanku, bo mnie uczyniono kucharzem w seraju Beja, i przynajmniej głodu nie było... Tam, panie kochanku, rosną wielkie orzechy iż my z panem Wołodkowiczem, który też był w niewoli ogrodnikiem, wyjadłszy ziarno, zrobiliśmy sobie czółno z łupiny i puściliśmy się na morze... Szcześnie wiatr dał taki pomyślny, iż nas zapędził od razu na wyspę, Sylwją zwaną, u włoskich brzegów... Wysłałem Wołodkowicza do księcia panującego oznajmując mu kto byłem, panie kochanku, i zkąd przybywałem. Wołodkowicz wraca i powiada mi, że książę panujący nie żyje a po nim odziedziczyła tron księżniczka Orola, która właśnie szuka sobie małżonka... Przyznaję się, iż myślałem zaraz, że mógłbym stanąć w liczbie kandydatów, panie kochanku... W miasteczku nad brzegiem znalazłem krawca, który terminował w Nieświeżu u Lejzora, ten mi garderobę kredytował... paradną, panie kochanku. Udaliśmy się tedy z Wołodkowiczem na dwór księżniczki Oroli... Jeszczem w życiu tak pięknej kobiety nie

widział... rozkochałem się szalenie... lichy panie kochanku nadało... Przyjęli nas z wielkimi honorami; pokoje w pałacu, bale, asamble, teatr, muzyka, wino doskonałe, ale księżniczka jak z lodu. Małom nie oszalał od wielkiej miłości... Wydawała to, panie kochanku, twarz moja, nie mogło inaczej być. Aż jednego razu gdym pisał wiersze, nadchodzi wielki ochmistrz, panie kochanku, który mi był bardzo oddanym... i powiada... Co w. ks. mość, zdrowie sobie nadwerężasz tą szaloną miłością, wszystko to darmo... Księżniczka ma kochanka, już go sobie wybrała, ja go jutro pokazę. Wielka mnie tedy ciekawość zdjęła zobaczyć tego szczęśliwca, panie kochanku. — A wiecie kto to był? — kulawy i ślepy na jedno oko drażnik. Takie to panie kochanku, są te kobiety, że nigdy nie zgadniesz, gdzie je fantazja zaprowadzi...

Daremne jednak były wszystkie te dykteryjki... w parę dni potem gruchnęło po całym dworze iż pan Krzyski, oświadczył się pannie Ciwunównie, że został przyjęty i że mieć będziemy wesele znowu tak paradne, jak niegdyś panien Wyhowskich.

Jeszcze mi tu raz przychodzi powtórzyć, iż kto Nieświeża nie znał, a Radziwiłłowskich przepychów nie widział, ten też nie domyśli się nigdy, by u obywatela Rzeczypospolitej, choćby i książęcym tytułem ozdobionego, mogły się wesela rezydentów z taką wspaniałością odbywać.

Ze oboje państwo młodzi rodziców nie mieli, służyła pannie Ciwunównie za matkę jenerałowa Morawska, za ojca panu młodemu książę Karol, który usilnie okazać chciał, że już i żalu i miłości nie miał. Za sumę dziesięciu tysięcy czer-

wonych złotych, które panna Zoryna miała u księcia jak się okazało, wraz z pensją jaką pobierała, dano zastawą ze Słuczczyzny dobra znaczne, mogące przy gospodarstwie z półtora tysiąca dukatów uczynić dochodu. Dworca oprócz ekonomskiego folwarku w Tyszowie tym nie było. Ale książę Karol potajemnie wydał rozkaz, ażeby we cztery tygodnie stanął. Drzewo wydano z lasów książęcych, cieśłów spędzono, i na pagórku nad Tyszówką rzeczką wznosił się dwór okazały o dziesięciu pokojach, z salą ogromną, wykończony, przybrany, umeblowany na introityny¹⁾. I nic w nim nie zbrakło, ani w spiżarni, ani w piwnicy, ani do wygody państwa. A umiano tak tajemnicę dochować, mówiąc tylko ciągle o restaurowaniu folwarku, iż się państwo młodzi nie dowiedzieli o swoim szczęściu, aż gdy na miejsce wraz z gośćmi przybyli.

Wesele starodawnym obrzędem odbyło się ze wszystkimi przynależnemi ceremonjami; książę jednak na nie zjechać nie chciał, pod pozorem choroby, w istocie iż mu pono onej pięknej Zoryny, albo już tylko pięknego wspomnienia jej żal było.

W czasie wesela i kilka dni potem chodził smutny, chmurny, nasepiony, wzdychający, opowiadając różne dyktetyki o niestałości kobiet i serca niewinnego zdradach. Niemal każdego z nas zapytywał po kilka razy.

— A powiedzże ty mnie panie kochanku, jak ona mogła wybrać tego wędzonego piskorza? Nigdy ją nie posądzał żeby tak była bez smaku...

¹⁾ Wejście, wniesienie się.

Każdy mu odpowiadał jak umiał, starano się go rozbawić — nie szło — tęsknił jakoś. Brakło mu tej twarzy u stołu, brakło cichej rozmowy. Ja myślę, że tego najwięcej przypomnienia lepszych czasów, które tem droższem jest, im człowiek dalej w lata zachodzi.

Rozbawiała go Różynka — a mało co uczynić mogła; patrząc na nią jak wtęczę, słuchał ponury, aż się uśmiechnął, potem ją pod brodę pogładził.

— Wszystkiście wy takie, daj ty mi szatanie pokój...

Jednego ranka, byłem jeszcze w stajni, słyszę rozmowę w podwórzu — wołanie, bieganina, anim mógł się domyśleć, co takiego... Pytam — powiadają, księżę chce folwarki objeżdżać, konie żeby były natychmiast gotowe.

Jużto w Nieświeżu żeby księżę o północy kazał sześciu cugom¹⁾ w jeden kwadrans wystąpić, i tegoby pokazali masztalerze²⁾, bo miał przednich; w pogotowiu jeden, dwa stały z kolei ubrane, powozy posmarowane, ludzie odziani, tylko się zmieniali. Więc gdy księżę pan rozkazał, duchem było gotowe. Słyszę, już i mnie nawołują, żebym z księciem jechał. Lubił mnie tak czasami, gdy mu na fantazją przyszło. Anim wiedział: dokąd, poco, na jak długo; ledwie się odziać ezas miał i konia sobie kazać podać, gdy już księżę wojewoda w ganku stał chustką machając — konie dawać.

Spojrzałem nań; mieliśmy po folwarkach jeździć, ale księżę wdział strój jak od wizyty, czego znów dla ekonomów nie czynił — tknęło mnie. Wyjeżdżamy z miasteczka za groblę, —

¹⁾ Zaprzęgom powozowym, kompletom koni. ²⁾ Służba stajenna.

pyta się koniuszy — dokąd? — Do Tyszowa... Zmiarkowałem, że za panią Zoryną zatęsknił. A było zwyczajem to powszechnym, iż gdy księżę dokąd przybyć miał, zawsze choćby sekretnie wprzód oznajmowano, aby nie do rzeczy nie zastał i żeby się też szlachcic czas miał przygotować. Tu zaś za późno było i ani już sposobu, bo dwór musiał porządku pilnować i nikomu się ukradkiem oddalać nie było wolno. — No — rzeknę ja sobie — przysłuży mu się odwiedzinami, gdy go znienacka w dezabilku zastanie, a jejmość może przy kurach. Bo choć Zoryna się wychowała w pańskich pałacach i w nich życie spędziła, przecież każdy to wie, że gdy się kobieta na własne gospodarstwo dostanie, hawi się niem a z razu przynajmniej bierze do serca. — Kawał drogi był dobry, czas gorący, stawaliśmy razy dwa odpoczywać; naostatku ów dwór się nowy ukazał, ale koło niego jakby wymarło wszystko, ani żywej duszy. Księżę wyjrzał raz, drugi, furmani z batów pałą a pałą! żeby też kto choć zobaczyć wyszedł. Zabawna rzecz...

Zajeżdżamy, księcia dworzanie dobywają z kolebki, nikt się na powitanie nie stawia. Dopiero gdy się się otworzyła, wychodzi jejmość sama z tacką w rękę, chlebem i solą, jakby już wiedziała kogo ma witać.

Ubrana była po wiejsku, ale bardzo do twarzy i pięknie: suknia biała, czepeczek biały, wstęgi ubramowania pąsowe, więcej nic, i jakby odmłodziła. Nie dałbyś jej nad lat trzydzieści, tak jej wiejskie posłużyło powietrze. Skłoniła się niemal do kolan księciu i rzecze:

— W. ks. mość tu gospodarzem i panem, a no choć słu-

dze jego niech go wolno będzie obyczajem starym w nowym progu chlebem i solą powitać.

Ksiązę coś mruknął i w rękę ją pocałował, ale jakoś smutno wyglądał; nie wierzyłbym, gdybym nie widział, że mu się aż łza w oczach kręciła. Obejrzał się jakby jeszcze gospodarza szukał, lżej mu się stało gdy go nie zobaczył. Już i nie pytał, ta też nie przepraszała, że go niema. Weszliśmy wszyscy do sali... W domu było nie bogato, nie wystawnie, ale nader czysto i pięknie i miło... Gospodyni spytała, czy ksiązę jadł i czy się posilić nie zechce; myśmy wszyscy byli jak psy głodni... więc i ksiązę nic nie rzekł. Zakręciła się zaraz i wyszła...

— A to mospanie, panie kochanku, rzekł ksiązę, bardzo mi się udało, zem choć tego cygana nie zastał.

Tylko co rzekł, otwierają się drzwi, wpada w białym kitlu, słomiany kapelusz w rękę, czarne juchtowe buty na nogach, gospodarz i plackiem księciu do nóg — aż odskooczył. Wszyscyśmy nań oczy obrócili; dalipan ani Owidjusz metamorfozyby osobliwszej nie zinwentował¹⁾. Bo to ta śmieszna poczwara, kuglarz ów, cygan, wyglądał teraz na tak statecznego człeka, że go było nie poznać. Zona znać wymustrowała, iż nawet tego zbytniego rzucania się, łamania i mrygów zapomniał. Twarz mu się wypełniła, oko wyszło z pod brwi, które głęboko wprzód siedziało; rumieńca dostał, czarności szpetnej pozbył. Co to szczęście z człowieka zrobić umie... Ksiązę był pomieszany, a ten już zerwawszy się z nóg, oracją pali *ex abrupto*²⁾, jak nie można lepiej. Oslupieliśmy...

¹⁾ Nie wymyślił. ²⁾ Z nagła, z miejsca, bez przygotowania.

Dopieroż księcia sadzać, a gościć, a za kolana ujmować... aż już wszystkim tego było dosyć. Powróciła i gospodyni, przyniesiono przekąski doskonałe. Wędliny szczególnie, na tak młodem gospodarstwie do podziwienia były. Księżę się udobruchał, nuż dwór obchodzić...

Poprowadzili go oboje, my tylko za niemi poglądaliśmy zdala, bo nas tam za dużo było, żeby z procesją chodzić... Tylko co wrócił księżę, otworzyły się drzwi, jakby magiczną sztuką — do stołu podali; a było nas osób pewnie dwadzieścia do pierwszego stołu, przy drugim też sporo, a ci nie zostali głodni. Obiad niewytworny, nasz szlachecki, ale smaczny, że palce oblizywać. Mięso tłuste, sosy mocne, pieprzno, słono, korzenno, przytem miód i wino wyborne. Trzeba się było zdumieć. Gospodyni siadła podle księcia, a Szafraniec ten przebrawszy się w paradny strój, przy szablach sam służył i ani miejsca nie zajął. No i inny się stał człowiek, tak go znać wytresowano; układny, stateczny, uprzejmy, nieponiżający się... O samej niema co mówić, niewiasta była wielkiego animuszu i *hic mulier*.

Przecie jak to wilka natura do lasu ciągnie, mój Krzyski nie wytrzymał, żeby coś na starą fozę niezmalował. Księżę chwalił bardzo tak piękny ład i gospodarstwo, cieszył się, że to tak ręką młodemu małżeństwu poszło; aż Krzyski wzdycha — ale wzdycha tak, jakby mu kamień młyński padł na piersi.

Księżę się odwrócił — A co ci to?

— Nic, mości księżę, odpowie, wszystko z łaski jego jak najlepiej; ale na świecie pono doskonałego niema nic, tak też i tu w Tyszowie.

Widzimy, że żona mruga nań, aby pokój dał, a ten swoje i wzdycha znowu.

Księżę tedy ponawia pytanie. — A cóż do Tyszowa braknie?...

— Jeszczem to ja się proszę księcia tak dalece w folwarku nie rozpatrzył, ale jeden defekt ma bardzo widoczny... granica strasznie niewygodna. Kury jak wynijdą za bramę, już cudzy grunt... a co gęsi ani wypędzić nie można... miedza tuż za stajniami.

— A czyjaż to вина?

— Czyjażby jeśli nie księcia jegomości.

Księżę zamilkł.

— Któryżto tam folwark? szepnął do jegomości.

— To ta Wulka Zagrzebska — odpowiedziała rumieniąc się.

— A ileżto tam chat? — rzekł księżę.

Krzyski prędko rzecze — pewnie i trzydziestu niema...

Na tem się skończyło, wstaliśmy od stołu z kielichami, a częstowano późno w noc nie żałując. Księżę zapragnął, aby pani Zoryna zaśpiewała, co też uczyniła głosem jeszcze dosyć pięknym i miłym. Zagrała też parę sztuk krzyżowych osobliwszym kunsztem, że człek prawdziwie nie wiedział, czy słuchać, czy na te ręce patrzeć, które latały jak żywe srebro.

Noc była czarna gdy dano rozkaz do wyjazdu, aleśmy z sobą kagańce mieli... Spotkało nas tylko na wyjeździe czego się nikt spodziewać nie mógł. Sala i pokoje w których siedzieliśmy, oknami wychodziły na ogród, dziedzińca więc widać nie było. W tym krótkim czasie, choć gospodarz i gospodyni byli z nami prawie nieodstępnie, djabeł czy kto

tam wystroił na moście przeciw dworu, cale niczego bramę tryumfalną z zielonych drzew i gałęzi, lampami oświeconą i zdobyl się na łacinę, bo w transparencie ¹⁾ stało.

Ex tuis donis tibi offerimus...²⁾

Było, nie można powiedzieć, gustownie i szykownie i w porę... Książę się odwrócił do Puzyny i szepcze mu. — Za serce mnie szelmy wzięli! — Niema co! panie kochanku... trzeba im Wulkę Zagrzebską oddać.

Tak tedy pierwsze owe odwiedziny książęce uczyniły państwu Krzyskim piękny do Tyszowa addyament — a tak zręcznie się do tego wzięli, iż ich jeszcze książę wojewoda prosić musiał, aby od niego przyjąć raczyli.

Tu już wszyscy poznali po trosze, iż bodaj ów Krzyski, którego wszyscy tak lekko szacowali, lepszy miał rozum niż drudzy i sprawy swe cale niczego prowadzić umiał. A no nie dosyć na tem.

W jesieni trafiło się wesele panny owej Sieniawianki, Różyczki, która się potrafiła wydać za bardzo bogatego człowieka, nie młodego już, wdowca w dodatku i ospowatego, jakby go kto grochem postrzelił. Gdyśmy ją prześladowali, odpowiadała — a co mi po gładkim, kiedy goły? Mąż aby trochę od djabła przystojniejszy, to mam dosyć.

Tak tedy szła za mąż, książę wesele sprawił, i był rad jakoś a wesół jak go już dawno nie widziano. Posłał dworskiego z zaproszeniem do Krzyskich, aby też przybyli na dziewiczy wieczór, a Zoryna służyła za drugą matkę pannie

¹⁾ Napis świetlny.

²⁾ Z twoich darów Tobie ofiarujemy.

młodej. Wystąpił i pan Krzyski, całę inaczej niż dawniej. Czy mu całą znać garderobę poprzerabiano, ale znaku nie było owych pstrocizn któremi się okrywał. Wyglądał bardzo poważnie, utył... zmężniał — słowem szło mu widać jak pączkowi w maśle. I księżę mu niechęci dawniej nie okazywał, --- acz powiedzieć, że go lubił — nie można było...

To wesele póki życia pamiętać będą chyba, bo pociesniejszego a śmieszniejszego i z większym humorem odprowadzającego — nie widziałem.

Panna młoda, pan młody, druchny, druhowie, czysto poszaleli. My też. Najmniej pono szczęście widać było na twarzy pana młodego, który znać dopiero teraz zmiarkował, że siła przyjaciół mieć będzie a i jejmość taką, że jej najtwardszy munsztuk niepomocze, chociaż się to wcale nie sprawdziło potem i żyli z sobą bardzo szczęśliwie. Tego jednak dnia zafrasowany chodził nieboraczek... Za to wpatrzywszy się w oblicze księcia jegomości, które śmiało się a promieniało, myśmy też dokazywali. Jak tam ta mała Różyczka mogła w tańcu wytrwać, bo z nią każdy hasać musiał dnia tego, — ani wiem — ale pono natura niewieścia od naszej wytrwalsza, choć na oko słabsza. Caluteńką noc tańcowano, chociaż jakiś czas odprowadzanie, oddawanie marcypanów i oracje trwały i mowy i cukrowa wieczerza; a no odwiódłszy państwa młodych, my do białego dnia zmijaliśmy się — Krzyski też placu dotrzymał... ale z powagą i bardzo statecznie...

Już nad rankiem po tem wińsku bez miary, wszystkim się kwasu pragnęło i coś przetrącić, aby siły nabrać na dnie następne, bo na jednym się nigdy nie kończyło. Poszliśmy na

śniadanie do małej salki przy pokojach księcia... pociągnął z nami i Krzyski.

Zobaczywszy go księżę...

— A cóż Krzyciu? już mi teraz nie powiesz, że ci w Tyszowie nie dobrze, Wulkę dołączysz, jeść już masz co i jeszcze się grosza, panie kochanku, okroi.

— Z łaski w. ks. mości! rzekł do kolan schylając się Krzyski, wszystko chwała Bogu dobrze. Ja już więcej w moim życiu nie pragnę, ale żona moja... jak to zwykle kobiety jeszcze nie bez tego żeby do czegoś nie wzdychała.

— Patrzcie no? a do czegoż naprzykład panie kochanku, odparł wojewoda nieco zdziwiony, ale uśmiechnięty.

— E! o tem tam mówić doprawdy nie warto i trudzić uszy w. ks. mości.

— Ciekawym jednak, panie kochanku — ciekawym.

Krzyski zmilkł, skłonił się i na tem przestał, drudzy zagadali — rozmowa się przerwała. Księżę jednak pamięć miał osobliwszą; nazajutrz po obiedzie zetknął się z Krzyskim, wziął go za guz od żupana.

— A powiesz ty mnie, panie kochanku, cóż tam twej jejmości braknie jeszcze...

— A, mości księżę! rozśmiał się Krzyski, to zwyczajnie niewieście kaprysy, szybki z okna, kafli z pieca, im nigdy nie dosyć.

— Ale czegoż się jej zachciało...?

— Ech! bo to ona strasznie swoje holenderskie krówki lubi...

— Toż je ma! zawołał księżę.

— Ale sobie z niemi rady dać nie może ani w Tyszowie

ani w Wulce... Jakaś u nas pasza nie dobra... Szczególna rzecz, obok w Maluniczach... maleństwo to jest — wypasy, łotocie takie... siano — że aż ją zazdrość bierze patrzeć co to tam za bydelko...

— Hm! hm, a jakaż na to rada? panie kochanku, spytał ksiązę — czyjeżto te Malunicze?

Krzyski zmilczał, wykręcił się, chrząknął, nieodpowiedział nic.

— Czyjeżto te Malunicze? powtórzył ksiązę...

— To malusieńka wioseczka, chat nie wiem, czy piętnaście, tylko że łąki ma piękne... rzekł Krzyski. Gdyby była do sprzedania, kupiłbym ją chętnie.

— Niechcą sprzedać?...

Krzyski milczy. — Niechcą sprzedać? panie kochanku? powtarza ksiązę.

— Z w. ks. mości dóbr nic się niesprzedaje... cicho szepnął Krzyski.

— A prawda! Malunicze! hę! hę! to moje, prawda! przypominam sobie... tam były nawet bobrowe gony.

Krzyski milczał.

— I... dodał wytrzymawszy... bobrów już podobno nie ma, a jeśli jest to może jedna lub dwie chaty ¹⁾, nie więcej.

— Powiadasz że kupiłbyś? spytał ksiązę.

— Mnie to tam potem nic, ale żonie człowiek chciałby o ile możliwości... wszystko czego zapragnie dostać... rzekł Krzyski i westchnął.

¹⁾ Tu w znaczeniu gniazda bobrów, „gonów“.

Znowu rozmowa się przerwała... ale ksiązę poszedł zaraz do plenipotentą... — Czy to duża rzecz te Malunicze, co tam gdzieś jakimś bokiem do Tyszowa przylegają? panie kochanku.

— One nie przylegają do Tyszowa, odezwał się Bogusławski, o ile się mnie zdaje...

— No, to do Wulki...

— Może, i to chyba gdzie klinami...

— A cóż to warto? panie kochanku?

Chat przeszło dwadzieścia, las piękny, pastwiska przednie, pono i bobrowe gony... wioska doskonała...

Wieczorem wojewoda przysiadł się do pani Krzyskiej, ta jak się zdaje o Bożym świecie nie wiedziała. Pyta jej.

— Coś tam asieczka slysze ze swojā holenderniā sobie rady nie mozesz dac? panie kochanku...

— Zkądże to w. ks. mość, wiesz, — spytała śmiejąc się piękna Zoryna.

— Ja to mam swych szpiegów, panie kochanku... pono śmietanki w Tyszowie dobrej braknie?

Pani Krzyska śmiać się zaczęła...

— A tu na złość slysze, w Maluniczach... bydelko jak oblane...

— Ale któż to księciu o takich szczegółach donosi? Ze to przy innych kłopotach może księcia zajmować, to już dowód osobliwej na nas łaski, za którą nie wiem jak dziękować, rzekła pani Krzyska.

— Ale czy to w istocie tak asindżkę martwi i kłopotce? panie kochanku? zapytał wojewoda, bo jabym rad żebyś już była szczęśliwą i żeby ci tylko chyba ptasiego mleka brakło...

Pani Krzyska spojrzała z wdzięcznością na księcia nie odpowiadając ino wzrokiem a śmiechem... Znać go te oczy za serce chwyciły... i rzekł śmiejąc się...

— Moja dobrodziejko, ja wam Malunicze do Tyszowa dam, panie kochanku, niech już kiedy stało na mięso i na sos dobry stanie... a tobyście nigdy nie mieli porządnego gospodarstwa...

Rozczulona tą dobrocią wojewody pani Zoryna, chwyciła jego rękę, chcąc go choć w ramię pocałować, ale stary się wymknął.

Pobiegła do męża, ten z nią razem pogonił za wojewodą — protestując.

— Mości książę — zawołał, byłbym niegodnym tych łask, jakimi mnie w. ks. mość obsypujesz, gdybym ze wspaniałości jego korzystał. Ludzieby powiedzieli, że się przymówił, że... Nie! mości książę, niech będzie co chce, my tego daru przyjąć nie możemy...

Ale z wojewodą nie było sposobu, gdy raz co rzekł, to wszyscy wiedzieli; próżnem więc było owo wzdraganie się i czystą prawdę rzekłszy, komedja tylko... Koniec końców, padanie do kolan, dzięki, łzy, oświadczenia wdzięczności dogzonnej, a Malunicze przy Krzyskich zostały.

Po weselu posłał im książę akt formalny, a Krzyski też zajął w posiadanie co najrychlej, i jeszcze tak manewrował, że mu na zasiew zboża zostawiono i coś tam remanentu...

Nie wyszło pół roku, pojechaliśmy całym dworem do Białej na Podlasie, bo tam jakiś czas przebyć życzył wojewoda. Z Nieświeża regularnie szły pocztą, raporta, listy, i dworzan książę, to tych to owych posyłał; bo choć mu

w Białej było też jak u Boga za piecem... ale Nieśwież swój kochał nadewszystko. Tu on w domu, przecież czuł się niby gościem. Niebyło dnia, żeby do niego nie westchnął... Bywało, gdy poczty przywiozą, a nim tam rozbiorą i przygotują, schodzi z korpusu pałacowego, w którym mieszkał, do oficyn do kancelarji, żeby prędzej się o czem dowiedzieć. Pan tak mnogich włości, miast, zamków, a sam byłem świadkiem, gdy się dopytywał o ulubione klacze, czy się nie poożrebiały i o psiarnię i o zwierzyniec. Tandem jednego dnia, przychodzi z listami Bogusławski... a był tak pak gruby, aż się wojewoda przeląkł.

— Tylko mi, panie kochanku, nie referuj wszystkiego, niech cię paraliż nie ruszy... w głowie i tak mam dosyć, to by się już nie zmieściło... tak... z gruba tylko... co lepszego.

Bogusławski siadł, jedno, drugie odczytał — potem podaje list księciu... wojewoda ręką odsunął.

— Daj mi pokój? oczy mnie bolą? — od kogo?

— Od państwa Krzyskich?

— A! książę mruknął... Niema tam pewno nic pilnego, tylko komplementa w cukrze smażone...

— Zdaje mi się, że jest prośba do w. ks. mości.

O! o! tegoby już było nadto — przerwał wojewoda, czegoż u diabła chcą, żeby im z Nieświeża ustąpił? Dałem Tyszów, Wulkę, Malunice, a jeszcze nie dosyć?

I wysapawszy się dodał...

— No, czegoż chcą? o co proszą, panie kochanku...

— Na chrzciny zapraszają! śmiejąc się dodał Bogusławski.

Porwał się wojewoda klasnąwszy w ręce... — nie może

być! — Cóż to, cud się stał... Na chrzciny! proszę! a cóż tam Pan Bóg dał?

— Syna, mości książe, rzekł biorąc list Bogusławski. Sama pani pisze, iż go tylko z wody ochrzczono, a z ceremonjami na w. ks. mość oczekiwać będą...

— A! to poczekają długo — rzekł wojewoda... ja niepojadę! Widzisz, panie kochanku, między nami mówiąc ten Krzyski, wyglądał na arlekina, a w rzeczy to kuty chłop, tak umie do kieszeni rękę włożyć, panie kochanku, ani się obejrzysz... Nie pojedę... znowu im się czego zechce... a no — dosyć.

Śmiał się Bogusławski.

Ale tu mości książe, rzekł z listu czytając, pani Zoryna Krzyska dodaje *manu propria*, iż gdyby chłopcu lat dwadzieścia na chrzest czekać przyszło, nie da go nikomu trzymać tylko w. ks. mości i o Karola imię prosi, aby wolno było mu go dać.

Książe bardzo lubił się zawsze uskarżać... skorzystał więc z tej zrzeczności.

Byłem przytomny.

— Wolę odpisać i posłać nowonarodzonemu jaką kukłę i nie jechać sam. — Oni mnie tam znowu obedrą, człowiek sobie podochoci, chwycą za słowo. Choćby i gotówką co, a trzeba będzie dać, a wiem, że teraz sto złotych w kieszeni nie ma... jak u arędownców, panie kochanku, na kwitki biorę... Niechaj sobie czekają. Odpiszcie, że jam się zarzekł dzieci trzymać do chrztu, bo mi się nie chowają... które tylko dotknąłem, do drugiego roku nie dożyło... Nawet po tej nieśczęśliwej Nencie nie mogłem się szczenięcia dochować.

Odpisano grzecznie, pięknie i na tem się skończyło, a na jesieni powróciliśmy znowu do Nieświeża.

Było jak dziś pomnę, polowanie w Nalibockiej puszczy, a że na zwykłej drodze mosty były popsute, musiano na Tyszów nawrócić. Książę się bał zajeżdżać i dał wcześniej rozkaz, ażeby przez wieś się przemknąć, nie wstrzymując nawet dla wysapania koni. Ktoś jednak z dawnych przyjaciół, czy która z przyjaciółek Zoryny donieść musiała. Wyjechaliśmy o brzasku, tak że rano jeszcze pokazał się ów Tyszów. Po wozy weszły na groble; nagle u młyna... Stój! stój! — Książę wołanie słysząc wyrżał... Co tam? ruszaj — a konie stoją. — Posłał dworzanina myśląc, że się coś popsuło. Jako żywo, tylko u młyna był łuk tryumfalny z zieleni i stół zastawiony do śniadania... Sama pani Krzyska przystąpiła do powozu...

— Mości książę, odezwała się — kiedyś już nie łaskaw na sługi swoje, abyś ubogą ich chatę nawiedzić raczył, pozwól że im, aby Cię choć na drodze przyjęli...

Książę wysiadł, pocałował w rękę panię Krzyską... trochę się rozchmurzył, ale od przekąski się wymawiał.

Nie było sposobu, tak go serdecznie i pięknie proszono... Krzyski stał z czapką pod pachą w postaci tak uniżonej a pokornej, i jejmość uśmiechała się tak wdzięcznie, a tuż pod młynkiem o parę kroków na umyślnie urządzonym pomoście wysłanym dywanami, zastawione stoły uśmiechały się flaszkami i sutemi półmiski... Dworzanom księcia po przejażdżce apetyt na te przysmaki przychodził i ślinka ciekła. Ucieszyli się wielce gdy książę dał się skusić i jejmości prowadzić do krzesła... Dla księcia bowiem paradne, szerokie niemal

jakby tron wystawione było... Wojewoda obejrzał się raz i drugi, widocznie bowiem zaproszenia na chrzciny musiał się lękać, a nic nie zobaczywszy, coby je zwiastować mogło, siadł do stołu... Tylko co Krzyski już zdawał się zabierać do częstowania, gdy drzwi młyna się otworzyły... i wyszła wystrojona mamka niosąc na poduszce okryte zasłoną dziecko — tuż za nią kroczył ksiądz proboszcz w stule i komży i zjawiła się pani podstolina Ciechanowiecka, którą ksiązę szanował wielce... Śmiejąc się z uczynionej siurpryzy, ksiązę jednym rzutem oka objął wszystko, nie było tu już co się wymawiać, ani odrzekać, dziecko do chrztu musiał trzymać.

Podstolina stanęła jako kuma, w drugiej zaś parze pan Rejtan z panią Wołodkowiczową, która też we młynie była ukryta, póki by księcia zatrzymać się nie dało...

— No, panie kochanku, starego niedźwiedzia wzięliście w sieci... wpadł w matnię, niema co... rzekł ksiązę — ale nie dopuszczę, żeby dziecko marzło, bo wiatr chłodny, i żeby podstolina się zaziębiła. Niech kto ma ochotę na polowanie jedzie... a my do dworu...

Część więc dworzan i myśliwych odprawiono do Naliboków, aby tam oczekiwali na wojewodę, a nas kilkunastu poszliśmy jakby z procesją do dworu. Znać oni się tam tego spodziewali, bo wszystko się znalazło w pogotowiu, i stół dla księdza przykryty z krucyfiksem i świecami, i w jadalnej sali obiad i wina i czego tylko mogli goście pożądać. Pani Zoryna Krzyska przybrana bardzo pięknie, w klejnotach... wydawała się jakby królową, nawet przy podstolinie, która była wielce poważną matroną; sam Krzyski, prawdę rzekłszy, wyglądał na marszałka jej dworu... ale bardzo jednak

przyzwoicie. Pozbył się zupełnie tego rzucania łbem jak narowista szkap i tych krygów a łamanin kuglarskich. Ubiór też miał skromny a nowy i bogaty; ciągle przy księciu, talerze mu nosił, półmiski podawał sam, słowem dworzanina służbę pełnił. Książę wojewoda nieprzygotowanym był na zwykle prezenta dla synka chrzestnego, kumy i dworu, rodziców, — bo gdy on kogo do chrztu trzymał, zwykł był wszystkich obdarzać; pchnął więc zaraz od młynka, szepnąwszy mu coś w ucho, starszego dworzanina, który miał wrócić przed wieczorem... Sąsiedztwo znać sproszone zaczęło się zjeżdżać, a między innemi zjawił się rejent Kaczura.

Zdziwiliśmy się wszyscy zobaczywszy go tu, boć pewnie proszonym być nie mógł dla tego samego, iż jego przytomność wielce księciu musiała być nieprzyjemną. Widziałem jak pani Krzyska zobaczywszy go ręce załamała i pobiegła się znać przed księciem tłumaczyć, iż sam tu nieproszony wlaźł... Krzyski się też skrzywił ujrawszy go, lecz jak należy przywitał. Sława pana rejenta szeroko była głośną, a książę inaczej go nie nazywał tylko ten kauzyperda¹⁾. Była tam jakaś okoliczność, w której on przeciwko Radziwiłłowi występując w procesie, wszystkich plenipotentów wojewody podszedł i niemiłosiernie go ociął. Książę nie tyle dla straconych pieniędzy, co dla przegranej, Radziwiłłowi nader przykrej, znieść go nie mógł. Kauzyperda człek już był stary, wyszczekany jak mało kto w świecie, flegmatyk, chłodny, wytrzymały, nieulekniony, znający ludzi na wylot, a zręczny piekielnie. Czego się on dotknął, musiał prze-

¹⁾ Pogardliwe przezwisko adwokata.

prować — przegrał razy trzy, a zawsze *de noviter repertis* powracał; w końcu zmęczył, znudził, zhasał tak, że na swoim postawił. Z powierzchowności był niepozorny, chudy, średniego wzrostu, twarz blada, wąs rzadki jak trawa na piasku... łysy... oko małe a głęboko wbite... Przywitawszy się z gospodarstwem, poszedł wprost do księcia wojewody, nisko się pokłonił, rękę do ziemi aż przykładając, a choć książę nie bardzo chciał go widzieć, zmusił do kiwnięcia głową. Trudnoż go było choć natręta za drzwi wyprosić — ale to znacznie humor księcia już i tak nienajlepszy, popsuło.

— Kaduk go tu wniósł — mówiliśmy po cichu. Notabene¹⁾ kauzyperda nigdy bez przyczyny nie jeździł, a że się tu fatygował, nie było już bez kozery.

Niemam na to najmniejszego dowodu, ani na pewno utrzymywać mogę, żeby kauzyperdę umyślnie tu Krzyski sprowadził w pewnych widokach; przecież, że on przypadkowo się tu przybłąkał, przysięgaćbym nie chciał. Ow Krzyski, jak się to całem życiem ukazało człek był umiejący chodzić około swoich interesów.

Kauzyperdę zaproszono do śniadania, a książę widocznie widzieć go nie chcąc tak manewrował, iż się z nim nawet oczyma nie spotkał. Gdy do stołu podano, poszedł Kaczura z innemi i siadł opodał wprawdzie, ale tak, by wojewody z oczów nie stracić. Do rozmowy kilka razy się wmięszał... nie odpowiedział mu nikt, to go bynajmniej nie zraziło.

Wino było co się zowie przednie, kielichy krążyły gęsto,

¹⁾ Dosłownie „Zauważ dobrze“, „trzeba zauważyć“.

czekał znać aż się głowy rozgrzeją... W istocie pod koniec objadu weselej się zrobiło, raźniej; rejent też parę razy potrafił słówkiem dowcipnem śmiech obudzić, chociaż się sam nie śmiał nigdy... W ten sposób jakoś się zaintrygował między rozmawiających... Księżę, około którego ze szczególną pieczołowitością pani Krzyska chodziła, ujęty jej gościnnością, rozczulony wspomnieniem lat młodych, zwolna coraz stawał się weselszy i parę razy już coś rzucił tak po swojemu, co zwiastowało, iż zapomniał rannego kwasu. Nad wieczorem z Nieświeża wrócił posłany i przywiózł, co mu znać polecono... tak, że oprócz tysiąca czerwonych dla dziecka dostało się coś każdemu. Kanak bardzo piękny matce, ojcu zegarek przedni, pani podstolinie pierścień kosztowny. Mamkę, że była z sąsiedniej wsi Radziwiłłowskiej, oprócz rękodajnej sumki jaką dostała, obdarzył księżę uwolnieniem z całą rodziną dożywotnie od dworskich powinności i opłat...

Gdy się to wszystko rozdawało, a obdarzeni każdy na swój sposób dziękowali, kauzyperda stał i uśmiechał się.

— Bodaj to, rzekł zwolna, mieć łaskę u księcia jegomości i jego się trzymać klamki... bieda nie dobodzie! Znane też szerokie złote serca naszego księcia wojewody — ale co po tem, co po tem, kiedy księżę musiałeś coś szatanowi uczynić, bo on figla spleta, aby to co księżę czynisz w najlepszej intencji nigdy na dobre nie wyszło...

Księżę podniósł oczy.

— Masz asińdziej słuszość, podchwycił żywo; raz u mnie szatana złapali w Nalibockiej puszczy, tom go moczył dni trzy w święconej wodzie, pazury mu poobstrzygano, tak, że slysze dotąd nieodrosły, i ogon mu kazałem anglezować...

Otóż ostatniej krzywdy nigdy mi darować nie może — ale, powiedz mi rejencie — skąd że ty wiesz, iż djabeł przerabia, co ja robię?

— Jakże niewiedzieć i niewidzieć co w oczy bije — odezwał się niezmiészany kauzyperda. — Policzylbym na palcach tych, których książę obsypywałeś dobrodziejstwami... a wszystkim to bokiem wyłaziło...

Książę westchnął — boć był w tem choć pozór prawdy.

— Chwała Bogu tylko, że się to do czczgodnej mojej pani Krzyskiej nie stosuje, zaśmiał się wojewoda, ta widać ma sposób jakiś na odpędzenie djabła, boć nie powiecie, żeby się w Tyszowie nie wiodło.

Kauzyperda ramionami ruszył.

— Do czasu, mości książę, odpowiedział, ale ja już z góry przewiduję że i tu się bieda zagnieździ...

— A którądy ma wleść? co asińdziej mówisz! poczęli razem i Krzyski i Krzyska... Daj rejencie pokój, na co masz nam w taki dzień być prorokiem niefortunnym...

— Za pozwoleniem — ozwał się rejent, proszę mnie wysłuchać. Nie mówię tego w złej intencji, jam człek praktyk, dużom chleba jadł z różnych pieców i soli z wielą ludźmi poddostatkiem.

Krzyscy chcieli niedopuścić, lecz książę był ciekawy.

— A no — no, dajcież mu mówić — niech zrozumiem... proszę proszę...

— Jaceś łaskaw panie Krzyski, rzekł rejent, masz też mapy swoich posiadłości Tyszowa, Wulki i Małunicz?

— Mam i właśnie uprosił pana geometry i komornika, że mi to na jedną kartę zrysował...

— Macie ją pod ręką? zawołał Kauzyperda...

— Jest w mojej izbie...

— Prosimy o nią — dodał wojewoda.

Krzyski musiał iść, w kilka minut potem, pacholek za nim wniósł blaszaną rurę, wielką jak szmigownica, z której dobyto na płótno naciągniętą mapę dóbr państwa Krzyskich, cum attinentiis, acuratissime delineatam¹⁾ przez ksiązęcego geometrę. Rozłożono ją na stole, a że po długiem zwinięciu, trzymać się przeto nie chciała, ponaciśkano ją butelkami i bułkami chleba..

Rejent stanął w pozycji jakby do tańca z ręką wyciągniętą, ksiązę z założonemi w tył rękami i głową pochyloną, bo już wzrok miał słaby — i tuż poczęło się demonstrowanie.

— Najprzód zwróć uwagę księcia jegomości na figurę majątku...

Co za figura? czy rak? czy salamandra? wykęsów mnóstwo, nigdzie stałej granicy, używalności tylko i kwestje... które prędzej później powschodzą bujnie... Ot jest Tyszów — tak... figura długa, dwór w jednym końcu za wsią, w drugim pola... ale to u nas pospolita rzecz... Dalej przytyka prawda też do dworu Wulka... jednym bokiem? hę! a to... proszę iść za palcem moim, fajt! granica poszła w górę, pobiegła i znikła... Wulka przy Tyszowie wygląda jak brodawka na nosie... To jeszcze nic... Malunicze położone są za Wulką i z nią graniczą płosą jedną... ani słowa... Proszę jednak wejrzeć... między Maluniczami, Wulką a Tyszowem... któremu wpakowały się ogromnym [klinem] lasy Zasypiańskie... tak, że

¹⁾ Z przyległościami, najdokładniej nakreśloną.

chcąc nawprost z tyszowa do Malunicz choćby furkę gnoju przewieść, trzeba się przez cudze grunta przebierać... I to mości ksiązę nie kliniek jest, nie ząbek, ale trzydzieści do czterdziestu włók gruntów, ile z oka wnioskować mogę. Jak komu wbijają taki klin między żebra... nie łatwo mu dychać.. Przyznasz mości ksiązę, że wielkie łaski jego dla czcigodnych państwa Krzyskich w przyszłości też brzemiennie są wielkim kłopotem... Jabym te lasy Zasypiańskie nazwał *djablim chrustem*...

Kauzyperda począł się śmiać, reszta osób stała milcząca, ksiązę schylony nad mapą wodził oczyma po niej i usta wydawszy znać nie wiedział co powiedzieć.

— Pokażno mi lepiej asińdziej — odezwał się, gdzie tu klin... zkąd, dokąd on idzie? jak?... Wszak to są tylko lasy...

— No! lasy i bagna — dodał kauzyperda... ale kawał tego... ot... widzi ksiązę... gdzie róg Malunickej granicy, gdzie Tyszów... a o też Wulka... Temu nie przeczę — rzekł wiodąc palcem przez białą część mapy, iż gdyby od tak zwanego Białego hruda poprowadzić przez puszcę trybę linią do Tyszowskiego boru, tam gdzie oznaczono uroczysko Bąki... figuraby była piękna i zaokrąglenie szczęśliwe... lecz to nawet *in futuris* niepodobieństwo... zaśmiał się — djabeł nie dopuści...

— No — no! rzekł wojewoda — ja czasem i z tym pamiczem rady sobie dać umiem... niech się państwo Krzyscy nie frasują tak bardzo... a toby już na to wyjść chyba musiało wedle rejenta, co mówią o chłopie, któremu bies pełne kieszenie dukatów nasypał — cóż gdy do domu wróciwszy po

kurach... znalazł tylko liście zamiast złota. Miałoby i moje dary być tak fałszywe jak djabelskie?

— Ale mości książę — gorąco i patetycznie ozwał się Krzyski — ja przynajmniej to mogę poświadczyć, iż wszystko com z łaski jego miał, wiodło mi się i prosperowało... Zona też moja poświadczy jak nam ręką szło... a co się tycze tych Zasypiańskich lasów, co one nam szkodzą! Raczej my im, bo chłopu nam trudno utrzymać, pod boki cudzy bór, więc i z Tyszowa i z Malunicz i z Wulki okrutną tam szkodę robią; dziś pilnuję jak umiem i mogę... Tną a tną... zabierają im chudobę, procesa... to prawda... kłopotu... toż przecie nie mnie jednemu.

— Tak, począł rejent Kaczura, dziś to jeszcze jako tako... a kto przewidzi w czyje się to ręce dostanie, jaki będzie zarząd? Ziarenko jest i wnijdzie! to! to! ja się to na tem znam... Już to ten którego i wy dziś tu chrzest obchodzili, kiedyś dozna co to znaczy taki klin w boku...

— Ale panie rejencie, ofuknęła Zoryna... dałżebyś pan pokój, proszę.

— Milczę, mościa dobrodziejko, milczę, w dzień tak szczęśliwy i dla domu ich pamiętny, Kasandrą tu być nie chcę... ani księciu którego jestem wielbicielem, humoru psuć...

— Ty panie rejencie — obruszył się wojewoda, moim wielbicielem? To coś nowego! albo i to drugie... myślisz, że mi teraz humor psujesz? Furda, mości panie, jako żywo...

— Zem jest szczerym wielbicielem waszej książęcej mości, zem nim zawsze był i do zgonu być nim nie przestanę — pozwolnie począł rejent gestykulując jakby przed kratkami stał — tego dowieść się ofiaruję. Jeśli w. ks. mość tych tylko zasługi

swe uznajesz, którzy mu słodycze prawią aż do nauzij¹⁾ a prawdy gorzkiej a zdrowej jak pieprz nie podadzą nigdy, do tych się ja liczyć nie mogę, natura moja i sumienie nie dozwala — jeśli zaś... na głąb serca zechcesz w. ks. mość wejrzeć...

— Mój panie kochanku — przerwał ksiązę nagle, na serceby rad patrzył, ale naprzód teraz nie pora, chyba gdy jegomości wyegsenterują...²⁾ powtóre... mnie się wszystko zda, iż się okaże, że go natura nie dała...

— A jakżebym żył bez niego? spytał spokojnie rejent.

— Widzisz asifndziej, odrzekł wojewoda, gdym jeździł do Hiszpanii po tabakę dla księcia prymasa, ażeby się tym sposobem z Poniatowskiemi przejednać, trafiło mi się spotkać w Salamance z uczonym doktorem. Ten mi zaręczył, panie kochanku, iż trzystu osiemdziesięciu sześciu nieboszczyków otwierał, a na nich wszystkich ledwie u trzydziestu i czterech znalazł serce... panie kochanku.

— A u innychże co było w tem miejscu? uśmiechając się zapytał kauzyperda.

— U innych! kto go tam wie! hiszpanie często łągą, panie kochanku, mówił ksiązę, jednakże pokazywał mi notatki... w miejsce serca u niektórych były otrębie, u innych worki zupełnie do sakiewek podobne, nawet zielone, — kamienie, cegły, i różne ingredyencje, panie kochanku.

Na tem się skończyło jakoś. Rejent udawał, że święcie wierzy, śmieli się inni. Ksiązę począł opowiadać o Hiszpanii, zajechał dalej na księżyc, a że nazajutrz rano do Naliboków

¹⁾ Nudności. ²⁾ Wypatroszą

miął jechać i wcześniej się chciał spać kłaść, odprowadził go Krzyski sam dwie świece w lichtarzach przed nim niosąc, do sypialni... Utkwiła przecież znać rozmowa z rejentem w głowie wojewody tak, że w kilka dni potem posłał chrześniemu synowi darowiznę lasów Zasypiańskich, rozkazawszy trybę wybić wedle poddanej myśli, tak iż cały klin do pięćdziesięciu włók puszczy i z najpiękniejszego towarowego lasu, dostało się Krzyskim. Bo jak żywo Bogiem i trzęsawisk tam nie było żadnych i drzewo zaoszczędzone, masztowe, tak, że w następnych latach za same najpiękniejsze sosny wzięli parę tysięcy dukatów.

Dawszy się jednak tak złapać na grobli w Tyszowie i wspomnienia pięknej Zoryny opłaciwszy dosyć słono wojewoda unikał odtąd podróży przez grunta Krzyskich i jakiś czas mało się z nimi widywał.

Wszakże na wszystkie ucztę i uroczystości obchodzone w Nieświeżu zapraszani bywali, i wojewoda okazywał samej pani dawny afekt i poszanowanie. Drugich chrzcin nie było się co już obawiać, bo oboje państwo nie pierwszej byli młodości; a już i więcej z księcia wziąć było trudno, bo ich obdarzył jak mało kogo. Za każdym razem gdy ich widział w Nieświeżu, o małego Karolka się dowiadywał, a Krzyskiego pytał, czy mu tam djabeł nie przeszkadza... lecz zawsze tylko dziękczynienia odbierał...

W lat pono pięć po tych chrzcinach, jeśli dobrze sobie przypominam, jednego rana znajduję księcia podpartym na łokciu, nad listem rozłożonym, zamyślonym i smutnym. — Patrzno asińdziej panie kochanku — rzekł do mnie — wszak ta biedna Zoryna... umarła! Dalipan nie wiem, nie uskar-

żała się nigdy żeby jej źle było... wszyscy mówią, że Krzyski przed nią chodził na palcach — a przecież mam to przekonanie, panie kochanie, że ten kuglarz ją zameczył. Kobieta uczciwa i rozumna tała się ze swoją biedą, a szczęśliwą być nie musiała.

— A z czego umarła? spytałem...

— Kaszlała... musiała suchot dostać... panie kochanku odezwał się książę smutnie — bieda na świecie. Zaprasza mnie na pogrzeb — ale nogi mam popuchłe... nie mogę być, jedźcie wy... i niech tam pomoga, jeśliby czego potrzebował...

Jechaliśmy więc z rozkazu książęcego do Tyszowa, — i znaleźliśmy Krzyskiego wybladłego, smutnego płaczącego, aż za serce nas pochwycił tem strapieniem, bo się rozpadał przy trumnie, a w kościele na głos szlochał, że utulić go było niepodobieństwem. Stypę sprawił co się zowie piękną, i duchowieństwo, którego tam mnóstwo, uraczył, obdarzył, nakarmił i napoił należycie.

O czem wszystkim księciu doniesiono, oraz i o tem, iż zonie zaraz monument piękny wznieść kazał i tablicę marmurową sprowadził, do której przeor napis łaciński skomponował. To go w opinii wojewody podniosło tak, iż gdy w żałobę odziany przyjechał księciu podziękować i sierotkę swą polecać, przyjął go książę mile i jak nie może być względniej. Żalść też swą nad stratą jejmości wyrażał tak niewymownie, tak obfitemi słowy, z takimi łzy i szlochaniem, iż w nas wszystkich politowanie wzbudzał.

W kilka tygodni zjawił się w Nieświeżu i przywiózł z sobą małego Karolka, który dziwnie pięknością swą matkę nieboszczkę przypominał i roztropny był nad swój wiek, tak

że pani jenerałowa Morawska i inne damy, które się podówczas w Nieświeżu znajdowały nabawić się nim i nacieszyć dosyć nie mogły.

Ojciec też dla jedynaka okazywał efekt osobliwszy, na rękę go nosił, pielegnował, pieścił, całował, aż się dziwiono, że mu razem matkę niemal zastępował.

— Ale cóż, rzekł naówczas przy księciu, pieszcząc to piękne dziecko, ja mu i największą czułością nie zastąpię tej, którą utracił; troski i starań macierzyńskich żaden ojciec nie wynagrodzi, kobiety dla takiego chłopięcia trzeba... aby o niem pamiętać umiała. Człek to przy gospodarstwie, to na wózku, kłopoty tysiączne... a dziecko się marnuje...

Od czasu do czasu zaglądał tak do Nieświeża, to z Karolkiem, to sam, zawsze dobrze przyjmowany... aż nareszcie jednego wieczora, gdy odjechał... ksiązę nagle zawołał:

— To frant! panie kochanku!...

— Kto? spytał Zabłocki.

— A no, ten wasz Krzyski żalobny... wszak ci to on mi się kręci tu już nie darmo, dziś z półgodziny rozmawiał z panną Jadwigą Osuchowską... Błądził wprzód okolo ospowatej Szerczyńskiej, ale znać się opatrzył, że szpetna.

Nikt z nas tego nie przypuszczał, żeby Krzyskiemu nowe śluby w głowie być mogły; tem mniej, żeby pomyślał o pannie Osuchowskiej, która była młodsza od nieboszczki, nie tak wprawdzie piękna, ale dosyć majątna. Liczono ją na lat trzydzieści i parę, wyglądała jednak świeżo. Ksiązę się w niej nigdy pono nie kochał, ale ją lubił, bo słuchać go umiała i odpowiedzieć składnie i humor miała osobliwszy, który ją nigdy nie opuszczał.

— Mości książę, odparł Zabłocki, jeszcze panna Szerczyńska, jak sobie chce, mogłaby za niego pójść, aby sakramentu zakosztować zdesperowawszy pono o nim... ale panna Osuchowska...

Śmieli się wszyscy, tak się to nam zdawało niepodobieństwem; książę też głową trząśł — nie będzie z tego nic... panie kochanku.

Tymczasem Krzyski przyjechał raz, drugi i trzeci i czwarty i coraz się stawało widoczniejszem, że nie czekając końca żaloby konkurował. Panna ni to, ni owo, przyjmowała go zrazu z góry jakoś nań patrząc, potem poczęła słodzieć, na ostatek nawykła, czy ją słówkami jedwabnemi skorumpował, czy czary jakie w tym były — widocznie mięknać. Wojewoda to spostrzegłszy stał się markotnym; wziął go na bok...

— Co ty sobie myślisz, panie kochanku, rzekł, będziesz mi ty tu po jednej wszystkie panny z Nieświeża wybierał? Jak ci nie wstyd? jeszcześ tamtej nie oplakał, a już o nowym ożenku myślisz...

— Mości książę, zawołał Krzyski, nie zapieram się — aleś niewinien... przez miłość dla nieboszczki, dla nigdy niezapomnianej, dla dobrodziejki mej Zoryny, o żonę starać się muszę... Inaczej droga spuścizna po niej, Karolek, bez opieki macierzyńskiej się zmarnuje... a gdzież mam szukać żony jeśli nie pod skrzydłami w. ks. mości, dobrodzieja mego...

Wnet się rozplakał i chustki dobył był i jak zaczął perorować a jęczyć, łkać i narzekać książę ramionami ruszywszy, dał mu pokój. Cóż państwo powiecie, poszła za niego Osuchowska, i w Nieświeżu znowu odprawiono się wesele i ks.

j. mość dał do posagu addytament... ale od tego czasu tak był z Krzyskim ostrożny, tak go unikał, tak obchodził, iż się już więcej nie dał mu pociągnąć. Nie bez tego, aby prób nie było... przejeżdżała żona i bawiła tygodniami we dworze, przybywał on, wojewoda przyjmował grzecznie, ale gdy Krzyski o swych interesach przebaknął, zbywał go milczeniem, a do Tyszowa choć go tysiącnie zapraszano nie pojechał więcej. Zdawało się tedy, iż więcej Radziwiłłowskiej kieszeni nasz Krzyski nie ukąsi — a no stało się inaczej w sposób wielce nieprzewidziany. Jakkolwiek dochody z dóbr były ogromne i kredyt niezmierny, gdy przychodziły kontrakty na Św. Jan często trudno było na wszystko starczyć; pożyczano, brano ze wszech stron, i z rąk różnych czasem na większe warunki. Raz trafiło się wśród roku, gdy nikt pociechy nie miał ze szlachty, że księciu pięciu tysięcy dukatów było potrzeba, dla jakiejś sprawy, która wielką groziła stratą. Szukano tego grosza ostrożnie, aby się nie rozbębniło to... a choć mało kto wiedział potrzebę, jednego dnia stawił się Krzyski do księcia i prosi o kilka słów na osobności. Książe sam później opowiadał jak to było. Przyjął go zimno, bo zawsze się miał na baczności i lękał jakiego podejścia. Krzyski przybywszy z pokorą wielką, do kolan się zgiał i począł od wyrażenia nieskończonej swej wdzięczności dla dobroczyńcy.

— Niechże mi będzie wolno, dodał robakowi mizernemu, choć raz mieć to szczęście, abym odrobinę przynajmniej wdzięczności niezmierzonej, dowiódł czynem. W. K. Mość kazaleś się starać, o tem wiem, pięciu tysięcy dukatów, przywożę sześć i składam u nóg waszych...

Księżę osłupiał zrazu, nie chciał brać... potem, że potrzeba była pilna, zgodził się przyjąć i skrypt kazał wydać. Krzyski odmówił go i prosił, aby się mógł dogodniej dla księcia ułożyć z plenipotentem, — ale układ przeciągnął, nie robił go na razie, powiedział, że później przyjedzie... pieniądze tymczasem użyte zostały. W parę tygodni gdy ich już nie było, przyjechał na komiserję. Znowu go poczęstowano skryptem — odmówił. Wyszło sztydło z worka — jakiegokolwiek zastawki prosił, byle tam jakie... aby mieć na czym pracować... Zrazu pieniądze oddać myślano, lecz w kasie jakos nie było... zresztą zastawkę w każdej chwili wykupić można... dano mu parę wsi koło Mira, a kontraktu zastawnego on i rejent Kaczura pilnowali tak dobrze, iż weń kruczków napakowali dowoli... To pewna, że o wykupieniu wiosek nie słyszał, a o tem, że je Krzyski trzymał i trzyma wiem dobrze i dorobił się wcale znacznego majątku. Księżę o nim dawno powiedział:

— Modłę się, panie kochanku, na tę intencją, żeby pan Bóg Krzyskiej dał zdrowie; uchowaj Boże by zmarła, przyjechałby po trzecią do mnie, a z nią by mi już i Nieśwież-czyznę zagarnął...

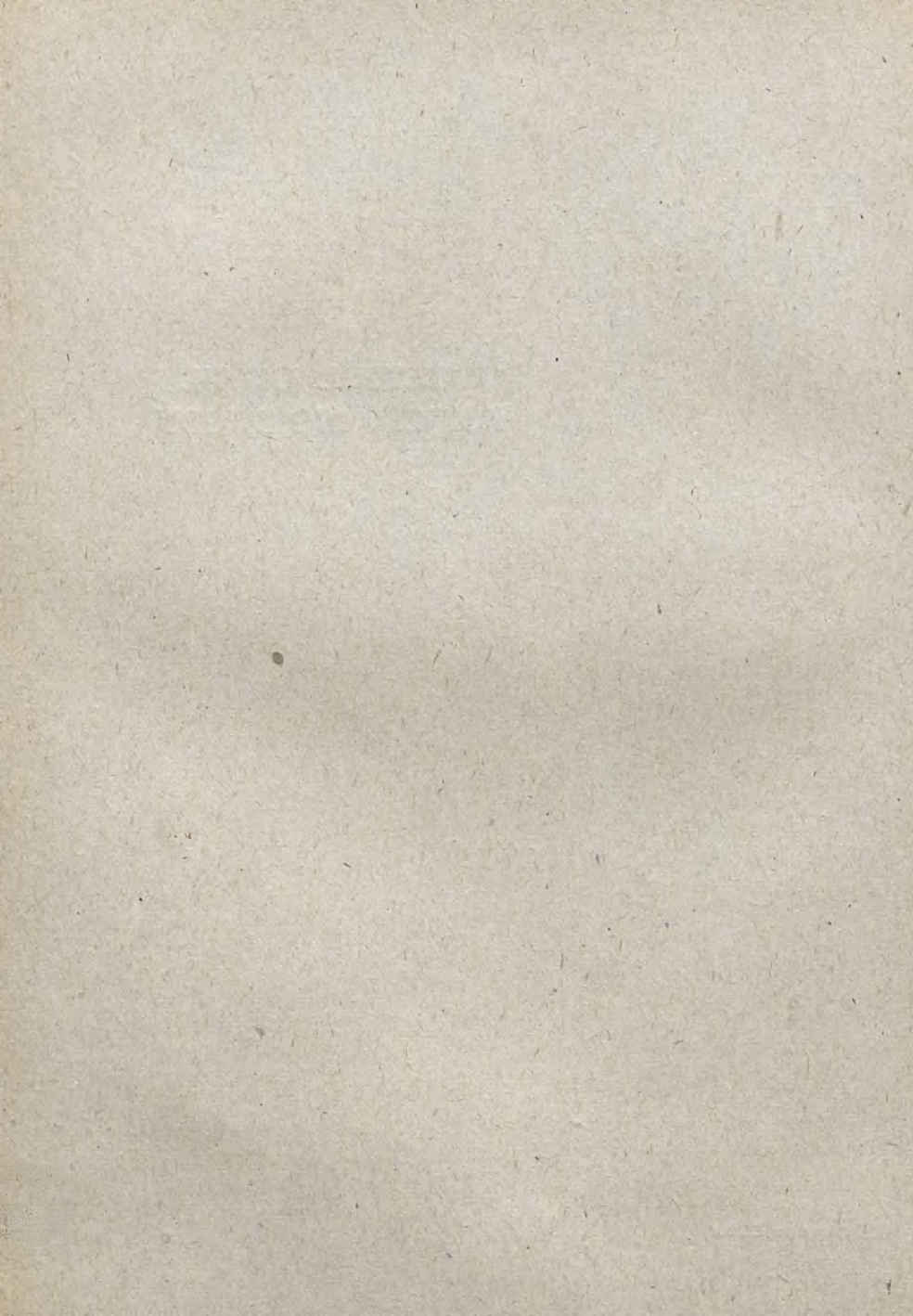
K O N I E C.

OPUSZCZONE OBJAŚNIENIA:

Do str. 84: „Hic mulier“ (łacińskie „ten kobieta“) — kobieta o męskim, nieuległym charakterze; „na starą fożę“ — tu „na stary sposób“, wyraz często używany przez W. Potockiego w *Wojnie Chocimskiej*.

Do str. 93: „manu propria“ — własną ręką; „arędownców“ — arendarzy, tu w szerokim, pierwotnym znaczeniu, dzierżawców w ogóle.

OSTATNIE CHWILE
KSIĘCIA WOJEWODY



Sicut vita
Mors ita... ¹⁾»

...Naszej ostatniej podróży z księciem Jegomością, choćbym sto lat żył nie zapomnę. A bo też to była droga, panie boże odpuść, krzyżowa. Księcia już w tych czasach, bodaj od czasu jakeśmy do Berlina i Wrocławia, do tych tam doktorów jeździli co nam nic nie pomogli, ani było poznać. Okrutnie się nam zmienił, sposepniał, znudniał, stał się milczącym, ponurym, obojętnym na wszystko. Bywało siądzie w krześle, ręce na brzuchu splecie, palcami nabrzękłymi kręci, głowę na piersi zwiesi, sapie i milczy.

Przyjdzie który z nas i chrząknie, ażeby dać znać o sobie (bo już nie widział nic), to pozna każdego po głosie, podnie się czasem głowę: A co tam? — spyta — i nie doczekawszy odpowiedzi, pogrąży się w zadumie.

Myśmy to już aż nadto dobrze znali wszyscy, że od dawna był niewidomy; ale się do tego nie przyznawał nigdy, chyba przed najpoufalszymi, dla innych udawał, że tylko nie dowidzi.

W Nieświeżu. — panie miłosierny! — wszystko miał, czego tylko dusza zapragnąć mogła; ale go jakiś niepokój

¹⁾ Jako życie śmierć tak samo...

opanował, iż w miejscu usiedzieć nie mógł. Zachciało mu się jechać. Dokąd? do Białej — Po co? sam podobno nieboraczysko nie wiedział... Ot, w miejscu mu było tęskno... aby się ruszać. — Lekarzowi powiedział, że chce do Najśw. Panny do Leśnej! Morawskiemu, że tam powietrze lepsze; mnie, że tam woda zdrowsza; księciu Hieronimowi, że w Białej sepecik¹⁾ z papierami zostawił, który sam odebrać musi, bo tam są najważniejsze papiery: ale bajki to były, jako żywo; w istocie niepokój go ogarniał przedśmiertny, nudził sobą wszędzie.

Wieczorem we czwartek, jak dziś pamiętam, wyszła dyspozycja gotować się do podróży. Wyznaczyli i mnie, bo książkę czasem ze mną baraskkować lubił; więc pakuj co żywo na łeb na szyję węzełki, choć się nie chciało — ano, mus! kiedyś grzyb, leż w koszu! A tu drogi oślizłe, pora choć psy goń: nic nie pomoże *sic volo, sic jubeo*²⁾. Jedziemy!

Ruszył przodem Stanowniczy i kuchnie, poszły cugi na przepręgę; caluteńką noc zostawało się jak w kotle, biegająca ze wschodów na wschody, po dziedzińcach, po stajniach, z latarniami — bo nagle to przyszło i nikt się nie spodziewał. Doktor tylko ramionami ruszał. Pytał go siostrzeniec, pan pułkownik Morawski, czy nie zaszkodzi? — bąknął na to: Wszystko już jedno, nie zaszkodzi ani pomoże, niechaj już jedzie kiedy chce. Któż wie? powietrze zmieni, a może go to rozerwie.

¹⁾ Szkatułka.

²⁾ Tak chcę, tak rozkazuję.

Ale gdzie zaś! Na pierwszym noclegu, jak siadł zjadłszy, myśleliśmy, że się zdrzemnie. Nie, ino się tak zadumał, zawinał w tych myślach, że ani słowa było dopytać.

Drugiego dnia, trochę nas pocieszył, bo wydawał się rześwieższym i jadł lepiej. Wieczorem, na mnie przyszła kolej dyżurowania. Świece pozasłaniałem, pod piecem siadłem, czekam co Bóg da.

Chrząknął: — Jest tam który?

— Jestem mości Książę.

— Tak ciemno, że wasana nie widzę.

— Umyślnie światło przysłonięte, żeby WKs. Mość nie raziło.

Machnął ręką.

— Która godzina...?

Spojrzałem na cebulę¹⁾ — było po ósmej.

— Po ósmej mości Książę.

— Co tam na dworze?

— Słota, mości Książę.

— Co się tam z księżycem dzieje? bo zapomniałem. Nów czy co?

— Ostatnia kwadra.

Szepnął i zamilkł. Jam się i tem ucieszył com posłyszał, bo dawno już i tyle nie mówił.

— Jest tam jaka gazeta z Warszawy — zapytał.

— Po drodze żadnej nie odebraliśmy, ostatnią w Nieświeżu.

¹⁾ Staroświecki, duży zegarek kieszonkowy.

— A mówilem, żeby za mną kresy ¹⁾ ślali: toć to Sejmowy czas...

Znowu zamilkł i westchnął.

Tego wieczora więcej się już nie odzywał; sięgnął tylko ręką do różańca po Sierotce, który na stole leżał, i zaczął się modlić. Skończywszy modlitwy zażądał do łóżka. Rozebrałszy go tedy i nocny dyżur już kto inny trzymał.

Mówili, że spał dosyć dobrze, tylko przez sen kilka razy krzyknął. Bywało to i dawniej, bo jak sam powiadał, we śnie mu przychodziły przypomnienia różne, to czasów młodości, to podróży za granicą, kiedy był na wygnaniu, to niebezpieczeństw różnych i przygód. Sam nieraz słyszałem, bywało, jak huknął:

— Wiara, do mnie! a wal go! a bij! a tłucz!

To znowu nieboszczyków nawoływał: Wołodkowicza, którego bardzo kochał, Rejtanów, ba, i różne imiona kobiece, zapomniane i nam nie znane, znać z czasów księcia Miecznika ²⁾

Nazajutrz po polewce rannej — karczma była ohydna — ruszyliśmy dalej w drogę.

Słota jesienna jak na złość się uparła; choć koni cugowych osiem było najlepszych w kolebce, musieliśmy się wlec noga za nogą. Nie bez tego żeby w bloku i po tych naszych wertepach powóz się nie przechylał, choć go hajduki ciągle podtrzymywały a niekiedy, można powiedzieć, na plecach prawie niosły. Dawało się to czuć księciu, stękał.

¹⁾ Rozstawione posterunki pocztowe; łączność między niemi.

²⁾ Tj. z młodości Ks. Panie Kochanku.

— Teraz bo i drogi, jak ludzie, w niwecz się popsuły — mruczał — nigdy takich nie bywało.

Wieczorem, tyłkośmy na plebanii stanęli, zaraz z księdzem się przywitawszy, do łóżka poszedł.

W łóżku jadł, pacierze leżąc mówił (na co dispensę miał) i wkrótce się zdrzemnął. Sen był znowu niespokojny.

Takeśmy dojechali; *mutatis mutandis*¹⁾, a raczej dowlekliśmy się, do Sławatycz nad Bugiem. Smutniejszego nic w świecie nie znam, nad ten kąt dóbr książęcych; choć to nadbużny, sławny kraj — ale, Bogiem a prawdą, pustynia, odludzie, tylko lasy a lasy sosnowe a błoto kepiaste, albo piąchy. Piasku by tu stało na wszystkie kancelarje w świecie; ale niech Bóg uchowa, żeby ich tak wiele być miało, bo z tego pisania kancelaryjnego, obraza Bozka, krzywda ludzka i ogłupienie skrybentów.

Dwór na ekonomii stary, drewniany zawczasu był oporzadzony, wyszorowany, wykadzony, tatarakiem wysypany, pozawieszany i powyścielany jak można najlepiej.

Książę zajmował izbę ogromną, ciepłą, zaciszną, bośmy Stanowniczego mieli Bohuszewicza, który umiał z niczego pałac wystroić. Panie świeć nad jego duszą, bo mu się już zmarło, gdy to piszę.

Pochowali go w Słucku.

Książę dobiwszy się do Sławatycz, znużonym się uczuł i zapowiedział, że kilka dni tu spocznie; choć niewiele mil było do Białej.

Bohuszewicz przodem pojechał na zamek, ażeby tam

¹⁾ Przy czem zmieniał się, co zmieniać się miało.

wszystko stało w pogotowiu; ale o tośmy obawy nie mieli, chyba, żeby piece wcześniej poopalali dla swędu.

Z Białej tu, zawczasu, na przypadek, i zwierzyne i co do kuchni było potrzeba zwieziono; nie zbywało na niczem.

Wieczorem zaraz Sławatyccy żydzi, z wielką pompą, przynieśli na kuchnię szczupaka ogromnego dwudziestofuntowego, na drewnianym blacie karmazynową kitajką z galonem obszytym, i z cytryną w pysku, za co im książe kazał dać pięć dukatów, ale pono ich nie wzięli.

Nie było nam tu tak bardzo źle, bo i piwnica się znalazła zaopatrzona u Strzałkowskiego, który na ekonomii siedział — a dobrze mu się działo. Nie było jużćić źle, ale wściekle nudno... A tu deszcz — dziur, dziur — od rana do nocy.

Wzdychaliśmy do Bialskiego zamku, już choćby dla ciasnoty, bo cały dwór w domu się nie mógł pomieścić; tuliliśmy się, jak się komu udało naprzeciwno, po szopach, po chatach, po karczmach, po żydowskich izbach, a konie pod szałasami i w oborach, gdzie do kostek gnoju było.

Któregoś wieczora, znowu dyżur przyszedł na mnie.

Ledwie siadł, książe się odzywa:

— Jest tam który?

— Glinka, mości Książe.

— Która godzina?

Spojrzałem, było około dziewiątej, aleśmy wszyscy radzi byli, gdy się prędzej na spoczynek położył, wyciągnął się, zasnął a sił nabrał; myślałem, że nie zgrzeszę, gdy trochę zegarek posunę. Powiedziałem mu że dziewiąta.

— Jak to teraz i ten czas leci — począł — dawniej, panie

kochanku, nieraz na raku jechał czy na ślimaku, a dziś sobie skrzydła przypawił. Hm! a co na dworze?

— Trochę się wyjaśnia.

— Z której strony?

Odpowiedź była trudna, ale ksiązę nie lubił, gdy mu się kto niewiadomością składał, szczególnie co do pory i nieba; mawiał zawsze, że szlachcic jako żołnierz, powinien być dzień i noc wiedzieć co się na niebie dzieje, skąd wiatr wiał i jakie tam chodziły chmury. Palnąłem na pamięć, że od zachodu, boć u nas wszystko prawie od zachodu idzie, i słońce i pogoda.

— A toby nie źle było — rzekł — ino ty Glinko, pewnie nie wiesz gdzie zachód w Siawatyczach? było się żydów spytać, oni wszystko wiedzą.

— Ale wiem, mości Książę.

— Na zdrowie ci, panie kochanku.

Gdy to mówił, zauważyłem w głosie zmianę, silniejszy był ale jakby gorączkowy. Sapał też mocniej. Po chwili zapytał znowu.

— Co mówisz? nie słyszę!

— Nicem się nie odzywał, mości Książę, szepnąłem cicho.

— Toś się pewnie zdrzemnął.

— Nie, mości Książę.

— Bo to wy teraz, panie kochanku, wszyscy jesteście piecuchy i śpiochy; oczy wam od snu zarastają... hę??

— Nic nie mówię, mości Książę.

— A dla czegoż się nie bronisiz? panie kochanku — zapytał z półuśmiechem — co?

Sam nie wiedziałem co mu na to odpowiedzieć, aż mi na

myśl przyszło rzec: że myśmy nie żołnierze, i że nas dobroć księcia popsuła.

— He! he! — zawołał — i z waści, Glinko, pochlebca!

W głosie czuć było jakąś siłę, której dawno w nim nie uważałem. Byłoby mnie to pocieszyło, ale mi się zdawało, że gorączkę miał; szczególnie, iż się to zawsze na wieczór zbierało, a wedle fizyków¹⁾ to znak nie dobry.

Westchnął, pięścią się uderzywszy w piersi.

— Czyby Finkego nie zawołać? — spytałem.

Finke jako doktor był z nami w podróży.

— A po jakiego licha? panie kochanku! — zamruczał. — Czy ty myślisz, że on więcej co wie jak ja i ty? Weźmie za puls, potrzyma, języka sobie każe pokazać, głowę pokiwa, powie, że wszystko dobrze — byle pieniądze wziął. Co te doktory, co te doktory, panie kochanku; choćby i ten Trales, co go trzeba było na wagę złota kupować, a osioł panie kochanku, niemiec, słowa nawet po polsku nie umie, jakże on polską chorobę leczyć może?

— Czy Księciu mówienie siła nie zaszkodzi pod noc? — zrobiłem uwagę.

— Cóż to i ty doktorem zostałeś? — obruszył się — a tobie co do tego? Hę! drzemaćbyś chciał pod piecem.

— Ale nie, mości Książę, z troskliwości.

— Patrzejcie go, jaki gorliwy. Milczałbyś, panie kochanku.

Westchnął, podparł się na kulaku i zmilczał sam.

¹⁾ Lekarzy.

Wpatrzyłem się w niego, oczy miał otwarte, ale jak mgłą zasłonięte, nieruchome, choć na twarzy jakieś życie grało.

— Spisz, Glinka? — zapytał po chwili.

— Nie mości Książę, mnie się wcale na sen nie zbiera; w drodze się dosyć drzemało na zapas, choćby całą noc siedzieć, to mi nic.

— Tak, gdyby kto z tobą w družbarta ¹⁾ grał, albo panna Marcjanna słodkie oczy robiła do waszeci, to wierzę... na sen by ci się nie zbierało, panie kochanku; ale słuchać jak w starym garnku klekocze, pono nie weselej jak gdy deszcz dziurgiem z rynny bieży...

Uśmiechnąłem się.

— Zobaczno, która tam?

Było po dziewiątej, ale raz skłamawszy, musiałem już zegarek wyprzedzać.

— Pół do dziesiątej, mości Książę.

— Ono by to spać iść wypadało, bo mówią, że sen przed północą najposilniejszy — zamruczał. — Ale łgą... i spać mi się nie chce. Który dziś dzień?

— Środa.

— A no, prawda, post! szczupak był po żydowsku. Nie przyjechał tam kto z Białej, panie kochanku?

— Tylko Tryzna przed wieczorem.

— A co mi po Tryźnie!

Zaczął coś szeptać do siebie.

Znać posłyszawszy z sieni naszą rozmowę Finke wszedł, drzwi lekko skrzypnęły — poznał go zaraz po chodzie.

¹⁾ Staropolska gra w karty.

— Ty, Eskulapie jakiś — odezwał się — pewnie mnie chcesz do łóżka już pędzić. Otóż nie! Gdy się położę, to mnie zaraz w piersiach dusi. Idź sobie z Panem Bogiem, będę siedział, aż się zdrzemię.

Finke podszedł tymczasem i za puls go wzięwszy, trzymał. Książę choć nic nie widział, z nałogu nań oczy obrócił.

— Książęby się limonady napił? — zapytał.

— Kiedy ty do niej saletrę sypiesz — oburzył się wojewoda. — To, rzecz, panie kochanku, niebezpieczna. Mnie gorączka spaliła na węgiel, do węgla saletry dodawszy, proch będzie. Od łada świecy, panie kochanku, eksplozya może być i Radziwiłł w górę wyleci. Jeszcze tego nie bywało.

Finke się głośno roześmiał, a jam mu wtórował.

— Dobrze się tobie śmiać — podchwycił Książę, jak był dawnie nawykł, z wielką serją — znałem takiego hiszpana, któremu brzuch z tej przyczyny pękł, ledwie mu go potem zaszyto. Część kiszek stracił nieborak, i cokolwiek jadł po cztery tygodnie trawić musiał.

Zdziwił się Finke, a cieszyłem się ja, że Książę po staremu począł koncepta swoje prawić, dawno bowiem tego nie bywało, alem uważał, że doktorowi twarz pochmurniała. Podał limonadę.

— Limonada bez saletry, mości Książę.

— No to daj! aby się odczepić! — napił się dosyć chciwie, i oddając szklankę rzekł:

— Jednakże, Glinka, świecę ode mnie trzymaj zdaleka. Finke bez saletry nie stąpi, musi łaciny namięsząć.

Doktor odszedł na kilka kroków.

— Idź spać, Eskulapie, panie kochanku — dodał książę.

zę — tylko nie chodź do Ekonomowej, proszę cię, żebym potem z twojej przyczyny procesu nie miał.

— Ale, proszę Księcia JMości — odparł Finke — ekonomowa Strzałkowska ma pięćdziesiąt lat.

— Tak ci się zdaje, panie kochanku — westchnął książę — ja pamiętam gdy miała osiemnaście, jużci tak prędko postarzeć nie mogła. Oni na wsiach, panie kochanku, powoli żyją. W dzień zresztą będzie wyglądała na pięćdziesiąt, a wieczorem na dwadzieścia, i to się praktykuje ¹⁾).

Finke ramionami ruszał.

W. Ks. Mości, po fatygującej podróży wczesnyby się sen należał — dodał — przed północą sen najposilniejszy.

— Słyszałem — rzekł książę — to nie nowina. Idźże się nim posilaj, a mnie się nie chce. Wy się tego od kur nauczyliście, a co kura to nie człowiek... Daj mi z tym Morfeuszem pokój. Dobranoc ci! Glinka — dodał zwracając się ku mnie — prosz pana doktora za drzwi, panie kochanku.

Finke kwaśny wyszedł, jam go przeprowadził do progu.

— Książę ma trochę gorączki — szepnął mi — gdyby pić chciał, limonada przygotowana. Nie dawaj mu się zbytnio rozgadywać, bo się ze snu wybije.

Ledwie się drzwi zamknęły, Książę zapytał.

— Poszedł szoldra? ²⁾

— Tak jest mości Książę.

— Siadajże i nie śpij, a słuchaj, bo mi się chce gadać. Jużciż powinienem mieć kogoś, żeby mnie słuchał.

Pomimo tej obietnicy zamilkł natychmiast; zmienił tylko

¹⁾ Zdarza.

²⁾ Niemiec.

rękę, sparł się na drugiej i mruczał coś niewyraźnie. Trwało to ze ćwierć godziny. Wtem kury, nie wiem czem, zdala gdzieś spłoszone, bez pory pieć zaczęły na trwogę.

— He? cóż to takiego jest? kury już pieją? — zawołał jak przebudzony. Zobacznó godzinę, co im się znowu przysniło? Powiedzieć jutro Strzałkowskiej, żeby mi tych buntowników w pień wycięto. Przeciwno prawu Bożemu pieją mi przed północą!! A wara, panie kochanku! Cóż to mi za gatunek kur znowu, co sobie pozwalają pieć przed terminem? Cóż na to djabli powiedzą? djabłów też narażać nie potrzeba, Glinka! nie śpisz — dorzucił.

— Nie, mości Książę.

— To ci się chwali. a świece gdzie, panie kochanku.

— Za parawanem, mości Książę.

Poucierajże im nosy, bo pewnie na nich grzyby narosły. Tylko nie palcami.

Rozśmiałem się.

— Są przecież szczypce, mości Książę, i to nawet srebrne — rzekłem idąc za parawanik.

— A cóż to ty myślałeś, że u Radziwiłła żelazne być mają albo mosiężne? Jeszcze na szczypce nas stało, choć wyssali nas dużo. Ale póty szczypców, póty mnie... oni to wszystko przetopią i potopią.

Począł się w piersi bić i wzdychać ciężko; milczał już, lecz słyszałem oddech stłumiony, przyspieszony i jakby jęk strzemywany, któremu się dobyć *ex pectore*¹⁾ nie do zwał.

¹⁾ Z piersi.

Księżę może limonady? — spytałem.

Ręką mi dał znak, że nie chce.

Po chwili, nagle podniósł głowę i wyprostował, jakby coś zobaczył przed sobą. Dłonią się niby od światła zasłonił i cicho szepnął trwożliwie.

— Glinka, kto tam stoi?

— Nie ma nikogo oprócz mnie, mości Księżę — rzekłem żywo.

— Ty bo oczów nie masz, panie kochanku! — zamruczał i zamilkł opadłszy na krzesło, ale ciągle się w jedno miejsce wpatrywał.

Nierychło potem, dziwnym głosem jakimś począł, jakby do kogoś niewidzialnego dla mnie.

— Znam cię, takim jesteś jak na obrazie w Nieświeżu, ale czegoż chcesz? czy już wybiła godzina? Nie. Jeszcze mi trzeba o jedno przebaczenie prosić, tego mi nie dano...

Czyś przyszedł słuchać rachunku sumienia?

Cóż to jest? więcej was... dwóch, trzech! Czarny także, Li-zdejko... Rudy... Bogusław, Mikołaj; co was tu przyszło!... ale godzina moja nie wybiła jeszcze. Obiecałem się przystawić do Białej — i musi też tu przyjść ta, przeciw której zawiniłem. Pan Bóg ją ześle. Katembrink mi to obiecał... kury piałły przez głupotę. Chciałbym pożyć jeszcze, póki te sto tysięcy nie staną, które sejm wotował...

Cóż wy głowami kiwacie? myślicie może iż sejm darmo głosował i że z tego nie będzie nic?

Strach mnie przejął słysząc ten głos i chciałem przerwać mu. Zbliżyłem się pokaszlując, a nogami szastając.

— Mości Księżę, nikogo nie ma.

Rozgniewany ręką rzucił, jakby odpychał, i głośno zawołał do mnie.

— Milczeć panie kochanku...

Ślepy chyba jesteś. Oto Lizdejko ¹⁾ stoi, arcykapłan, siwa broda po kolana, w rękę pastorał, na głowie infuła. Pokłonił mu się...

W głosie jakby łzy czuć było, począł się w piersi bić

Mea culpa! mea culpa! Choć Radziwiłł, alem człowiek i grzeszny. Przyszło mi się rodzić na ciężkie czasy... Prawda, ślepy byłem często, panie kochanku, arcykapłanie, za to też mnie Pan Bóg na dni ostatnie ukarał ślepotą, gdy najwięcej na światby się patrzeć chciało. Ślepym był, alem drogi szukał, a ludzie nie poczciwi wskazywali mi ją bałamutnie. Zbawienia kraju pragnąłem zawsze, któż mógł wiedzieć, w kim ono i gdzie było.

Jęknął boleśnie, a mnie na głowie włosy się jeżyły i ciarki chodziły po skórze.

— Radomska ²⁾, tak, ślepym był; prawda... ale co mnie barska kosztowała!... Com ja winien? król ekonomczuk, ale pomazaniec boży, panie kochanku. W Piśmie Świętym stoi, że i od bydła brał Bóg pastuchów na królów. Co on temu winien? On się na tancmistrza rodził, a jemu królem być przyszło...

Nie patrzajcie tak na mnie! Było wam nie za Jagiełłów

¹⁾ Legendarny przodek Radziwiłłów, którego Panie Kochanku, zgodnie z wyobrażeniami wieku wyobraża sobie w stroju biskupa katolickiego, gdyż miał być arcykapłanem Litwy pogańskiej.

²⁾ Konfederacja (1767), w której główną rolę na szkodę kraju grał Książę Panie Kochanku.

i Zygmuntów a za Ekonomczuka sie urodzić, chodzilibyście jak ja z zawiązanymi oczyma po tym labiryncie. Gdzie się człowiek obrócił, przepaście...

Złotem Radziwiłłowskiem nie było ich zasypać, ani łzami Radziwiłłowskiemi nie zalać...

Pułk dałem Rzeczypospolitej i działa, niech choć te wezmą co są w Nieświeżu.

Zamilkł, a po chwilce mówił znowu.

— Król JMć pruski, kuzyn prawda, ale ja żadnemu niemcowi nie wierzę. Polityk wielki, udaje, że nas bardzo kocha. Gdzieby zaś mógł miłować owce ten, co jej boki powy gryzał! Człowiek gładki i grzeczny, ananasami mnie chciał karmić we Wrocławiu, ale ja wolę polskie ogórki kwaśne, niż pruskie ananasy...

Przyłożył rękę drżącą do czoła i patrzył, majacząc ciągle.

— Wołodkowicz! a co ty tam robisz za niemi w lisiej kurtce? czy na polowanie do Nalibok? po coś poszedł? po mnie? Nie mogę, przyjacielu, panie kochanku, jakem pocziw nie mogę. Ty to najlepiej wiesz... o d n i e j nie mam przebaczenia, a bez niego na sąd stanąć nie mogę. Kury te, co dla mnie śpiewać mają, nie piałły jeszcze... Czekaj kochanie! Już nie długo.

Opadła mu głowa po tym wysiłku, a jam słuchając drżał, bo i mnie z tego wrażenia przyśniwały się w mroku cienie jakieś. Najwięcej mnie to uderzyło, iż dwa razy wspomniał o przebaczeniu, którego o d n i e j potrzebował. Łamałem sobie głowę nad tym, od kogo? bom książęce życie, na dworze się wychowawszy, znał dobrze, *de visu et audi-*

tu¹⁾, a na myśl mi nie mogło przyjść, o kim mowa być miała.

W tem jak krzyknie: Glinka! śpisz? — ażem się rzucił.

— Ale nie, mości Książę!

— Widziałeś ty ich?

— Nikogo nie było.

— Tak! dla ciebie ich nie ma, ale dla mnie są. Tyś ich oblicza oglądać nie godzien; nie do ciebie oni przychodzili i dla twoich oczu są zakryci...

— A ją widziałeś? — dodał. Taka piękna jak i była, taka dumna i taka nieubлагana!! Nie przebaczyła mi, panie kochanku! nie! czekać muszę i dusza nie wyjdzie z ciała, aż ona mnie rozgrzeszy.

Począł wzdychać. Zdawało mi się, że łzy mu pobiegły po twarzy. Nie wiedziałem co począć; doktor zakazał, aby nie mówił wiele, a przerwać mu było nie podobna. Gdy się nieco zaciął, myślałem, że się na tym skończy i podałem mu szklanę z limonadą.

Dotknąwszy się jej ręką, cofnął ją.

— Co to jest? trucizny mi chcesz dać?

— Limonada, mości Książę.

Ruszył lekko ramionami i zdał się powracać do przytomności.

— A tak! zeszło na klejek owsiany i na limonadkę, na łacińską kuchnię i na włoską piwnicę księciu Wojewodzie, kto to słyszał! To dla bab. Gdyby mi dali starego węgrzyna,

¹⁾ Z widzenia i ze słyszenia.

zarazbym się uczuł lepiej, ale doktor sam go wypić woli. Limonady tylko włosi używają, a to są sodomici; daj ty mi pokój z limonadą i pójdź precz pod piec.

Cofnąłem się posłuszny, a przez chwilę pewien byłem, iż mu się na sen zbierało. Oparty na rękę z oczyma zamkniętymi spoczywał, ciężki tylko oddech słyszać było. Wtem znowu szmer doszedł mych uszu, Książę po cichu mówił sam do siebie; zrazu było to tylko mruczenie śpieszne, niewyraźne, lecz powoli mowa coraz się dobitniejszą stawała.

— Znowuście przyszli! Skruchy żądacie! Winienem, winienem, wina moja, wielka wina, przedziadowie, ojcowie, pobożny biskupie Jałmużniku, i ty Jerzy, purpuracie rzymski, świętobliwy panie, i ty książę Kanclerzu i wy wszyscy, coście mnie na świecie poprzedzili, mea culpa! Spowiadam się przed wami... życie było grzeszne, ale się panie kochanku, urodził pod slotą... po błocie iść a nie zawałać się, to chyba anielska rzecz; jam skrzydeł nie miał i brnąłem po kostki, Mea culpa! Miecznik najwięcej nagrzeszył a Wojewoda długo za niego pokutował. Na świecie odbyłem ciężką za grzechy karę...

Zapłaciłem za wszystko z nawiązką: groszem, krwią, łzami, tułactwem, biedą, panie kochanku. Wszak po barskiej dosyćchem na tragedię patrzył co nas rozćwiartowała, a tego mi nie liczycie? Radziwiłł musiał się potem kłaniać ekonomczukowi i w rękę go całować, panie kochanku, a Czar-toryskich do piersi przyciskać! Co roku potem szły klęski i upokorzenia. W porę oślepiłem, aby nie patrzeć na resztę, panie kochanku...

Robiłem co mogłem! W Albie mi morza nie dali dokoń-

czyć; teraz wyschnie i wiuny w nim, piskorze będą mieszkały. Z pułkiem też nie wiem co się stanie... Kto wie co z samymi Radziwiłłami? Już to bieda, gdy pień uschnie a od korzeni puszczą odrośle, bo te zawsze karłowate, panie kochanku...

W Naliborskiej puszczy z niedźwiedzi zejdzcie na krety.

Kto wie co z Hieronimowskiego bębna wyrośnie... Mnie Wiśniowiecka rodziła, a jego jakaś Taxica...¹⁾ inna krew... Jam niedźwiedzie do karety zaprzęgał, on chyba kozy do wózka dobierze... może osły? Wnuki gotowe chodzić piechotą, panie kochanku.

Zakrył oczy i płakać zaczął po cichu.

— Kardynałowie, biskupi, wojewodowie, kanclerze, udzielne książęta, krew królewska w żyłach, na tronach siadaliśmy... a jutro może sługi tych, co się nam kłaniali i brali od nas jałmużnę, a pojutrze prochu garść, którą rozwieją wiatry i pamięć nawet zaginie.

Drżałem słuchając, ale mnie też tej spowiedzi i lamentów ciekawość brała grzeszna, żem ani mu przeszkadzał, ani wołać chciał kogo. Milczał chwilę spoczywając, a niekiedy jakby zachłystując się płaczem.

Miserere mei Deus, miserere mei, quia derelinquisti me!²⁾

W tem, jakby się nad nim i jego cierpieniem Bóg ulitował, sen mu spadł na powieki, począł spać i sapać straszliwie. Ani się go budzić godziło, ani odejść; czekałem więc,

¹⁾ Spadkobierca ks. Karola Panie Kochanku, ks. Dominik (†1813) syn ks. Hieronima i księżniczki Turn et Taxis.

²⁾ Pocz. psalmu 50: Ulituj się Panie, ulituj, bowiem opuściłeś mnie!

ażeby się sam ocknął i do łóżka iść zażądał. W tem, owo chrapanie, które niemal na cały dom słyhać było, zmieniło się w śmiech. Śmiał się przez sen tak, jak był zwykły dawniej, gdy na dobry figiel patrzył, lub sam co trefnego powiedział.

Ten śmiech ze snu go wyprowadził; lecz nie oprzytomniał, gorączka owszem coraz się zdawała silniejszą.

— Hej tam na górze, kapela... od ucha mi grać, panie kochanku... i trąbom gęby nie żałować... Srebrną beczkę ze skarbcza wytoczyć, tygrysią nakryć ją skórą. Co mi szkodzi karmazynowe hajdawery, mogę w nich beczkę jako Bachusa okraczyć, hajduty niech ciągną na sale... albo zaprząć do niej niedźwiedzie, to baby potruć chleją... Przodem Bachantki we kwiatkach, albo boso i bez ceremonii, panie kochanku. Co mi tam!! Radziwiłłem się urodziłem... znaj Litwo Radziwiłła! Kto mi w drogę wlezie, łeb zetnę i zapłacę. Mniejszej gawiedzi po sto bizunów, bizun po dukacie! panie kochanku! Żyda szelmę powiesić na wieprzowej kiszce, a nie, to go w sobotę sadłem smarować... Hulaj dusza! Wołodkowicz kochanie, Rejtanie, duszko moja, podajcie mi ręce... ot tak! Trąćmy się... a kto nie wypije! tego w cztery kije... panie kochanku...

Poniatowszczuka precz zmiemiemy z tronu, tron po nim opaskudzony wyszorować. Dać mu dwieście złotych, niech na folwarku pisarzuję, bo rękę ma dobrą, gryzmoli niczego...

W Albie port uczynimy, panie kochanku... Turcy tu będą po świninę przyjeżdżać a Hiszpanie po dziegieć, którego w domu nie mają... Przywiozą nam fig dla szlachty, a pomarańczę dla panów senatorów... i różków dla dzieci... Kurdesz nad Kurdeszami!...

Czemu nie gra muzyka, panie kochanku, struny im popękały czy ręce? Światła pogasły... Noc, a ja bosy... panie kochanku... Kto żyw ratuj! gdzie cholewy moje? Co to? Eperiesz? Wenecya? nic nie widzę...

Niech mi zaraz Trales zasłonę z oczów ściagnie... albo, albo... dam mu miasteczko i wsi dziesięć dożywociem... mało? dodać cegłę złotą i jednego apostoła... ale Judasza.. niech zna Radziwiłła... Jak mu się nie uda... ściąć szołdrę na rynku... panie kochanku.

W tem gdym już sądził, że koniec temu straszliwemu dialogowi z losem, głos się odmienił.

— Schodzę bezpotomny! Tyś temu winna, ty... coś mnie przekłęła! Za ciebiem się męczył życie całe, i umrzeć spokojnie nie mogę... Prosiłem na klęczkach... nie chciałaś przebaczyć, a gdym winę popełnił... przy zmysłach nie byłem. Feli-siu... serce moje... przez cię

Zaszlochał, przebudził się i jak przestraszony krzyknął:

— Jest tam który? hola!

— Glinka, mości Książę.

— Co to jest? która godzina? — począł żywo? — może ja co przez sen mówiłem? Wody mi daj! pić się chce, we wnętrznościach mnie pali... Godzina? która godzina?

Nie było jeszcze północy, alem się odezwał bez rozmysłu.

— Pierwsze kury ino nie słyhać jak zapieją.

— A cóżes to im dał komenderówkę? — zawołał. — Skądże wiesz, że zapieją? Jak można wiedzieć kiedy kobieta zdradzi, a kur zapieje?

Wziął szklankę i limonady pociągnął, ale po niej splunął.

— Gorzka jak żółć, dejweldreku do niej niemiec namięszał, tfu!

— Księciu dawno czas do łóżka! — rzekłem.

— Hę? to ty mnie coś tak jak kogutom chcesz rozkazywać? Ale dajże ty mi z tym łóżkiem święty pokój! Chybabyś chciał umorzyć Księcia Wojewodę za to, że ci spać nie daje i dokuczył... Mnie się jeszcze żyć chce, a w łóżku dusi i pod łóżkiem śmierć zaczajona siedzi.

Tu się macnął po kieszeni jakby pieniędzy szukał, a nie znalazłszy nic, westchnął.

— Grosza przy duszy u Radziwiłła nie ma, wycmoktali wszystko... a co cyrografów nadopisywać kazali... tylko jeden Bóg wie, a drugi niespełna pełnomocny.

I znowu do siebie mruczał:

— Nepta zdechła bezpotomnie, jak ja!... Książd Katembrynk na probostwie konopie moczy, Wołodkowicza robaki jedzą... wszyscy moi dawni towarzysze i przyjaciele śpią w trumnach... na drugi bok już się przewróciwszy, a ja przez tę opieszłą Felisję, która z rozgrzeszeniem nie przychodzi, czuwać muszę za grzechy, aż póki po ostatnim upadku nie uderzą w moździerz na rezurekcję i tryumf... Naówczas przyleci anioł, i jako Tobiaszowi oczy mi potrze, abym na radość i szczęście patrzył... Teraz lepiej być ślepym.

Znać głos ksiązęcy, brzmiały niekiedy donośnie, musiał w sieni śpiących i po drugich izbach czuwających zaniepokoić, skrzypnęły bowiem drzwi po cichu i wszedł stary Wiśniowski, szlachcic, którego Książę lubił, bo był przy nim dworzaninem od młodych lat i przebywał z nim wszystkie utrapienia, niedole i tułactwa, krokiem go nie odstępując.

Wiśniowski miał się już dobrze, wioskę kupił na dziedzictwo, zastawą trzymał dwie, ale trwał na usługach, raczej przez miłość dla starego pana niż dla zysku.

Wszedł tedy, w płóciennych spodniach i kożuszk, jak z łóżka się zerwał, stanął w progu, ręce powkładawszy w kieszenie, począł się rozpatrywać dokoła. Księżę jakby poczuł, że ktoś jest więcej, podniósł głowę.

— Wiśniowski? — zapytał.

— Sługa W. K. Mości.

— Ja ciebie zawsze węchem poznam, koński pot czuć od waszeci, ale ja go lubię. Czemuż ty stary nie śpisz?

— No, ja to ja, ale dlaczego Księżę Wojewoda nie idzie do łóżka?

— Powiem ci Wiśniosiu prawdę, ja się łóżka boję, umierać mi się nie chce.

— E! e! Co bo o tem myśleć i mówić! — rzekł spokojnie stary — Księżę sam masz w sobie wigoru dosyć, będziesz zdrów, i wzrok u cudownego obrazu odzyszczesz, i zapolujemy jeszcze na niedźwiedzie.

— Tere fere kuku! strzela baba łuku! Zapolujemy! Dobryś! tak, tak, ze świętym Hubertem razem, w tym lasku, w którym się Absalon obwiesił! — zawołał wojewoda. — Ty stary mój też już w piętę gonisz. Ja już i pchły nie upoluję. Mówisz, o cudownej wodzie czy coś... jakby to Bogu wody było trzeba, żeby cud zrobić, gdyby chciał... panie kochanku; ale woli jego nie ma, Radziwiłł mu dojadł, pluje na niego!

W mowie czuć było gorączkę i nieprzytomność, chwilami. Stęknął i rzekł:

— Pamiętasz Wiśniosiu to polowanie?

— Które, mości Książę, małoż ich było?

— Jak? które? — począł — żywo — jedno tylko w życiu takie było. Obława z delfinami na morskie cieleta... Wypłynęliśmy szczęśliwie na Adryatyk około Gdańska i jużśmy mieli rozpocząć, gdy syreny się ukazały... Podstolanka, dwie cześnikówny i ta śliczna Felisia... i Baśka, którą później Sapięha ukradł i uwędził na półgęsek.

— Nic nie pamiętam mości Książę...

— Jak to nie pamiętasz? Toś już ostatek pamięci stracił, panie kochanku... Wszak ci to wówczas hajdukom kazawszy przytrzymać królowę morza, gwałtem się z nią zaręczyłem... Wzięła to na serio... dlatego, panie kochanku, z żadną żoną później wyżyć nie mogł, i schodzę bezpotomny... Bezpotomny! — westchnął i dodał poważnie:

— Jak tobie się zdaje Wiśniosiu? co będzie z tego malca?

— Z którego mości Książę?

— A z Dominiczka? źle mu imię dali — westchnął Książę — nie było pono żadnego Radziwiłła Dominika, bo wszyscy byli całą gębą Dominii, już to zły omen¹⁾, bo na nim ród zmaleje jak imię.

I mówił jakby do siebie:

— Głowy się im pozawracają: roztrwonią Radziwiłłowszczyznę, rozlezie się to, rozproszy, zczeźnie. Będą w końcu chodzili po jałmużnie z herbem na tobołach... Dobrze, że tamci w trumnach, te Krzysztofy, Stanisławy, Mikołaje, Albrechty, Jerzowie. Moje oczy poza grób widzą choć ślepe...

¹⁾ Zła wróżba. Dominicus wydaje się księciu zdrobnieniem od dominus — pan.

Czarno tam będzie, czarno... W Nieświeżu puszczyki i sowy koncerta dla wróbla odprawiają. H u l a v i m u s¹⁾), Wiśniosiu, zapusty się skończyły, popielec i post, śledź w pruskim mundurze jedzie.

W tym słysząc rozhovor, nadszedł i siostrzeniec Wojewody, pułkownik Morawski

— Cóż to wujaszek nie śpi, wszak to północ? jakże zdrowym można być?

Jak winowajca pochwycony na uczynku, zmilczał Książę głowę spuściwszy, potem głosem spokojnym, zmienionym, po cichu, prosząc się żałośliwie, rzekł;

— Ale, panie kochanku, nie pędźcie mnie do łóżka, bo mnie do grobu wpędzicie! Niby to w krzeselku spać nie można, kiedy się komu chce? Ja, panie kochanku, na koniu w pochodzie sypiałem siedząc, jak dziś na najlepszym łóżku nie potrafię.

I odwrócił się. Morawski stał patrząc nań, sam nie wiedział co czynić. Wtem na folwarku pierwsze kury piał poczęły. Zerwał się naprzód jeden i krzyknął: — kukuryku! — za nim cienkim głosem jakiś student zaprobował też sobie, a wnet trzeci, aż ich tam kilkanaście wrzeszczeć zaczęło.

— Otóż i kury pieją — odezwał się — chwała Bogu i dzień wkrótce zapewne będzie... Ale po co kogutów tyle? Strzałkowska chyba, żeby zgorszenia nie było, trzyma po jednym do każdej kury...

Wiśniowski mimowolnie prychnął.

— To pewnie Glinka drwinki sobie stroi, — dodał Książę

¹⁾ Odhulaliśmy. Polskie słowo dla żartu w łacińskiej formie.

zę — dam ja ci, bezbożniku, libertynie, żartować z kogucich małżeństw.

Jam się nie odezwał.

— Możeby Finke co na sen poradził? — wtrącił pan Morawski.

— A tak — odezwał się Książę — na sen, zwłaszcza wiekuisty, oni mają doskonale recepty. O to nie trudno. Ale ja mam jeszcze w Białej co do czynienia; poczekajcie co wam tak pilno?

Nie było sposobu; obstaraliśmy chorego, ale ani do łóżka, ani do snu nie podobna go było zmusić. Już się nawet na wesołość silił, ażeby nasze natręctwo rozbroić. Żal nam go było, aż Finke, który też nadszedł, powiedział, by go nie drażnić i własnej zostawić woli, tak się też stało. Po chwili Morawski w rękę go pocałowawszy, i dobranoc oddawszy, poszedł; rozeszli się i inni; Wiśniowski ze mną pod piecem usiadł i zaczęliśmy drzemać duetem. Książę też w krzesło zasnął mocno, kiedy niekiedy przez sen kawałkami odmawiając łacińską litanię loretańską. I — dziwna rzecz — choć między jedną a drugą inwokacją więcej niekiedy kwadransa czasu upływało, a sen ją przedzierał, szły po sobie w doskonałym porządku, iż żadnej nie opuścił.

W końcuśmy się wszyscy pospali jak bobaki, aż gdy dobrze rozedniało, dopiero rozespanego Wojewodę, w kilku wzięwszy na ręce, zanieśliśmy do łóżka, i jak padł, tak się do godziny dziesiątej z rana nie obudził.

Nazajutrz dzień był słotny, mieliśmy niby to jechać do Białej, ale i zapóźno już było i deszcz prażył taki, że nikt ochoty nie miał, aby mu za kołnierz ciekło. Mnie ciągle w głowie

stała ta jakaś Felisia, o której Książę mającąc kilka razy wspominał, a razem o jakimś przekleństwie i o przebaczeniu.

Chociaż z późniejszych lat znałem doskonale Nieświezkie dzieje, domyślałem się, że to coś być musiało jeszcze z hulaszczych czasów pana Miecznika, kiedy mnie tam nie było. Postanowiłem tedy, korzystając ze słotnego dnia, wziąć na spytki starego Wiśniowskiego. Ten, byłem pewny, że wiedzieć o wszystkim musiał. Już i to mnie podżęgało, że nie śmiano nic mówić o owej Felisi, gdy o innych chodziło historii siła, a mimo to Książę o niej sam ciągle wspominał, jakby miał ją na sumieniu, mimo lat ubiegłych ciężaru tego pozbyć się nie mogąc. Nie lada więc historia być musiała, o której wojewoda na starość jeszcze pamiętał, a ludzie o niej gadać nie śmieli.

Wiśniowski jeden owe czasy zapamiętał; do kogóż, jeśli nie do niego, jak w dym? Grzeszna to pewnie ciekawość była, alem zawsze co się tyczyło Radziwiłłowskiego domu i samej osoby książęcej jak mrówka zbierał, aby to dla potomności zapisać, która i uwierzyć nie zechce, co się to za naszych działo czasów. Ponieważśmy przez cały ten Boży dzień siedzieć musieli, patrząc przeze drzwi na deszcz i poziewając na wyprzodki, uczepiłem się starego.

— Mój Łowczy dobrodzieju (tytułowano go bowiem jakimś łowiectwem), co to jest za jedna ta Felisia, o której Książę w nocy przez sen wspominał?...

Wiśniowski na mnie popatrzał z uwagą, oczy wyrapiwszy, ramionami rzucił, czuprynę potarł, głową pokiwał, i sło-

wa nie mówiąc odszedł, jakby się tylko dziwił, żem mu takie zadał pytanie.

To, przyznam się, mocniej mnie jeszcze zaciekało. Cóż u licha? żebym z próżnem wiadrem odszedł od studni? jak żak? Czekałże, pomyślałem, *est modus in rebus*¹⁾, wiem jak cię zażyć, poprobujemy. Wiedziałem, że Wiśniowski był jak kołowrotek stary, co to go z początku ani rozruszać; ale gdy się rozejdzie, trajkocze, że go znowu zatrzymać trudno. I tom wiedział z doświadczenia, iż na czczo milczący był a po obiedzie otworzysty; że po winie dopiero usta mu się chętnie odmykały.

Jadaliśmy wszyscy ogółem w sieni, bo ta była najprzestronniejsza, ale nie wykwinie, jak w drodze i na popasie, z pozwoleniem, nie jak Radziwiłłowscy słudzy, ale jak ostatnie ciury. Stół był składany z dwojga drzwi, bodaj od stoły wziętych i na czterech beczkach próżnych od piwa ustawiony. Na to kładli obrusów kilka, bo Strzałkowska tak wielkiego jednego nie miała, anibym przysiągł, żeby się na ten raz prześcierałem z podwójnego łoża małżeńskiego nie posługiwała. Musieliśmy jeść cicho i sprawiać się jak w kościele, bo tuż był i pokój Księcia.

Więc przed obiadem zaopatrzyłem się u pana piwniczego, dawszy dukata, w kilka butelek wytrawnego węgrzyna, i chłopcu kazałem oczyścić izdebinę na tyłach osobną, prawda, że zimną. Bylibyśmy w niej na kominie ognia naniecili, ale ktoś babę tak zapchnął głęboko i mocno, iż nikt jej dobyć nie mógł. Mimo to, okna pozatykawszy było znośnie, a by-

¹⁾ Tu: „jest sposób“.

liśmy sami tylko. Chłopak znalazł co potrzeba, aby izbę uczynić mieszkalną, stół z jakichś drzwi i ławeczki; postarał się o wszystko, bo był żwawy i roztropny jak rzadko. Prawda, że później źle wyszedł z tym za wielkim na swój stan rozumem, bo mi część garderoby zabrawszy, parę pistoletów i przeszło sto talarów, drapnął do Prus, a tam go do wojska postrzyżono, i królowi pruskiemu karabin nosić musiał.

Nie tyle mi chłopca wartogłowa żał było, co tych pistoletów i jednego pasa, com go miał od Księcia na pamiątkę.

— Chłopak się wcześniej z kuchtami porozumiał, aby było co jeść. Nigdyśmy u Księcia stołu wykwintnego nie mieli, bo i sam Wojewoda w zamorskich się przysmakach nie kochał, ale zdrowo, smaczno i dostatnio nas karmiono, równie w świątki jak piątki, w drodze i w domu. Było czem życie utrzymać, ale gęby pieścić nie myślano. Dla gości też Książę nie występował, chyba od wielkiego dzwonu, gdy zamorski ptak się zjawił. Zrazy, bigos, pieczeń huzarska, sztuka mięsa kawał z kwiatkiem, kołduny z majerankiem, zwierzyna z rożna, ryba po polsku na różny sposób przyprawna, to były zwykłe książęcego stołu potrawy. Piwa dawano ile kto chciał, wino w powszednie dni kieliszkami i pod miarą. I tego dnia mieliśmy barszcz zabielały, pieczeń sarnią, zrazy, bigos i kaszkę sypką z cukrem, a było bardzo dosyć. Węgrzyna dano lekkiego: nie gardząc nim, postarałem się o lepszy, którego kilka butelek pod stołkiem moim stało i pod ręką.

Wiśniowski zrazu milczał, gadaliśmy o rzeczach obojętnych, czekałem, ażeby się stary rozgrzał, rozruszał, rozdo-

bruchał. Jakoż przy końcu drugiej butelczyny, widząc go w dobrym usposobieniu, począłem:

Jużci mnie macie za wiernego sługę Radziwiłłowskiego, że pana miłościwego i domu nie zdradzę, żebyście też moja ciekawość zaspokoić chcieli, co to jest za Felisia, o której Książę wspominał, a ja o niej nie wiem nic?

— A po co to tobie wiedzieć? — zapytał Wiśniowski — po co? a ciekawość pierwszy gradus¹⁾ do piekła.

— Mówię mu: — Panie Łowczy jeżeli to istotnie gradus do piekła, to ja już na nim dawno stoję. Takim mnie matka na świat wydała, żem zawsze nosa wścibiał, czy gdzie było potrzeba, czy nie, a mam tego za... cztery litery, kto niczego nie ciekawy.

Począł się Wiśniowski śmiać, wziął kieliszek, wypił, a jam mu nalał świeży co najprędzej, i począł bąkać powoli:

— Widzisz asindziej, są takie sprawy na świecie, ba i u Radziwiłłów, o których lepiej nie wiedzieć, a kto o nich wie, zapomnieć. Po co ci to? nie jedno na pamięci cięży, bo-
daj tak, jakby na sumieniu!

— Mój panie Łowczy --- rzekłem — a jużciby też wstyd było nawet, swojego pana kochanego historii nie wiedzieć. Czasem się to i na to przyda, ażeby go od ludzi obronić.

Zapewne! — odparł Wiśniowski — waszeć go zaznałeś, gdy się już było młode piwo wyburzyło; my! my pamiętamy inne czasy. Szumiała krew, zapominał się człowiek, i sam potem żałował, że sobie poczynił po szalonemu; ale często się zrobi niejedno, czego odrobić niepodobna. Lepiej byśmy nie

¹⁾ Stopień.

mówili o tem, bo i długa historia i smutna; we dwu słowach ją opowiedzieć, czarniejszą by się jeszcze wydawała, a tak jak trzeba, wszystko, ledwie do wieczora skończymy.

A no! — rzekłem — albo co lepszego mamy do roboty? Koło Księcia dziś kolej przyszła na innych, nam tu niezgorzej i dwie butelki jeszcze mam starszego, którychby wstyd było nie wysuszyć.

I takem go przynaglał, że mi się oprzeć w końcu nie mógł; a co mi opowiadał, zapisałem nie omieszkując, aby później pamięć nie zawiodła.

*

*

*

Za czasów, gdy Książę, młody jeszcze, był Miecznikiem litewskim, dwór w Nieświeżu i życie nie było podobne do tego jakie waszmość widzisz dzisiaj. Krew w Księciu kipiała, na całym świecie było mu ciasno, a że go otaczała młodzież, w której także bujne życie grało, działały się u nas czasem rzeczy, które dziś strach przypominać, siwe włosy kołem stają.

W okolicy Nieświeża drżało wszystko przed nami, a gdy Książę z przyjaciół i drużyną przeciągał jadąc na polowanie, albo do innych dóbr, przez wioskę szlachecką, uciekało przed nim co żyło, bo pod szalony humor, w pierwszym impetu dokazywał, nic poszanować nie chcąc.

Nieraz to przypłacił i grubo, nieraz się potem nagryzł sam, gdy go potem szal odszedł; ale pochlebcy mu bębinka podbijali, czasem wziął za punkt honoru, żeby co najryzykowniejszego dokazać — i — i stawiał choćby życie na kartę.

Bywały u nas takie zapusty, żeśmy dnia od nocy rozeznąć

nie mieli czasu, ani się policzyć z dniami, niejeden z nas życiem przypłacił.

Tu się Wiśniowski przeżegnał, westchnął, i pobożnie pięścią w piersi uderzywszy, kieliszek duszkiem wychylił.

Tego by i na wołowej skórze nie spisał, jakieśmy mieli uciechy i ile się tam przed spowiedzią wielkanocną nagrzeszyło. Książę, gdy raz sobie cugle puścił, już go nic powstrzymać nie mogło, a gdy kto próbował hamować — i sam oberwał i popchnął go jeszcze, bo dla punktu honoru, gotów był na wszystko. Jednego razu, jak dziś pamiętam, wracaliśmy z polowania, wszyscy podchmieleni, powiem prawdę pijani śpiewając: Zająć sobie siedzi pod miedzą...

Wierzcie nie wierzcie, tak było jak powiem. Jechaliśmy bryczkami, bo konie wierzchowe zhasane były, w każdej bryczce po cztery w poręcz zaprzężone. W tem pierwsza, co szła przodem, w której Książę siedział z Wołodkowiczem, stanęła. Było to nad Niemnem. Prom stał z drugiej strony, a przewoźnik położywszy się gdzieś w krzakach, usnął. Nuż gukać, nuż strzelać. Bywaj! czy pijany był czy głuchy, promu jak niema tak nie ma.

Książę począł kłać, wtem krzyknie nagle do woźnicy, uderzywszy go w kark pięścią:

— Ściągnij lice i wplaw!

Chwilę się namyślał, ale książę poprawił:

— Wplaw! słyszysz!...

Brzeg był dosyć wysoki, rzeka szeroka, głębina ogromna, ale gdy Książę kazał, musiało to być. Niewiele myśląc, przeżegnał się woźnica, ściągnął lice, batem po koniach i w wodę. Bryczka skórą wybita spłynęła, konie też płynąć poczęły,

ale że silne były i rwały okrutnie, przybili szczęśliwie do brzegu. Druga bryczka też przeszła, trzecia się wywróciła, szczęściem, tamci pływać umieli i choć konie woda uniosła, ludzie się uratowali. Reszta u brzegu na prom doczekała, ale wprzód nim go posłano, przewoźnicy po pięćdziesiąt bizunów dostali, ledwie się ze snu gorzałczanego porwawszy.

Wszyscy, co tej sztuki dokazali płynąc, odmawiali zdrowaśki i strach ich tak wytrzeźwił, że na drugi brzeg przybyli jakby na czczo.

Innym razem z polowania wracając, w moich oczach Soloczyński pijany głowę z wózka zwiesił, obręcz z koła zerwała się i czaszkę mu strzaskała, że ani — Jezus nie pisnął. Przywieźli go tak do ganku z głową zwieszoną, ale w niej już mózgu nie było.

Mieszkał podówczas w Słuczczyźnie szlachcic, niemający, ale rodu starego, powagi wielkiej, Wojżbunem go zwano, imię miał Mikołaj, a tytuł nosił Wojskiego. Znać kiedyś dawniej urząd ten sprawiał albo on, albo ojciec, bo tytuły nieraz na dzieci *jure haereditario*, acz *caduco*¹⁾, przechodziły. Wioszczynę jedną miał, zwała się Rabka Czerwona, dla rozróżnienia od Czarnej Rabki, którą dziedziczyli Sulistrowscy. Rozpowiadali ludzie o tych Wojżbunach, że ród niegdyś miał być możny bardzo, że kilkanaście wsi posiadali, ale im nie szło, nie szło i zeszło na tę jedną Rabkę.

Wojski żonaty był *primo voto* ze Strzeмиńską, niezamożną szlachcianką, którą zawczasem utraciwszy, ożenił się po raz wtóry z równie też niemającą panną Łaską;

¹⁾ Prawem dziedzicznym, acz niesłusznem.

z tych pono Łaskich, co niegdyś senatorskie krzesła zasiadali, poselstwa sprawiali, na dworach królów przemieszkiwali, a w końcu na nic zeszedli, wszelako o prozapii swej nie zapominali do ostatka i nosili się wysoko.

I ta druga żona odumarała go zawczasu, zostawiwszy mu córkę jedynaczkę. Chowała się ona przy ojcu, a stary Wojźbun sam ją prawie na rękę wykołysał. I wyszło to na prawdziwe cudo piękności, ale po Wojźbunach i po Łaskach wzięło dumę i hardość, śmiało było, butne coś amazońskiego i rycerskiego mając w sobie.

Ludzie o niej prawili niestworzone rzeczy, o jej piękności, rozumie, odwadze i hardości. Każdy ją był ciekaw zobaczyć, ale mało kto mógł i śmiał się tam posunąć, bo z jednej strony ojciec czujny stał na straży, a z tym też żartów nie było, z drugiej ona sama nie bardzo do siebie ludzi przypuszczała.

Choć naówczas młodziuchną była jeszcze, mówiono, iż zaswatano ją, i miała narzeczonego, niejakię Tomka Dulembę, którego ojciec znaczne dobra w okolicy dziedziczył. Opowiadano sobie, jak się ich dwoje kochało, a niecierpliwie oczekiwało, żeby rodzice na ślub pozwolili. Zwlekano z tem, wedle starego zwyczaju, żeby konia do siódmego roku nie brać w uprząż, a chłopca przed trzydziestym nie żenić. Stary Dulemba kazał mu wojskowo służyć w kawalerii i kupił mu w niej podchorążstwo, dając poczet sowity, aby chłopak nie był obcym rycerskiemu rzemiosłu i między ludźmi się obcierał. Nie mało to kosztowało, ale też uczyło wiele i stosunki się zawiązywały nieladajkie, gdyż w kawalerii

i towarzysze byli nie lada. Dulemba stojąc z regimenterem¹⁾ niedaleko, często, gdy mu się zatęskniło, na konia siadłszy ukradkiem, pięć mil kłusował po to, żeby swojej milej twarz zobaczyć z daleka, pokłonić się jej i nazad znowu do obozu.

Zazdroszczono chłopcu szczęścia tego, chociaż go był wart, bo i urodziwy i roztropny i serdeczny i do wypitej i do wybitej, kochany był powszechnie.

Panna też od dzieciństwa do niego nawykłszy, bo to się w okolicy razem chowało, miłowała go bardzo. Starzy jednak oba znajdowali, że z małżeństwem nie było co tak śpieszyć, aby oboje dorośli i sił do życia nabrali. Dulemba szczególnie w synu się lękał zadowolenia przed czasem, wiedząc, że gdy się z ukochaną ożeni, nie ruszy się pewnie za próg od swego szczęścia i gniazda.

Tymczasem ludzie panną Wojszczanką oczy paśli i zachwycali się. Kędy się tylko pokazała, biegła do niej młodzież jak do cudownego obrazu. A no, próżno mu się było przypatrywać i włowę tracić, bo...

Wzdychał pan do obrazu
A obraz doń ani razu.

Śmiała się Wojźbunówna ze wszystkich tych adoratorów. Po okolicy nosiła się sława Panny Felisi szeroko, mówiono, że takiej piękności osobliwej drugiej na całą Koronę i Litwę próżno szukać było. Paplano o niej często i na Nieświezkim dworze, niepotrzebnie Księżciu nabijając tem uszy. Gadał nieustannie Wołodkowicz, kląc się, że piękniejszej

¹⁾ Z pułkiem. Powyższe dane o służbie w kawalerii narodowej niezbyt zgadzają się z historyczną prawdą o jej organizacji.

nie widział, napomykali inni, aż ciekawość Księcia Miecznika rozbudzili do najwyższego stopnia. A zajątrzyli go i tem że o Dulembie też szczęśliwym napomykali, że tam już dla nikogo przystępu nie było, bo klamka zapadła; i o starym Wojźbunie, iż opryskliwy był, nieprzystępny i do domu swojego nierad wpuszczał. Zdawało się jakby ludzie się naposiedli, aby Księcia do niecierpliwości, do wzięcia na kiel doprowadzić, a to był właśnie ten czas, że mu dosyć powiedzieć było, iż czego nie można, aby mu się właśnie tego zachciało, a gdy co sobie uroił, już go od tego nikt i obcęgami nie odciągnął.

Pamiętam, już mi się to nie podobało, gdy raz w czasie wieczornej pijatyki, wzięto na zęby Wojźbunównę, a ciągle powtarzano, iż ten książęcy kasek szlachcicowi się dostanie, a Miecznik naówczas zżymnął się i krzyknął:

— Milczałbyś panie kochanku, przecie to nie po ślubie, a choćby i tak było, jakbym zechciał...

Wołodkowicz się roześmiał.

— Nie wszystko chcieć można...

Milcz! — powtórzył książę groźnie — ja tego panie kochanku, nie znam... co nie można.

Na tym się skończyło, ale pamięć miał dobrą, a ludzie też nieopatrzni przypominali ciągle.

Nadeszła jesień, było to jakoś przed Najświętszą Panną Zielną, wieczoru jednego znowu pił okrutnie, szlachty różnej było huk. Miecznik w mniejszem kółku ze swoimi wybranymi w gabinecie siedział, a jak to u nas pospolita rzecz, iż się wszystkie rozmowy na kobietach kończą, znowu tedy mówić zaczęto o pięknościach. Naówczas książę był do kobiet

strasznie zapamiętały, krewki z natury, cugli sobie i hamulca założyć nie umiał. Ale dlań jeszcze, byle młoda, a piękna, choćby prosta chłopka, wszystko było równo. Po Nieświeczyźnie całej, po ekonomskich i małych szlacheckich dworach hasało się, dokazywało, muzyki sprowadzało, gościło po tygodniach, a gdy oficjalista lub szlachcic pokrzywdzony *l a r u m*¹⁾ podniósł, dostawał naprzód na kobiercu, jeśli nadto głośno wrzeszczał, a potem z kasy konsolację²⁾. I kończyło się to weselem i zastawą lub posażkiem.

Do tego się nawykło, iż wszystko uchodziło bezkarnie.

Aż w końcu te amory porywcze w zgrzebnych koszulach, choć je na batysty przebierano, przestały smakować, Zbrzydził je książę, czegoś więcej szukając w kobiecie, niżeli samej owej piękności, co się tylko uśmiechać umiała, gadać nic albo mało co, a rozumieć nie wiele.

Znowu tedy tego wieczoru począł pan Wojniłowicz opisywać Wojzbunównę, a gdyby był naumyślnie to uczynił, żeby księcia ciekawość zaostriżyć, inaczej by sobie nie począł. Rozwodził się detalicznie, bo niedawno ją gdzieś widział: a jaka rączka, a jaka nóżka, a jakie kosy czarne, a jakie liczko białe... a co to za wejrzenie, a głos jaki słodki, a rozum męski, a śmiałość rycerska... itd., itd.

— Ale bo ją, panie kochanku, przechwalacie — rzekł Książę.

— Nic a nic! gdyby Książę pan ją widział sam powiedziałbyś co i my... jeśli nie więcej... Przecie wszyscy zgodni

¹⁾ Alarm, krzyk.

²⁾ Pocieszenie.

jesteśmy, bo drugiej takiej nie ma. Na biedę, że się z nią spotkać i widzieć ją nawet trudno; z domu rzadko wyjeżdżają, chyba do kościoła...

Książe spytał.

— A gdzież parafia?

Wołodkowicz wymienił kościół, poczęto się sprzeczać, aż któryś podochocony dorzucił:

— Dajcie już pokój; choć Radziwiłł, ale tam już zaglądać nie ma pogo.

Miecznik się zerwał z siedzenia, ogniem mu oczy zapalały: odwrócił się doń i krzyknął:

— Kto to waści powiedział panie kochanku?

A po chwili jakby sam do siebie mruknął:

— Jak zechcę to zobaczę... a jak mi się podoba, to ją będę miał! panie kochanku...

Nikt mu już nie odważył się sprzeciwić...

Jesień była piękna, polowania następowały jedno po drugim. Przed samą N. Panną Zielną zadysponowano całe tabory, sieci i namioty i łowiectwo w lasy... Czy umyślnie czy przypadkiem trafiło się tak, iż obóz rozbito w miejscu niedalekiem od kościoła parafialnego, do którego Rabka Czerwona należała. Zanosiło się tu nie na dzień ani na dwa, ale na tygodnie.

W sam dzień świąteczny nigdy nie polowano, odpoczynek był. Książe samotrzeć tylko, ubrany niepocześnie, jakby się nie chciał dać poznać, wybrał się na nabożeństwo, wiedząc pewnie, że tam Wojżbunównę zobaczy.

— Przyznam się — dodał Wiśniowski — żem był z Księciem w kościele, bo mi kazał jechać z sobą. Zajechaliśmy

przed kościółek mały, drewniany na uboczu pod sosnowym laskiem, wśród jałowców stojący, ubogi ale schludny. Ludu w nim, na cmentarzu, dokoła było mnóstwo... Z fur, które mi włościanie i szlachta poprzyjeżdżała, jakby jarmark się zrobił. Nawieziono mnóstwo ziela, kwiatów, zboża, wianków do święcenia, do kościoła ledwie się przez zakrystię docisnąć było można. Księcia nie bardzo kto tam znał w okolicy, a w tej opończy, w jakiej przybył umyślnie, mało się go kto mógł domyśleć.

Wcisnęliśmy się jakoś i dotarli do przysłoniętego kąta poza boczny ołtarz, aby nas nie łatwo mógł kto zobaczyć i odkryć. Szlachty różnej, nawet i takiej, co w postolach¹⁾ chodzi choć przy szabli, było siła; wmięszaliśmy się między nią i zniknęli...

Właśnie naprzeciwko nas, w pierwszej ławce, siedziała z ojcem Wojzbunówna. Ojciec stary, siwy, figura poważna, choć koło niego ubogo było, na senatora wyglądał. Szaraczkowo się zawsze nosił, jak to starzy Litwini byli nawykli, w makowym kontuszu. Łeb łysy, włosów już na nim mało co, kresa przez czaszkę od pałasza taka, że mało by się w niej palec nie schował. Znać za młodu rąbać się lubił. Obok niego klęczała córka: choć malować taka w niej krasa... słuszną bardzo, szykowną, wejrzenie śmiałe, oczy czarne, usta dumne. Patrzała w dużą książkę rozłożoną przed nią i wzroku prawie nie odwróciła od niej przez całe nabożeństwo. Wojski też ręce, w których koronkę trzymał, zło-

¹⁾ Chodakach, skórzanych lub z łyka lipowego, jakie chłopcy na Litwie noszą.

żywszy, na pamięć pacierze odmawiał. Książę się wpatrzył w pannę tak, że o modlitwie zapomniał; przez całą sumę oka z niej nie spuścił, i po suplikacjach ludzie już wychodzili, a on jeszcze patrzył na nią. Gdy się pospólstwo do drzwi ruszyło, przebrał się przez lud, drogę sobie torując, młody i piękny mężczyzna, w mundurze kawalerii i submitował się ojcu i pannie. Stary go uśmiechem przywitał, a Wojźbunówna rękę podała i razem z kościoła wyszli. Za nimi i myśmy się wysunęli niepostrzeżenie. Wózek niepoczesny, parą końmi zaprzężony, a raczej kałamaszka stała, czekając na nich; młody Dulemba dosiadł konia i tak razem do Rabki pociągnęli. Myśmy się tylko przyglądali, jak chłopak z konia się do panny schylał i rozmawiał z nią wesoło.

Książę też zaraz potem do swoich koni się dostał i nazad do lasu. Przez całą drogę nie powiedział ani słowa, zadumany był jakiś i chmurny.

W lesie, jakem mówił, formalnym leżeliśmy obozem, jakby na wyprawie przeciwko nieprzyjacielowi, tylko żeśmy się nie okopywali i hulajgrodów nie było... Zresztą nic nie brakło, bo nocami nawet, więcej dla fantazji niż z potrzeby, warty stawiano, a z rana trąbiono pobudkę... Pośrodku obozu rozpięty był wielki namiot wezyrski z pod Wiednia, w którym były ścianami poprzegradzane kompartymenta i miejsca dla dworu dosyć. Tuśmy z księciem jadal, jeśli słońce lub zimno na dworze nie dozwalało. Nieco opodał stały namioty pomniejsze dla służby dworu, szalasy dla czeladzi, dla koni, naprędce sklecone kuchnie i spiżarnie...

Ile z nami i za nami wozów szło, ile ludzi, ile koni, ile zapasu potrzeba było, ażeby to wszystko czasem po tygodniu

i dwa przeżyć, trudno zliczyć. Takich łowów jużemy później rzadko widywali.

Codzień inny, opatrzone wcześniej odstęp, obławami i sieciami obstawiano. Chłopska spędzonego z wiosek okolicznych bywało po kilkaset — a to częścią pod gołym niebem, częścią pod szalasami też leżało nieco opodal... Chleby, ogórki, piwo, wódkę, furami dla nich wożono. Wieczorami było i śmiechu i hulanek i figlów i gawęd do późna, bez pijatyki często gęsto się też nie obchodziło. Tego dnia jako w uroczyste święto, i strzelcy i obława i goście odpoczywali pod namiotami, a Księżę raczył suto...

Powróciwszy z kościoła, gdyśmy do namiotu weszli, zastaliśmy już wszystkich z bigosem oczekujących na gospodarza. Postrzegli nas z daleka kucharze i dymiące misy weszły jednemi drzwiami, gdyśmy drugimi wchodzili.

Księżę się odwrócił do Wołodkowicza i rzekł ze śmiejącą się twarzą:

— No, panie kochanku, co prawda to prawda, mieliście słusność, nie ma, nie było i nie będzie piękniejszej nad Wojźbunównę!! Raz mi tylko z przypadku w oczy spojrzała, a dotąd wzrok jej siedzi we mnie i nierychło się go pozbędę. Przebiła mnie jak sztyletem...

Zaczęto się śmiać, winszować i żartować, a dopiekać jak to bywa przy kieliszkach. Jeden i drugi powtórzył, że tam się nie ma po co posuwać...

— Radziwiłł się z Wojźbunówną nie ożeni — rzekł Wołodkowicz — a do niej, gdyby i Dulemby nie było, innej jak przez kościół nie ma drogi...

Miecznik tylko popatrzał ostro na mówiącego i rzekł:

— Zobligowałby mnie bardzo, ktoby mi, panie kochanku, okazję nastreczył, żebym też piękną Wojszczankę mógł zobaczyć z bliska, a choćby z nią pomówić.

— I oto nie łatwo — odparł Wołodkowicz — bo nigdzie nie bywają radzi, z domu ich wydobyć trudno; ale któż wie... trafić się może.

Zasłyszeli to ludzie, a że Księciu każdy się starał dogodzić z serca, ten i ów myśleć począł gdzieby i jak Wojszczankę mu pokazać.

Zręczność się nie nastreczyła, aż dopiero w zapusty. Zdaje się, że tam ktoś i podrobić to musiał. Oddawna szło o to bardzo panu sędziemu Zabielle, żeby też raz choćby, Radziwiłła miał u siebie. Byli ci Zabiellowie ludzie, jak wiadomo, niegdyś bardzo majątni i pięknie spokrewnieni, ale nieładem fortunę puścili. Świeciła się jeszcze szczątkami, mimo długów, procesów i rozmaitego ratunku, który tylko oddalał ruinę.

Sędzia w Nieświeżu często bywał. Nosił się po francusku, choć języka tego nie umiał i nierychło strój ten przywdział. Smakowały mu stosunki książęce i rad się pańskiej trzymał klamki. Choć majątku ledwie resztką była, występowano przy okazji tak, żeby Radziwiłłom zrównać. Śmiał się z tego książę Miecznik, śmieli się drudzy, ale pompa nie ustawała. Sędzia sześciami końmi jeździł, z których i jednego nie było bez kalectwa, służba miała barwę paradną choć łataną, dworu ćma się uwijała, której, gdy do Nieświeża z sobą przywiózł na przekarmienie, to się wygłodzeni jak szarańcza do mis rzucali, że przy nich nikt się już nie pożywił, ani miał co polizać.

W zapusty namówił ktoś Zabiellę, ażeby wieczór wyprawił, zaręczając mu, że i Radziwiłł przyjedzie, jeśli tego dokażą, aby Wojżbunówna u nich była, bo ją Miecznik widzieć chciał z bliska. Sędzia wziął na kiel i zaklął się, iż Wojskiego namówi, uprosi, choćby przed nim miał uklęknąć. Jakoż pojechał sam zaraz; ale nadaremnie molestował, męczył, klękał, Wojski wręcz dał rekuzę. Nie dano mu za wygraną; pojechała nazajutrz pani sędzina, w nadziei tej, że się kobiecie nie odmawia niczego. Siedziała cały dzień, i zmęczyła tak Wojżbuna, iż się nareszcie zgodził z córką przybyć do P...

Zabiello pobiegł zaraz do Nieświeża księcia zapraszać, który nierad do takich domów uczęszczał, gdzie ceremonii było wiele a swobody mało i ostatecznie kończyło się tem, iż przypłacić musiał.

Na pierwszym wstępie Sędzia oświadczył, iż Wojski z córką na ten dzień przybyć mu przyrzekł.

— Mówiono mi, że W. Ks. Mość ciekaw z bliska oglądać to nasze domorosłe cudo, które się na świat rzadko pokazuje. Otóż może choć na tę wędkę wdzięków panny Wojszczanki zwabię Księcia do siebie.

Książe się zarumienił.

— Mój mości dobrodzieju, panie kochanku — odezwał się — miło mi zawsze sobie zaskarbiać serca obywatelskie... i nie dla panny Wojszczanki, ale dla służenia im, przyjadę.

Uradowany Zabiello zebrał prawdziwe pospolite ruszenie na mil dziesięć dokoła. Dom mieli spory, stary, drewniany, sal w nim dużo, choć niskich, ale wcale obszernych; na tę jednak uroczystość, choćby dwa razy większy dwór nie

starczył. Poopróżniano więc i pobielono na nowo izby, z których wyrzucono łóżka i pościele, aby tych gości jako tako pomieścić. Kapełę Zabiello sprowadził ze Słucka, cztery moździerze wystawiono w dziedzińcu i od ogrodu, dla ogłaszania wiwatów. Skąd na ten występ pieniędzy sędzia wziął, Bogu tylko i żydom było wiadomo. Dosyć, że paradnie się dzień ten obchodzić zabierano.

Mród był trzaskający, ale we dworze jak w łaźni; izby pełne, że drzwi się zamykały z trudnością. Opisywać to ciężko i nie ma po co, boć Waszeć nieraz godów takich świadkiem bywał. Dla tego samego, że Radziwiłł miał przybyć, szlachta się zbiegła, on też jechał ze dworem znacznym.

Gdyśmy przybyli pod obiadową godzinę, czekali gospodarstwo w ganku, mimo zimna, a moździerze oznajmiły radosną nowinę. Nie obeszło się bez mowy jednej, którą miał sam sędzia, a drugą rejent Pacewicz, nie licząc przydłuższych i wyuczonych komplementów.

Tłok i ścisk, że się ledwie można było za księciem tam dobić. Kobiet co najpiękniejszych było mnóstwo, a naprzód dwie sędzianki, hoże i śliczne gdyby róże, ale to wszystko gasło przy Felisi Wojżbunównie, która po prostu była ubrana, a po niej na żadną spojrzeć się nie chciało. Książę wszedłszy zaraz ją zoczył, lecz zbliżyć się nie mógł. U stołu go posadzili przy starej gospodyni, a z drugiej strony Infulat. Wojżbunówna siedziała opodal. Uważałem jednak, iż mało co jedząc ciągle oczyma ku niej strzelał, o czym ona zdawała się ani nie wiedzieć, ani suponować nawet.

Pierwsze zdrowie Księcia Miecznika z trąbami i moździerzami się odezwało, potem poszły i inne. Wzięła się ochota

okrutna, że na klęczkach potem pito zdrowia jedne po drugich na zabój, i końca temu nie było. Książę się chciał wymknąć, ale koło niego się wszystko skupiało, więc do późna go nie puszczono. Dopiero gdy polskiego zagrała kapela, gospodynię wzięwszy wstać mógł, aby tańce rozpocząć. Po pierwszym nastąpiły wnet inne, od których się już Miecznik wymówił, ale od kieliszków, któremi go obsedowano, nie mógł. Drugi i trzeci raz powtórzono zdrowie jego, za wszystkie dziękować musiał i to wielkim puharem, któremu by inny rady nie dał. Ale naówczas!! nam się to naparstkami wydawało...

Nierychło go wyzwolił Wołodkowicz i ja, żeśmy trochę mogli się przejść pomiędzy gości. Wszędzie tłum był na biedę taki, iż sobie z trudnością drogę, musieliśmy torować. Drąc się jakby przez gęstwinę w lesie, dobiliśmy się tak gdzie stała Felisia Wojżbunówna, a koło niej panien kilka. Za wrzawą rozmawiać nawet było trudno, musieliśmy czekać, aż się muzyka uciszy i tancerze odpoczywać będą.

Musiano pewnie Wojżbunównie powiedzieć co o Księciu, jak to ludzie zwykle plotą i powtarzają, że się kilka razy odzywał: nie ma jak Felisia Wojżbunówna! bo gdy się ku niej zbliżył, dziewczynie lice krwią całe zapłynęło, i z oczu poznać było można, iż w sobie gniew hamować musiała.

Nie przedstawiano księcia, bo go tam wszyscy znali, ani panny, bo jej piękność już ją zalecała wszystkim.

Zbliżył się więc książę Miecznik wąsa pokręcając i odezwał:

— Nigdy w życiu nie tańcuję i nie mam ochoty do innego, chyba do tatarskiego tańca; ale gdybym miał szczęście

z panną Wojszczanką pójść, gotów bym nie tylko w tany, ale choć do piekła...

Spojrzała nań wielkimi temi, czarnemi oczyma rozgniewanemi, pomilczała chwilę i odezwała się tak śmiało, jak by do łada szlachcica mówiła:

Niepospolity to honor dla mnie, że W. Ks. Mość raczyłeś na ubogą szlachciankę zwrócić oczy... ale ja też tańczę ma- to i to tylko z tymi, których znam blisko... a choćby z największym panem i choćby do nieba nie poszłabym dla fantazji...

Księżę, który się takiej hardej nie spodziewał odpowiedzi, zamilczał chwilę. Nierychło dopiero, zaczął ciszej:

— Rzadko się to Radziwiłłom trafia, żeby ich z kwitem odprawiano; dla osobliwości przyjmuję ten despekt, jaki mi panna Wojszczanka wyrządziła, ale w sercu pamięć o nim zachowam.

— Nie jest to despekt żaden — zimno odezwała się Wojźbunówna, która całą zachowała przytomność — jeśli Księżę masz fantazję dziś poskoczyć, toć jest w czem wybierać sobie do pary.

— Właśnie, Mościa panno, jam z tych co im, panie kochanku, najlepiej smakują zakazane owoce — odezwał się Radziwiłł — no, i z tych, co się nie lękają sięgnąć po nie, choćby je ciężko zdobywać przyszło.

Pomilczała trochę Wojźbunówna, a dziwnie jej pięknie było z gniewem, którym pałała... Ruszyła ramionami.

— Nie rozumiem W. Ks. Mość — rzekła.

— A jakże mówić mam, byś mnie WPanna chciała zrozumieć? — odparł Radziwiłł.

— Nie tak jak w pałacach do pięknych i wyuczonych pań mówią, ale tak jak do nas prostych szlachcianek bracia nasi mówić nawykli.

— Tego języka mi się, panie kochanku, uczyć nie trzeba — odezwał się Książę ożywiając coraz — myśmy też szlachta z kośćmi i skórą a nie żadna cudzoziemska dzicz...

— Co Radziwiłł, to nie my drobna szlachta — mówiła Wojszczanka — każdy ma swoje miejsce na świecie i swojego pilnować powinien. Kanarki z wróblami nie idą w tany... a my szare wróble.

Księżciu się policzki zarumieniły.

— Strasznie mnie panna Wojszczanka chłoszczesz za nie moją winę — odezwał się — a gdybym jej chciał posłuchać i żyć tylko ze swymi, toćbym chyba do grobów rodzinnych zstąpić musiał, gdzie pradziadowie leżą. Tego sobie jeszcze nie życzę, panie kochanku... a według mojego zdania, piękność w kobiecie choćby tronu ją czyni godną. Pannie Felicji w koronieby chodzić.

— Wolne żarty, Mości Książę, ja ani mitry nawet bym nie chciała — zawołała Wojżbunówna — cierniowe to korony...

Książę się obejrzał do Wołodkowicza i szepnął:

— Z tą nie łatwa rozmowa...

Wojżbunówna, jakby odejść chciała i uniknąć dalszych zaczepek, posunęła się o krok, Miecznik jej zastąpił drogę.

— Czyśmy się już z panem Wołodkowiczem tak WPannie naprzykrzyli, że od nas zamysłasz uciekać? Nam by też na słońce się patrzeć chciało...

— Mości Książę — przerwała Wojżbunówna — wielki

to honor dla mnie bawić W. Ks. Mość, ale ja się nie czuję na siłach ani na humorze...

— A cóż humor popsuło? — spytał Miecznik — chyba za kim tęsknota?

— Mogłoby to być — odezwała się szybko Wojszczanka — ale nie wiem czy w zapusty obowiązana jestem do spowiedzi.

Zagryzł Miecznik usta.

— Dosyc — rzekł — że w tym gościnnym domu Sędztwa, jedna panna Wojszczanka nie łaskawa na mnie...

— Ani łaskawa, ani niełaskawa — odezwała się Wojzbunówna. — Księżę mnie po raz pierwszy widzisz, ja W. Ks. Mość znam tylko przez ludzi, skądżeby łaska lub niełaska urodzić się miała?

— A jakże mnie Asińdzka przez ludzi znasz, panie kochanku? — spytał Księżę — źle czy dobrze?

Wojzbunówna śmiało mu spojrzała w oczy...

— Nie zwykłam ludziom zbyt dowierzać — rzekła.

Księcia coraz bardziej mieszały te śmiałe odpowiedzi, głową kręcił i wąsa targał.

— Znać to z mowy, że mnie przed Asińdzką obgadano — mówił dalej. — nie byłabyś dla mnie tak — (tu się księżę zaciął, i wyrazu stosownego nie znalazłszy, dołożył) — tak.. okrutną.

Wojzbunówna posłyszawszy to, rozśmiała się chłodno, a Miecznik zmieszany coraz bardziej, nasrożył się.

— Księciu ani o moją grzeczność, ani o prostactwo niewiele chodzić może — odpowiedziała — nie zabawi chwili, a wszystko się to zapomni.

— Nie tak to łatwo! panie kochanku! o! nie tak łatwo — zawołał Miecznik — jeszcze by się dobre słowo mogło rychlej wygluzować z pamięci, ale ostre... nigdy...

— Ostregom też nie powiedziała — zawołała Wojszczanka.

— A jeszcze mało? — zapytał Miecznik.

— W. Ks. Mość nawykłeś zbyt, że przed nim na twarz padają, a my tego nie uczeni... nie potrafimy.

Ruszyła ramionami, znowu chcąc odejść, Miecznik nie puszczał...

— I tak mnie Waćpanna chcesz odprawić, bez dobrego słowa? — rzekł.

Ta popatrzała nań...

— Jeśli starczy, pokorna służo W. Ks. Mości...

To mówiąc nisko, się pokłoniła, oczy podniosła i szyderko nieco dodała:

— Stopy całuję W. Ks. Mości...

Gdy to rzekłszy ruszyła się iść, już jej Miecznik nie zatrzymywał, ale my cośmy go znali, po licuśmy poznać mogli, iż strasznie był wzburzony. Wkrótce potem, mimo usilnych prośb Zabiellów, mimo zaklęć gości co go otaczali, uparł się jechać a na odjeźdźnym poszedł Wojźbunównę wyszukać dla pożegnania. Gdy go zobaczyła zbliżającego się, gniewem jej twarz zapalała.

— Nie chcę odjeżdżać bez pożegnania — rzekł Książę — a na odjeźdźnym chciałbym pannę Wojszczankę upewnić, że choć nie łaskawa na mnie, ja się odprawić tak nie dam i dokuczać jej będę, aż się doproszę, panie kochanku, lepszego przyjęcia...

Sklonił się nisko.

— Ja W. Książęcą Mość upewnić mogę, iż jaką mnie dziś widzisz, taką będę zawsze... bo jestem uparta...

— A ja też! a ja też! — podchwycił Radziwiłł i nie łatwo się mnie zbyć.

Wojszczanka dygnęła i co żywiej ustąpiła. Ledwieśmy siedli do sań, bośmy we czterech jechali razem ogromną budą na gryndżach, Książę krzyknął:

— Gotowym na wszystko, a tę dumną jejmościankę, trzeba poskromić! Piękna jak bogini, ale też tony sobie daje. Nie będę miał pokoju, póki na swoim nie postawię!

Ja i Wołodkowicz i ilu nas tam było, poczęliśmy zaklinać i prosić, aby to sobie z głowy wybił, opowiadaliśmy o dumie Wojżbunów i Łaskich, o chłopcu, którego panna kochała, o niepodobieństwie zbliżenia się; ale to było wszystko grochem na ścianę, milczał, ile się zaś razy odezwał, swoje prawil, nie chcąc ani słuchać.

Nazajutrz ta sama litania: Wojżbunówna na śniadanie, na obiad i na wieczerzę, o nikim i o niczem nie mówił, tylko o niej. Wiedząc, że ani ja, ani Wołodkowicz, ani żaden z naszych mu tej sprawie nie posłuży, trzeciego dnia, jakeśmy się dowiedzieli, wezwał Włocha, który był przy teatrze nieświeskim, zwał się Tramontano... Człek był wesół, figlarz, na wszystko gotów, a że już od lat wielu przy dworze wisiał, różne funkcje sprawując, znał całe sąsiedztwo, miał u ludzi łaski, bo ich bawił i wśrubowywał się wszędzie, Książę go nie lubił choć się nim bawił, a żartował sobie z niego i figle mu płatał bez litości. Miał to jedno dobrego w sobie włoszysko, że czy żart był mokry, piekący, śmierdzący, czy bolący,

nigdy się zań nie pogniewał; znosił wszystko, pewny będąc, że się każda rzecz, imby przykrzejszą była, tem lepiej opłaci. Przy tem, Tramontano nigdy się nie wahał podjąć niczego, nie przebierając ani w rzeczy, ani w środkach.

Niestary jeszcze, ale już łysawy, z włosami i oczami czarnymi, zdrów, silny, z ciałem jakby napęczniałem, cery bladobółławej, zawsze w krygach i w migach, nigdy chwilę nie mogący ustać spokojnie. Tramontano miał minę kuglarza, a poniekąd nim i był.

Sztuki różne pokazywać umiał, gdy było potrzeba, bardzo zręcznie, z kartami wyprawiał szczególnie co chciał, tańczył mimo tuszy lekko, jak motyl i wesół był na rozkazanie. Po polsku się nauczył mówić źle, ale rozumiał dobrze, a gdy mu wyrazu nie stawało, na sposób włoski gestykulacją się sztukował. Śmiechyśmy z niego mieli, ile razy nam humoru brakło.

Nie wiedzieć skąd Księciu przyszło, takim, mosanie — z pozwoleniem — błaznem, się posłużyć; pewnie dla tego chyba, że inny by takiej służby się nie podjął. Dosyć, że jakem się później od samego Tramonty dowiedział, do gabinetu go wziął i odezwał się do niego, swoim sposobem: — Słuchaj ty skurczypalko, panie kochanku, masz rozum i sprytu dość — spróbujże czy mi tego dokazać możesz, aby w zapusty do jakiego szlacheckiego domu ściągnąć Wojskiego Wojźbuna z córką. Nigdzie nie bywają, a ja pannę widzieć chcę; do nich zaś jeszcze mi nie czas jechać... Rozumiesz?

Włoch żądał instrukcji, dokąd i jak? ale Księżę się ofuknął: — Gdybym wiedział dokąd i jak, tobym, panie kochanku, skurczypalko ty jakiś, ciebie nie potrzebował. Na to twój

rozum, albo jeśli ci go brak, to go choć od diabła pożycz sobie. A jeszcze ci to powiem tylko, że kto chce przyjęcie urządzić takie, aby na niem Wójzbunówna była, co go ono kosztować będzie, zapłacę i z nawiązką.

Włoch odmówić nie śmiał, ale poszedł z nosem na kwintę, tak mu się rzecz wydała trudną. Radził się we dworze przyjaciół, nikt mu nie umiał nic dobrego nastreczyć, aż drugiego dnia kazał sobie konie dać i pojechał.

Nie było go dzień, nie było dwa i trzy. Wieczorem, trzeciego, gdy na pokojach koncert był, bo Książę naówczas i sam grywał, jak hetman Ogiński, ale fałszował, że uszy wiedły, patrzymy, Włoch u drzwi stoi, ręce na piersiach złożone i niby z pobożnością wielką i zachwyceniem przysłuchuje się grze książęcej.

Filut zawsze, skarbiąc sobie łaski książęce, wpadał w admirację, kiedy Miecznik grać poczynął. I tym razem oczy wywracał, aż mu białka świeciły, wzdychał, i lzy, których nie było, ocierał. Postrzegliśmy go wprzód nim Książę, który tyłem do drzwi przy pulpicie stał.

Ciekawość nas brała dowiedzieć się, co też dokazał? bośmy zakłady między sobą porobili o to, czy też dokaze tej sztuki, czy nie.

Z miny miarkując zdawało się, że Włoch na swoim postawił. Musieliśmy, choć niecierpliwi, czekać, aż się koncert ukończy. Tylko co Książę od pulpitu odstąpił i odwrócił się, wnet Włocha stojącego z tą miną ubłogosławioną ujrzał, i nie zważając na to, że kapela grała, chwycił go do gabinetu.

Myśmy iść za nimi nie mogąc, musieli czekać ukazania

się Miecznika. Z twarzy Włocha, nawykłego do maskowania się, wyczytać nie było łatwo, ale z naszego Księcia, jak z drukowanej i to wielkimi literami książki, kto chciał, wszystko wydecyfrował. Nie było na świecie człowieka, co by jak on, twarzą prawdę mówił. Rankor, gniew, smutek, wesołość, co miał w duszy, wszystko nosił na wierzchu. Gdyby był utaić co chciał (a często wielce by mu się to było przydało), nie potrafiłby. Przewroczysty był tak za młodu, jak go Wmość widzisz dzisiaj.

Gdy po półgodzinnej prawie konwersacji, wyszedł do sali Miecznik, wszyscyśmy odgadli, że Włochowi udać się musiało.

Szedł za nim Tramontano pokorny, skromny, jak zwykły bywać kot, gdy złasuje co w garnku.

Kapela dokończywszy grać milczała, ale stała jeszcze. Księżę kazał zawołać pryncypała i grać marsza Sobieskiego. Słyszałeś go Waćpan pewnie nieraz? wiesz co to za muzyka, od której włosy na głowie wstają i kipiątek w żyłach płynie. Huknęli tedy marsza, a Miecznikowi się twarz rozjaśniła. Tramontano w kąć poszedł.

Po muzyce wieczerzę dano, wesołość była wielka, lecz Księżę się ani słówkiem nie wygadał z niczem. Myśmy Włocha oblegli. — Mów! Zaklął się, że nie ma jeszcze nic, że... to, że owo i zbył nas psim śwędem. Ciekawość paliła, z Księcia tyle tylko widać było, iż rad czemuś, ale mówić też nie chciał. W dni kilka, z rana Miecznik mnie zawołać kazał.

— Słuchaj ty, wąsalu — rzekł do mnie, jak był zwykły przy dobrym humorze — ty jeden milczeć umiesz. Pod wieczór niech na przypadek konie będą gotowe do sanek... po-

jedziemy może gdzie... ty, Wołodkiewicz, Korega i kilku ludzi. Wielkiego dworu nie trzeba, ale odziać się od święta, żeby wstydu nie było.

— Dokądże, Mości Książę?

— A! dokąd? a tobie co do tego? zaraz mi, panie kochanku, inkwizycję¹⁾ będziesz zaprowadzał? Przed siebie i kwita.

Poszedłem do koniuszego i rozkazy zanosłem. Zmierzchać zaczynało, gdy Książę wyszedł od siebie ubrany. Ażem się zadziwił, bo suknie wziął stare, wyszarzane, jakby umyślnie, a do nich guzy, spinki, różne łańcuchy a wisiadła co najkosztowniejsze. Jedno się z drugim kłóciło. Kazano saniom zachodzić. Od ganku Książę rzekł:

— Ruszaj!

— Dokąd?

— Przed siebie! na groblę! dowiesz się, panie kochanku, kpie jakiś.

Za groblą dopiero kazał znowu do Zabiellów jechać. Nie słyhać tam było o żadnem przyjęciu, ani zabawie, ale u nich mało kiedy gości nie było.

Gdyśmy przed dworem stanęli, świecił jak latarnia. W dziedzińcu ludzi stało mnóstwo, którzy się przez okna przypatrywali, co się wewnątrz działo. Muzykę słyhać było i pary się przesuwwały, znać tańczono. Gdy nasz woźnica z bata począł palić, a dzwonki od sań zabrzęczały, wybiegł w ganek pan Zabiello.

— Co ja widzę! — zawołał — Książę pan! o niewysłowioną łasko pańska!

¹⁾ Badanie, śledztwo.

A Księżę na to:

— Po drodze, panie kochanku, do miłego sąsiada... jeśli wstąpić wolno?

Wyszli słysząc szum w ganku i inni goście, zdumienie tedy wielkie, applauzy, kielichy — i z ponalewaniami, śpiewając: „To pan, to pan, to dobrodziej nasz!“ — wprowadzili nas w tryumfie na salę.

Nie było w niej takiego tłumu jak ostatnim razem, przecież osób dużo, kobiet szczególnie. Spojrzałem, Wojźbunówna siedziała też, a zobaczywszy Księcia, zaczerwieniona wstała, jakby się cofnąć chciała, ale tyle tylko, że się za inną pannę ukryła. Mieliśmy ją już na oku. Kapela marsza grała, kazano z moździerzy ognia dawać. Szlachta koniecznie na rękach nieść żądała Księcia, ale im się nie dał. Przystąpiła pani Sędzina, wnet i inne damy. Zabiellowie, jak to byli ludzie mądrzy, a o słabości Miecznika dla pięknych twarzy wiedzieli, na własnych córkach nie chcąc fundować łask pańskich, bo te mu i pierwszym razem w oko nie wpadły, Wojźbunównę zaś dziką myśląc z głowy wybić, postavili, nie bez zamiaru, ubogą kuzynkę Wojszwilównę, a wystroili ją jak lalkę, z czym naprawdę nie do twarzy jej było. Wojszwilówna urodziwa, nie można powiedzieć, wzrostu pięknego, świeża, hoża, śmiała dosyć, mogła się była podobać, tylko nie przy Felisi i nie wówczas, kiedy Miecznik już z tamtą miał na pieńku.

Spetzło tedy na niczem, choć ją ciągle naprzód podsuwali, i Zabiellowa Księciu tę „sierotę“ przedstawiała sama, i sadzili ją blisko, i biedna dziewczyna oczyma, jak umiała manewrowała. Jednak się to na nic nie zdało, bo Księżę też

z projektem tu przybywszy, tak chodził, aby z unikającą go Wojźbunówną się spotkać.

Nie wcześniej to jednak nastąpiło, aż po wieczerzy, gdy się od stołu ruszono. Wojszczanka zmykać chciała, zasłiśmy jej drogę.

— Cóż to za szczęście moje, którego się dziś anim spodziewa! — odezwał się Miecznik, — iż pannę Wojszczankę spotykam!

— I ja się też wcale nie spodziewała nawet byś Księżę moje nazwisko pamiętał.

— Nazwiska, możebym mógł zapomnieć, ale twarzy, nigdy — dodał Księżę.

Dziewczę się zarumieniło, lecz łatwo poznać było można, iż nie z radości, ale z gniewu.

Popatrzała milcząca i roztargniona, jakby szukając miejsca, któredyby się wymknąć mogła. Natośmy jednak poradzili, ażeby Księżę choć rozmową się ukontentował.

— Jak państwu Sęstwu ¹⁾ zazdroszczę, że są pana Wojskiego sąsiadami — dodał Księżę — bo do Nieświeża choć nie daleko, ale wątpię, czybyście raczyli...

Panna Felisia oczy podniosła.

— Mości Księżę — rzekła — wysokie progi na nasze nogi; my u tych tylko bywamy, których u siebie ugościć możemy. Ojciec stary, a ja nie bardzo bawić się lubię.

— A cóż Asińdzka lubisz? — spytał Księżę.

— Spokój mój domowy — odpowiedziała Wojźbunówna.

¹⁾ Sędziostwu.

E! e! — zawołał Miecznik — grzech to jest, bo Pismo święte powiada, że światła korcem przykrywać się nie godzi. Lice Asinidzki takie promieniste, iż go przed światem chować, kryminał!

— Nie mogę Księciu za komplement podziękować bo go za żart biorę — rzekła Wojżbunówna — a jeśli Książę sądzisz, że to szlachciance głowę zawróci, żal mi, bo się omylisz bardzo.

Miecznik stał medytując co mówić dalej; Wojszczanka nie mogąc wyniść, bośmy ją kołem opasywali, kręciła się tylko, nóżką tupiała i ramionami ruszała.

— Czyste obłączenie! usłyszałem ją mruczącą.

— Myślałem, że dziś pannę Wojszczankę zastanę łaskawszą — rzekł Książę.

Nie odpowiedziała nic, udając że nie słyszy.

— Los tedy zadrwił ze mnie — mówił dalej — bo mi pokazał zdala sperandę szczęśliwości, na to, by mi zawód uczynił okrutny.

— Jaka to szkoda — odezwała się panna Felisia — takich pięknych słów dla takiej prostaczki jak ja. Innaby M. Książę, umiała je ocenić, a ja nawet nie rozumiem co znaczą. Zyczyłabym tak drogie klejnoty zachować na lepszy użytek.

Miecznik wąsa zakręcił.

— Juściż nie może to być — rzekł po namyśle — żeby ta, co tak ostrych słówek dobierać umie, moich nie rozumiała; ale widzę to, nie miały szczęścia się podobać, ani one, ani ja!

Na twarzy dziewczęcia rosła niecierpliwość i oburzenie. Przyznam się, że mnie jej już żal było; ciągle się wyrwać usiłowała, a Książę znaki dawał nam, abyśmy jej puścić się nie

ważyli. Jakby zdesperowana wreszcie główkę podniosła, popatrzała długo na Miecznika, Bóg raczy wiedzieć z pogardą czy litością, bo to się oboje we wzroku mieszało i wybuchnęła:

— W. Ks. Mość podobać byś się mógł słudze swej w jeden tylko sposób.

— A to jaki? nauczcie mnie Asińdzka, chętnie posłusznym będę.

— Gdybyś o niej chciał zapomnieć! — dygnawszy, dokończyła panna.

Oniemiał Książę, w oczach mu się jakoś zaćmiło, słowa na ustach nie znalazł, zabelkotał coś niewyraźnie.

— To trudno, panno Wojszczanko dobrodziejko — rzekł w końcu — a tem trudniej, że z nakazu myśmy nic czynić nie zwykli, a przeciwnie zawsze na swoim postawić. Im trudniej, tem milej dokazać, co się postanowiło.

— W. Ks. Mość postanowiłeś więc? — zapytała — co? chyba mnie na ludzki śmiech narazić?

— Nie panno Wojszczanko, ale serce jej skłonić, aby mi więcej sprzyjało — rzekł Miecznik bez ogródki.

— I dziwną do tego Książę obrałeś drogę — zawołała żywo panna — sługa W. Ks. Mości.

Ukloniła się, dodając z wielką niecierpliwością: prawdziwe utrapienie!...

— Ja się tak zbyć nie daję! — szepnął Miecznik — zobaczymy!?

W tej chwili panna upatrzawszy lukę między nimi, wyślizgnęła się z nią, wybiegła i znikła, a na salę więcej nie powróciła. Zabawa trwała w noc późną i Miecznik wesołego

udawał, ale my, cośmy go znali, widzieliśmy, że w nim gniewem wrzało. Powróciliśmy do Nieświeża w najciemniejszą noc i zawieruchę, bo się za nic uprosić nie dał, aby albo do dnia zabawić, lub zostać i nocować, choć mu już pokoje wyporządzono. A że to był wilczy czas i stada chodziły aż pod wioski się podkradając, łatwośmy mogli z nimi się spotkać. I strzelb z sobą naweteśmy nie brali. Ze dniem, dwa razy się w drodze wywróciwszy, wróciliśmy do Nieświeża, wszyscy w takich humorach, że ino przekleństwa słyhać było, a cośmy naczęstowali potem kulakami służbę, aniby zliczył.

Wszyscyśmy sądzili po tej wyprawie, iż na tem będzie koniec, że się Księciu gwiazdki z nieba odechce, ale w nim, nietyłe miłość może grała, co obrażona duma.

Nie mówił nikomu nic, już się na wiosnę brało, bo w tym roku wczesną była, gdy jednego dnia wierzchowe konie kazał gotować i dworskich zadysponowano kilkudziesięciu, a choć błoto było i drogi okropne, wielką paradą, pod dywdykami, w rzędach.

Uroczystości żadnej nie było, o żadnej dostojnej figurze nie słyszeliśmy, zaproszenia Księżę nie odebrał żadnego, głowysmy łamali co za fantazja. Do dnia wszystko w pogotowiu być miało. Wyszedł z garderoby ubrany jak na fest, posiadaliśmy na konie, nie wiedząc dokąd i po co, aż: do Rabki Czerwonej!! — zawołał.

W głowie się to nam nie mieściło. Przez całą drogę umyślnie barszkował z nami dla niepoznaki, iż kwaśny był i apprehensję miał, że mu się te odwiedziny nie powiodą.

— Cóż ty na to? panie kochanku! — zagadnął Wołodkowicza.

— Mnie się zdaje, że łamane sztuki dokazywać, warto by Tramontanie zostawić — rzekł Wołodkowicz.

— Coż to za łamane sztuki?

— Wszak do Rabki jedziemy?

— A do Rabki, coż to za sztuka, panie kochanku? przecież nas przyjąć muszą.

— Kto wie jak! — mruknął Wołodkowicz.

— Myślisz, że mnie źle przyjąć może, panie kochanku? — zawołał — a toby chyba zapaśną głowę musiał mieć w kuferku.

I tak całą drogę zaczepiał to jednego, to drugiego, aż z południa zobaczyliśmy dworek, a Księżę klusem ruszyć kazał. Brama przed nim stała ogromna, ciężka, zamczysta, ale się czeladź nasza rzuciła do niej, otwarła i z pompą wielką zajechaliśmy w dziedziniec.

Można sobie wyobrazić jakie ta kawalkata, nagle jak z nieba spadła, wrażenie zrobiła tam, gdzie jej jeszcze nigdy nie bywało. Ludzie dworscy jedni uciekali, drudzy się na płoty powdzierali, na drabiny, żeby się temu przypatrzeć. Drób, który się pasł w dziedzińcu, kury, indyki, gęsi, pierzchnęły krzycząc, drepzcząc i podlatując na wsze strony.

W ganku nie było nikogo. Księżę siedział na koniu, a ze dworku dochodziło nas tylko stukanie drzwiami. Nikt nie wychodził na przeciw.

Księżę wreszcie zsiadł, dał mi znak i Wołodkowiczowi, abyśmy mu towarzyszyli do środka, a reszcie przy koniach pozostać kazał. Otworzyły się drzwi w lewo i w nich Wojski się pokazał, lekko Księżciu się kłaniając, a ręką zapraszając do środka.

— Jużem, panie kochanku, myślał — ozwał się Miecznik że Waszmości w domu nie zastałem, bo nas tylko gęsi i kury przywitały.

— Mości Książę — odparł poważnie gospodarz — co za dziw, żeśmy na przyjęcie nie śpieszyli; któż to się pod tą ubogą strzechą takiego mógł spodziewać gościa? Sądze, że chyba przypadek tu W. Ks. Mość sprowadził.

Nie, panie kochanku, umyślnie przybyłem — rzekł Miecznik — na uczciwość. Krzywdę mi czynicie, że ani u mnie bywacie, ani mnie znać nie chcecie. Turcy mówią, panie kochanku, że gdy góra nie chciała przyjść do Mahometa, Mahomet poszedł do góry. Otóż i ja tak, panie kochanku.

Wojski się uśmiechnął smutnie.

— Był czas, Mości Książę — odezwał — kiedy Wojźbunowie do Radziwiłłów jeździli, i ich u siebie przyjmowali, ale ten przeszedł. Zeszliśmy na chatę pod strzechą, trzeba się swoją mierzyć piędzą, Mości Książę. Nie mam czem Radziwiłła przyjmować.

— Panie Wojski, niechby córki Jegomości nam tylko twarz zaświeciła, stanie za wszystko.

Wojźbun zasepił się, wyprostował i nabrał wyrazu surowszego jeszcze.

— Mości Książę — odparł — moja córka dla zabawy magnatów nie stworzona; proszę nie wspominać o niej!

— Dlaczegoż — spytał książę

— Dlatego, że W. Ks. Mość w konkury do niej nie przybywasz, a w zaloty ja nie dopuszczę.

To mówiąc się skłonił.

— Niegościnnie mnie WM. przyjmujesz! panie Wojski! panie kochanku...

— Nie mogę inaczej.

— Toć przecie, jeśli nie zgrzeczności, to z respektu dla Radziwiłła, który ma pułki i ludzi tyle, że sobie obelgi nie da wyrządzić, wypadałoby, panie kochanku, być grzeczniejszym.

— Wojzbunowie, M. Książę, ze strachu nikczemności robić nie zwykli.

— Panie kochanku — rozśmiał się Książę — dalipani! mnie wyzywacie?

Wojski ramionami ruszył, ręce w kieszenie od kapoty włożył i stał wcale nieporuszony.

— Książę mi grozisz?

Miecznik czerwieniał coraz.

— WMOść mnie jątrzysz? Przecie korona by z głowy Wojszczance nie spadła, żeby wyszła się nam pokazać.

— Ani ona, ani ja sobie tego nie życzę — odparł Wojski.

Książę się przeszedł parę razy po ciasnej izdebce, jak gdyby wcale tego do serca nie brał.

— Panie Wojski, panie kochanku — odezwał się — wy tu tak na wsi siedząc, sam na sam z kurami i gęsiami, musicie czytywać dużo historyj starych?

Szlachcic nie zrozumiał, popatrzył się na Miecznika i nie odpowiedział nic.

— He? — spytał po chwili.

— Bo ja właśnie myślałem, panie kochanku, czyście wy czytali tę ciekawą historię o królu czy książęciu hiszpańskim, który był sobie upodobał ubogą szlachciankę kastylską. Otóż,

panie kochanku, gdy raz i drugi dziewczyna się tyłem obróciła, a ojciec mu drzwi przed nosem zamknął, panie kochanku, książę się rozjątrzył, pogniewał i powiadają, fatalna jakaś z tego wypadła awantura.

Wojski słuchał.

— Tej historii wprawdzie nie czytałem — rzekł — pierwszy raz o niej słyszę; ale, Mości Książę, co się mogło trafić w Hiszpanii, za barbarzyńskich jakichś czasów, dziś nikogo nie obchodzi. Dziś by takie książątko powlekli do trybunału, i jak Zborowskiemu leć by ścięli, alboby jak Dymitra, tego co porwał Halszkę Ostrogską, zabił pierwszy lepszy.

Książę zaczerwieniał mocno.

I... nie — rzekł spokojnie — i... nie, panie kochanku; ja Jegomości powiem co by było: sypnąłby pieniędzmi i szlachtę zagodził, a fantazji pańskiej zadośćby się stało.

Wojski pobladł, a Miecznik zakręciwszy się, czapkę na głowę nałożył i dodał spokojnie:

— Dobranoc Waszeci, panie kochanku, dobranoc, a może do zobaczenia! do zobaczenia!

Wojzbun stał jak skostniały, bo mu gniew słowa jeszcze wyrzec nie dał, gdy myśmy się już wynieśli, na konie wsiedli i kłusowali napowrót do Nieświeża.

Od tego dnia poczęła się wewnętrzna walka w Księciu, i nieustanny spór z tymi co go otaczali. Myśmy go opamiętać się starali, inni podbechtywali, a oliwy dolewali do ognia. W sąsiedztwie między szlachtą wieść się zaraz rozeszła o tem, jedni bij zabij na Miecznika, drudzy to w żarty i śmiech obracali. Donoszono do Nieświeża, że się Wojski odgrażał, i na Księcia obławę ze szlachty zbierze i zapoluje

nań jak na odyńca, co szkodę robił w polu. Pewnie to zmyślano, ale Księżę się burzył i wołał: — dam ja mu odyńca! zobaczymy jak się skończy między nami. Może go prędzej kłem odynieć rozporze, niż on go wziąć potrafi!!

Spokojniejsi ludzie pewnie by go byli umitygowali wreszcie, gdyby nie szajka tych, co wszędzie siał biedę potrzebując, aby się na niej pożywić. Ci słówka przynosili, wyzwania, odgróźki coraz to nowe, a choć się Księcia od nich strzegło i pilnowało, nie wiedzieć jakimi drogami to się cisnęło do niego, tak, że ledwie z jednego ochłonał, już drugie nie wiem zkad przyszło, żeby mu nie dać opamiętać się i ostygnąć.

W takiej niepewności i obawie przetrwaliśmy do jesieni, a nie było prawie dnia, żeby o Wojżbunach mowy lub wspomnienia nie było.

Gdy czas na łowy przyszedł, Księżę nakazał na pierwsze miejsce, gdzieśmy wprzód obozowali, tabory myśliwskie prowadzić. Uderzyło to nas tem bardziej, że zwierza w tej części puszczy tak dalece nie było, a gdzie indziej i więcej i łatwiej go było dostać. Ledwieśmy tam stanęli, samo sąsiedztwo Rabki Wojżbunów przypomniało. Zaczęto o nich przebąkiwać, i po kieliszkach, ktoś się dał słyszeć, że szlachcic Księciu odprawę dał nie ładną.

Miecznik to posłyszawszy, mruknął.

— Czekaj, sprawa nie skończona, koniec dzieła chwali...

Nazajutrz rano Łowczy zameldował polowanie w ostępie o trzy ćwierci mili od obozowiska.

Księżę zaraz z wieczora, co nigdy się nie trafiało, powiedział, żeby myślistwo sobie szło samo, bo on wypocznie. Niesłychana to na owe czasy była rzecz, żeby Miecznik spo-

czywać potrzebował. Zdziwiło to nie pomалу. Łowczy chciał odłożyć wyprawę, ale Księżę nie dopuścił.

— Jedźcie sobie beze mnie, panie kochanku, niech i drugim się co zostanie, żeby się mieli czem chwalić.

Towarzystwo książęce, faworyci i przybocznicy dostali rozkaz, żeby też odpoczywali. Markotny był od rana i zamysłony, ale nie mówił nic; wychodził przed namiot popatrzał na las i wracał. Około południa po myśliwsku się odział, ale bogato i wykwinie, róg złożony na jedwabnym sznurze przewiesił przez plecy, konie kazał posiodłać i przyprowadzić, a dosiadłszy swego, zawołał:

A co? panie kochanku, pojedziemy Wojżbunównę zobaczyć. Stęskniło mi się za nią!

Wszystkim się jakoś niemiło zrobiło, awantura zdawała się pewna, nikt jednak nie śmiał, ani uwag czynić, ani się przeciwzić. Jak mak siał, zamilkli wszyscy, na koniesmy siedli i poklusowali za nim. Jemu, ani nam mówić się nie chciało, cała droga zeszła w milczeniu, aż się ów dworek w Rabce Czerwonej pokazał. Pamiętam go, jakbym widział wczoraj. Stał przyparty ogrodem do brzezinki, która się za nim kawał ciągnęła. Szlachecki ubogi domek z wysokim dachem, dwa słupki chude w ganku, po dwa okna z obu stron jego. Jeden płot opasywał dziedziniec z daleka, drugi pleciony ładnie, pod samymi oknami bronił kwiatków, które przy nim rosły, aby ich przechodząca do studni trzoda nie psuła.

Brama owa staroświecka zasłaniała nam dom w części, bo była mało nie tak wielka jak sam dwór, z daszkiem krytym słomą, zamczysta, obronna. Wysadzana wierzbami droga prowadziła do niej.

Z dala już widać było, że wrota stały zaparte. W ganku z rękami w kieszeniach stał, jak się zdawało, sam gospodarz, któregośmy się po makowej kapocie domyślali.

Księżę puścił się tegim kłusem, wprost na bramę; wszyscy za nim, podjechali; hajduk z konia skoczył i rzucił się, cugle mu na kark załorzywszy, do furtki, aby się przez nią dostać do dziedzińca i wrota nam odemknąć. W tem z ganku głos się silny odezwał:

— A kogóż to tam Pan Bóg prowadzi?

Hajduk niepewny, obejrzał się na Księcia, co miał odpowiedzieć.

— Melduj pana Haraburdę! — zawołał miecznik.

Hajduk powtórzył głosem drżącym.

Wtem z ganku znowu spokojnie zawołał Wojski.

— Haraburda? siła ich po świecie, jakież tytuł?

— Stolnikowicz Smoleński! — począł Księżę. Stary Wojźbun ponuro i dziwnie się uśmiechał.

— A no! otwórz wrota.

Zaczęły się stare podwoje, piszcząc na drewnianych zawiasach, roztwierać, a nimeśmy dojechali do ganku, stary Wojźbun na chwilę znikł i wnet wrócił spokojny, nasepiony, obok siebie na ławce położywszy strzelbę. Nic to nam dobrego nie zwiastowało.

Pierwszy z konia zsiadł sam Miecznik i dotknąwszy czapki, submitował się.

— Jacek Haraburda, Stolnikowicz Smoleński, w przejeździe z respektem.

— Bardzom wdzięczem — ponuro odparł Wojski, spoglądając na Księcia, z takim wyrazem w twarzy dziwnym, iż

na żart to wcale nie zakrawało. — Haraburdów po świecie dużo znam; którychże to waszmość jesteś, tych co robią burdy, czy tych, co szukają guza?

— Ja? panie kochanku — odparł Księżę — guzów nie szukam, ale chętnie je rozdaje, jeśli mi się zręczność nawinie.

Wojski sucho, szydersko śmiać się począł.

Mój Stolnikowiczu — rzekł — kto guzy rozdaje ten i oberwać może. Znać, żeście byli w dobrej szkole u Księcia Miecznika litewskiego, boście nawet jego przyjęli przysłowie. Wielki to pan, ale mu jeszcze ze dwu guwernerów dać by trzeba, ażeby go chodzić po świecie nauczyli.

Spojrzeli sobie w oczy. Miecznik węża zakąsił, Wojski rękę na strzelbie położył.

— A Waszmość, panie kochanku — rzekł Radziwiłł — z Księciem Miecznikiem nie masz znajomości? to szkoda; onby go polityki i dworszczyzny nauczył trochę.

— Za stary jestem, abym się uczył — odparł Wojzbun — z Miecznikiem ani się wiele znam, ani bliżej poznać pragnę. Wysokie progi na moje nogi... i... młodego piwa, póki się nie ustoi, nie pijam.

Księżę aż drgnął na to młode piwo.

— Jam ci to, jak się Waść, panie kochanku, sam domyliłeś, przyjaciół pana Miecznika — rzekł gniewnie — cóż będzie, gdy mu doniosę, panie kochanku, że go tak niewystałem piwem robicie?

— To będzie, czego sobie właśnie życzę — odparł Wojzbun ponuro — Księżę Miecznik mnie tak będzie obchodzić jak ja jego.

— Niekoniecznie podchwycił gorączkowując się Książę

żę — niekoniecznie, panie kochanku. Ja go lepiej znam od Waszmości, może właśnie zażąda się zbliżyć do kogoś, który go nie znając odpycha i znać nie chce!

— Juściż nikogo zmuszać do przyjaźni nie można; na świecie dosyć miejsca dla wszystkich, żeby się łokciami nie potracali. Ja księcia znam mało, ale go ludzie lepiej znają i osądzili tak, że ja zdala się od niego trzymać wolę.

Na te słowa, Miecznik się już pohamować nie mógł, i w bok się wzięwszy, nie zważając na strzelbę, na której się Wojźbun opierał, krzyknął:

— Ludzie go osądzili, ale tacy ludzie jak Wy. Dosyć już tej komedii, panie Wojski: jam do was i do waszej pięknej córunki przybył w gościnę... Znacie mnie.

Staremu twarz zapalała i ręka zadrgała, po wszystkich ciarki poszły.

— Do mnie jak do mnie, ale do córunki! a wam co do niej? Hola! hola, Mości Książę, ona gości takich nie potrzebuje.

I jedną rękę trzymając na strzelbie wciąż, drugą wskazał na wrota. Książę milczał chwilę, jakby nie pewny co pocnie. Obejrzelśmy się po sobie, z hajdukami i służbą nie było nas i dziesięciu.

— Radziwiłł, mospanie, panie kochanku, tak się wygnać za wrota nie da! — krzyknął — kiedym przybył w gościnę, to w niej zostanę.

I uderzył się po szabli.

Wojski, który się gwałtu żadnego nie spodziewał i dla postrachu tylko nie nabitą strzelbę chwycił z kołka, a w domu też, jak się później okazało, nikogo nie miał oprócz jed-

nej kobiety i wyrostka, zawahał się, dłoń mu drżała, brwi się ściągały. Ludzie wszyscy byli w polu, nawoływać ich próżno myśleć było. Książę dokończywszy parł się do drzwi, gdy mu je Wojzbun ze strzelbą w rękę sobą zasłonił i głosem od gniewu drżącym począł wołać coraz donośniej:

— Cóż to jest? gwałt? najazd? rozbój w biały dzień? Ani krokiem dalej, Mości Książę. Dom mój jest przybytkiem i świętym dla obcych być powinien, co prawo szanują. Ani krokiem dalej!

Na krzyk ten i hałas, który wewnątrz domu posłyszeć łatwo było, wybiegła Wojzbunówna, jak stała, ubrana po domowemu, z kosami rozpuszczonemi, lecz piękniejsza jeszcze niż gdyśmy ją strojną widzieli. W rękę niosła w pomoc ojcu szablę, o której był zapomniiał, oczy miała ogniste i śmiało nimi zmierzyła Księcia.

Wojski szablę pochwycił drugą ręką. W tym widząc, że się tu na coś niedobrego zanosi, bo i Miecznik za rękkojęść trzymał, towarzysze przypadli i zaczęli Księcia prosić a hamować, żeby się do oręża nie porywał.

— Kiedyście tchórze, piecuchy, gnójki! to idźcie do stu tysięcy precz — odparł rozogniony — a ja tu się sam bez was z tym szlachetką rozprawię...

Wojski błąd, słowa nie mówiąc, z szablą w jednej ręce, z drugą na strzelbie opartą stał i czekać się zdawał zaczepki. Za nim córka, niezłękciona wcale, oczyma pełnymi gniewu mierzyła nas, z pogardą. Książę wzrok ku niej skierowawszy, rozśmiał się i ręką posłał całusa.

— Nie potrzebuję już do niegościnnego waszego chlewka dobijać się — krzyknął głośno — postawiłem na swoim, bom

waszą dziewczkę zobaczył, Mości Wojski. Na teraz mi dosyć, a poczekawszy zobaczemy, panie kochanku. Jak zechcę toć Rabka nie forteca, zdobyć potrafię i Rabkę i córkę... Słyszysz, Wojski, panie kochanku, zapisz to sobie dla pamięci. Córkę Waszeci będę miał, choćby mnie to lichu wie co kosztowało, klnę się. Musi moją być, dziś, jutro nie wiem. Co Radziwiłł powie tego dotrzyma.

Struchlałemu starcowi słów zabrakło w pierwszej chwili, pobladł jak trup i pochylił się. Wojżbunówna podtrzymując go, podniosła ściśniętą pięść przeciw nam. Wszyscy staliśmy jak struchleli, gdy Miecznik odskoczył, z ganku, szablę chowając do pochew, zakomenderował:

— Na koni! i sam na swojego skoczył.

Braliśmy się do strzemion co rychlej, gdy Wojski ochłonawszy nieco, strzelbę wlokąc za sobą, szablę podniósłszy, błądy, drżący, słaniając się wybiegł przed ganek, jak wściekły.

— Słuchaj ty, Mieczniku litewski, ty, co swoimi szalami pocziwe kalasz gniazdo młokosie ty opętany, jeśli się nogą ośmielisz stąpić na mój grunt, tak mi Boże dopomóż i Najświętsza męko Jego, jak psu ci w łeb strzele!

Słyszając to u nas wszystkich życia zabrakło niemal, wiedzieliśmy, że Księżę takiego despektu nie zostawi niepomszczonym; było to wyzwanie, którego skutki łatwo nam przewidzieć było.

Księżę się rozśmiał, a raczej ryknął jak niedźwiedź raniony. Drugi raz w życiu słyszeliśmy z ust jego taki głos, pierwszą razą, gdy szlachcica pakułą zabił.

— Stara pałko bez mózgu — zakrzyknął — zapłacisz sowicie. Do miłego i prędkiego zobaczenia, do zobaczenia.

I już spiąwszy konia, spojrzawszy na pannę, której od ust ciągle uragliwie posyłał pocałunki, w czwał puszczając się do wrót, jak nieprzytomny powtarzał: do zobaczenia! do zobaczenia!

Myśmy parli za nim.

Lecieliśmy tak, jak opętani, bez drogi, może jaki kwadrans, jeden hajduk z koniem razem w rów wpadł; dopiero wśród pola Miecznik konia osadził nagle; aż mu pysk zakrwawił i tylne nogi w piasek po pęciny się zaryły. Stanęliśmy; Księżę pot ocierał z czoła, śmiał się dziko, niezdrowym śmiechem, zębami zgrzytając.

— Słyszeliście, ze psy mnie odprawił — zawołał — i toby jemu i jej płazem ująć miało?... jak Bóg żywy, panie kochanku, nie może to być, chyba Radziwiłłom jutro świnie paść. Dziewkę wezmę, choćbym głową nałożył, a staremu gębę stulę na wieki wieczne.

Spojrzał po nas jakby chciał, byśmy mu potakiwali; ale się nie odezwał nikt, milczeli wszyscy. Co za dziw! mój dobrodzieju, każdy z nas swoją chatę, swojego starego i siostry przypominał.

— Stary łbem to przyplaci! — mówił Księżę rozwścieczony — takiej odprawy nie zniosę! To mu nie ujdzie na sucho, lub nie będę Radziwiłłem. Marszcie się na mnie, czy nie — dodał do nas — to mi wszystko jedno, nie pójdziecie wy ze mną, spędzę tysiąc ludzi na tego zuchwałego warchola i...

Jeden stary Parczewski ośmielił się przez zęby wycedzić:

— Wolne żarty, Mości Księżu; szlachcic językiem meł, to

tam jeszcze nic tak wielkiego, ale się porwać na dom, to wie-
żą pachnie.

— Choćby i pięćmiem! panie kochanku — podchwycił
Miecznik — kto kocha Radziwiłła, ten go nie opuści, a kto
parszywa owca, niech do domu idzie spać, pal was diabli.

I konia batem ściągnawszy, puścił się znowu.

Milcząc, potrwożeni jechaliśmy za nim aż do obozu. Tu
jeszcześmy z koni nie zsiadli, gdy Księżę kazał zwinąć tabor
i do drogi do Nieświeża się sposobić.

Nim jednak zatrąbiono raz i drugi na zbór, nim się to
wszystko pościągało, nim konie z paszy wzięto, wozy ułado-
wano, namioty poskładano, zaczęło się na dobre zmierzchać.

Wszyscy chodzili jak potruci, nikt słowa nie śmiał rzec,
patrzeliśmy w oczy jeden drugiemu, każdy ważył co ma po-
cząć i co go spotkać może.

Wtem Księżę winą kazał podawać, choć nikomu pić się
nie chciało, bośmy i tak byli gdyby pijani. Z nim jednak teraz
spierać się nie było sposobu; gdy kielichy ponalewano, mu-
siał każdy rad nie rad chlipać. Jakoś to nas poniewoli orzeź-
wiło, dodało męstwa i poczęliśmy z sobą się naradzać a bąkać
co robić? Starzy zaklinali, aby mu się nie sprzeciwiać i już
go nie jątrzyć, bo znali tę naturę i krew Radziwiłowską, że
gdy jej tamy stawia, groble wyrywa.

Mówili — wyszumi się; tymczasem co który do niego za-
gadał, usta mu zamykał powtarzając nieustannie:

— Despekt Radziwiłł spotkał!... Trzeba szlachcica ro-
zumu nauczyć! Powiada Parczewski o wieży; wołę wieżę,
siedzieć i n f u n d o ¹⁾, niż oplwany chodzić.

¹⁾ „Na dnie“ tj. w podziemiu wieży, kary dla szlachcica
w sprawie kryminalnej.

Kazał tedy pić i wypróżniać i nalewać coraz, a gdy mu się opierali i wypraszali niektórzy, do tego przyszło, że pod-ochocony pistoletem groził, taki go był szal opanował.

I nam też w głowach szumieć poczynąło.

Wino bywa dobrym doradcą, ale bywa i najzdradniejszym. Obóz już był zwinięty, a my na kłodach siedząc przy rozłożonym ognisku, piliśmy i pili. Co którego gąsiora do-kończono, Książę go o pień kazał trzaskać, a sam kielichy w garści dusił, drugimi ciskając, gdy je dopił, tak, żeśmy myśleli, iż szkła zabraknie.

Okolo północks, Książę wstał, Łowczemu coś poczał szeptać, ludzi z obławy natychmiast kazał rozpuścić, dając po tyńfie na głowę. Myśliwych dworu, przyjaciół, służby zo-stało może głów do pięćdziesięciu.

Noc poczynąła być zimna, ale po winie, mało się tego czuło; gwiazdy świeciły niby, choć mimo to ciemno było jak w rogu, bośmy księżycy nie mieli. Nagle kazano konie siodłać, i hasło w drogę!

— Co ja mam długo czekać i truć się tą obelgą i nosić ją jak kamień za pazuchą? — poczał Miecznik — kto ze mną trzymać chce, niech jedzie ze mną; kto mnie dziś odstąpi, niech mi się nigdy więcej nie pokazuje na oczy. Wóz lub przewóz wolny każdemu, panie kochanku, droga otwarta jak sobie kto pościele, tak się wyśpi.

Ze dworu Księcia nikt mu ani myślał stawić oporu; cze-ladź, hajduki, dwornia wszystko to byli ludzie zapamiętali, determinowani, z nim i za niego w ogień i w wodę! Dla nich to była gratka i satysfakcja iść na awanturę, bo po niej zaw-sze się coś za guzy dostało.

My, szlachta i przyjaciele Radziwiłłowscy, samiśmy nie wiedzieli co począć. Odstąpić go hurmem i dać mu samemu z tą hałastrą jechać, zdawało się najniebezpieczniejsem. Każdy z nas wyobrażał sobie, że go jeszcze potrafi od ekscesu powstrzymać.

Chwila dla nas była, Bóg widzi straszna, jakiej w życiu nie pamiętam. Głowy podchmielone, trwoga jakaś, niepewność a razem szal i zapamiętanie. Dworacy i służba poczęli wołać:

— Choćby w piekło z Księciem!

— Prowadź nas, my z tobą!

— Górą Radziwiłł!...

— Górą nasi! itp.

Jeden tylko Rejten młody ośmiał się wystąpić. Lubił go Miecznik bardzo. Na koniu już między nami stał, ale konia bułanego mierzynka, jak dziś pamiętam, zmusił się cofnąć na kilka kroków. Jakbym go jeszcze widział: maleńka, czupurna figurka, łeb wysoki, wąsik czarny zakręcony do góry, oczy wypukłe, czapka na bakier, rękę do góry podniósł i począł wołać:

— Książę Mieczniku na rany Pańskie, co czynisz! opamiętaj się! Najazd na dwór, czy to Radziwiłłowska sprawa? Pójdę za tobą w ogień i w wodę, ale nie w błoto, ale nie na rozbój przeciwko bezbronnym. Co ci jest! Książę! opamiętaj się, zlituj!... Szlachcicowi dogodną godziną, spokojniuteńko damy sto batów; ale na dwór, wara! Dziś na jego dom najedziesz, a jutro na mój, ja w to ręki maczać nie chcę i nie będę.

— A! ty! skóra byczo! — krzyknął Miecznik do szabli się

biorąc — i ty się śmiesz nazywać moim przyjacielem, a nie chcesz żebym mojego honoru bronił?

— Nie pozwalam abyś go kalał! — odparł Rejten — wyzwij na rękę Wojskiego, pójdę z tobą, dam się zasiekać, ale od kobiety, wara!

Księżę podbiegł wprost na niego z koniem, z szablą dobytą; Rejten ani drgnął, stał.

— Bij, siekaj, to ci wolno! to zniosę od przyjaciela; ale z tobą na rozbój nie pójdę, a dopóki mi sił i głosu stanie, hamować cię będę, bo... tak mi sumienie każe.

— Skurczypalko ty, jakiś! — począł Księżę wymyślać, unosząc się coraz więcej gniewem i grożąc mu ciągle szablą. Ale poskoczyli drudzy i zasłonili Rejtenu a Księcia pohamowali. Rejten powoli konia zwrócił i milcząc na bok stąpił odjechał.

Miecznik szablę do pochew schował i mrucząc umitygował się nieco, nie spozierając już nawet w tę stronę, kędy Rejten mu zszedł z oczu.

— Za mną! kto z Radziwiłłem trzyma! — krzyknął i puścił się przodem, za nim wszyscy. Rejten jak był, tak sam jeden w lesie na obozowisku pozostał i do domu pojechał.

Co się później działo z nami, trudno mi opowiedzieć. Cały ten wieczór pomieszał mi się tak w głowie, że mało co szczegółów pamiętam. Dworaków, hajduków, leśnictwa i posłusznego na skinienie księcia tłumu tego na pół pijanego, rozgorzalego, cztery razy tyle było co nas przyjaciół Miecznika. Wszyscy oni wraz otoczyli go i z wrzaskiem a odgrózkami puścili się ku Rabce Czerwonej.

Nie było sposobu tak go odstąpić, żeby choć największe-

mu nieszczęściu i szaleństwu zapobiedz. Tętniała ziemia pod kopytami koni, lecieliśmy jak opętani, niejeden się z koniem przewalił, niejednego stratowano, na oślep się tak darło przez noc czarną, a konie smagano batami. Hałastra pokrzykiwała.

Zdała wreszcie zamajaczyła nam ta nieszczęśliwa Rabka; bo, choć noc była późna, świeciło jeszcze we wszystkich oknach i w dziedzińcu widać było ludzi przesuwających się z latarkami.

Zbliżając się do dworu, zwolniono kroku, ale się Miecznik nie opamiętał, kto mu słowo śmiał rzec to go popchnął; Łowczemu kazał naprzód dwór ostawić dokoła po cichu, jak na wilki polując, ażeby się żywa dusza wymknąć nie mogła.

Z tego co widać było na dziedzińcu i w domu, łatwośmy się domyślali, że Wojski nastraszony musiał się z córką w drogę do Słucka lub jakiego innego miasteczka wybierać, wiedząc już co go czeka.

Tak było w istocie. Pakowano wozy, gdyśmy się do parkanu i dziedzińca przybliżyli.

Miecznik sam dysząc i klnąc jechał przodem. Aż pod wrota same postępowano w milczeniu, w tem nagle, dokoła rozległy się krzyki dzikie, ludzie książęcy ze wszystkich stron się w podwórze i na dworek rzucili.

Czeladź bezbronna, która przy wozach się kręciła, garstka mała, przestraszona, pierzchnąć zaczęła, gdzie kto mógł, do obór, do dworu, w krzaki. W ganku tylko pokazał się Wojski z szablą na rękę i ze strzelbą. Za nim córka stała z pistoletami. Oficjalista jakiś mknął pod ławę na ganku i na czworakach się trzymał.

Bramę wyłamano natychmiast, tak, że jedno skrzydło z trzaskiem na ziemię runęło, płoty też walić zaczęto i ludzie wdzierali się ze wszech stron, pieszo, konno, aby prędzej.

Nie zważając na strzelbę w rękę Wojźbuna, który się już przymierzył i celował, księżę z koniem dotarł aż ku niemu. Wtem słyszę, rozległ się strzał; dym mi księcia zasłonił, a ludzie wrzasnęli przeraźliwie. Myśleliśmy że, uchowaj Boże, trafiony był Miecznik, bo się na siodle pochylił. Ale nie, patrząc, skoczył z konia i z szablą wprost na Wojskiego, za nim drudzy, czy hamować czy pomagać, Bóg wiedział.

Jeszcze widział jak Wojźbunówna rękę niepewną, podniósłszy pistolet, strzeliła, na próżno, i jak na Wojźbuna cisnęli się ludzie z szablami, płatając go. Zasłaniał się im, aż... słyszę:

— Jezus, Maria! — upadł na ziemię i wszystko się w ganku zwinęło, skłębiło w kupe, ani poznać przyjaciela od nieprzyjaciela, tylko wrzask uszy rozdziera.

Sądny dzień tam nastał...

Ten i ów jak szalony strzela, bije, wywleka ludzi, rwie się, krzyczy. Wojźbunówna przypadła do leżącego na ziemi we krwi własnej ojca; patrząc, a tu z jednej strony Miecznik, z drugiej Łowczy chwytają wydzierającą się, krzyczącą, lamentującą, i niosą gwałtem ku koniom.

Zamęt się wszczął, żeśmy jeden drugiego nie widzieli i opamiętać się nie mogli, co się z nami dzieje. Jam z konia nie zsiadł, ale potrącany, pchany, głowę straciłem, mój też kary począł, nie patrząc kogo, tylnymi nogami bić. A tu dwornia i czeladź rozpasawszy się dokazuje, dom rabując, niosą co kto chce, tłuką znalezionych ludzi.

Nie mogłem już na to dłużej patrzeć; wstręt, żal, ból mnie porwał okrutny, począłem się z koniem wyciskać z tłumu... i obrzydzenie mając do tych okropności, posunąłem się do bramy, żeby uciec z tego diabelstwa i nie patrzeć na nie. Żal mi było tych ludzi, ale żal i pocziwego Księcia naszego, który się uniósł tak fatalnie. W oczach mi się ćmiło, w głowie zawracało, lez miałem powieki pełne, sam nie wiedziałem długo co czynię, anim też się spostrzegł jak koń mnie, czy ja konia wyprowadziłem na pagórek za dwór, gdzie dopiero przystanął odetchnąć.

Nie rychłom się rozpatrzył, że, nie wiedząc jak, wjechałem na mogiłki, między krzyże, i nuż się z cmentarza dobywać na powrót na pole. Zły to był o m e n! W tym samym momencie, czy od kłaków i strzelania, czy od umyślnie podłożonego ognia zaczął się z jednej strony palić dworek, a z drugiej zabudowania folwarczne. Wiatr dał, a że to wszystko stare było, drewniane, suche jak pieprz, więc we trzy pacierze może, stało całe w płomieniach! Ja stoję, widzę na tej jasnej łunie, jak szatany czarne uwijają się cienie, już nie wiem rabując czy ratując. Miał widać Wojski zapas prochu gdzieś w izbie, więc nagle jak strzeli i buchnie! Jezus! Marjo! iskry się podniosły na budynki, głównie całe porozlatywały, ludzie wrzasnęli. Kiedy niekiedy krzyk, aż się krew w żyłach ścinała. Zwiśsiwszy głowę, puściłem już koniowi cugle — idź, nieś dokąd chcesz.

Gdym się rozglądać począł, Księcia Miecznika nie postrzegłem już nigdzie, anim mógł zmiarkować co się z nim stało.

Goryczą i żółcią zapływało we mnie wszystko; największ-

szą miałem złość do tych, co głupim drażnieniem, przypominaniem, podżeganiem do tego nieszczęścia doprowadzili. Wiedziałem dobrze, iż choć Radziwiłłowi wiele ująć mogło bezkarnie, nietylko szlachta, ale panowie Sapiehowie, Ogińscy, Tyszkiewicz, Massalscy płazem mu tego nie puszcza.

X Ani wiem sam jak mnie mój kary, rozumniejszy naówczas ode mnie, wywiódł na drogę i sam ją sobie wybierając, bom się na niego zupełnie spuścił, wyprowadził do folwarku na Sierzpułowszczyznę. Prawda, że tam często jeździł, z dzierzawcą, niejakim Szylejką, będąc od dzieciństwa w przyjaźni.

Noc była głęboka, a raczej na dzień się zbierało, koguty piał, gdy m oprzytomniawszy począł się stojąc pod płotem, rozpytywać gdzie jestem. O kilka kroków tylko była brama, i wartownik nocny w kożusku na przeciw mnie wyszedł.

Kazałem mu otworzyć, wjechałem. Szylejko jeszcze naówczas żonaty nie był, nie potrzebowałem z nim ceremonii robić, wartownikowi kazałem do okiennicy zapukać. Nim on się tam śpiących dobudził, czas był rozmyśleć się co powiedzieć. Nie chciałem się wcale z tem wydawać, gdzie i z kim byłem, ani z kąd jechałem po nocy.

Trzeba było kłamać. Szylejko bosy, w berlaczach, wilczurę tylko narzuciwszy na ramiona, wyleciał przestraszony.

— Co to jest? — zawołał — sam jeden? skądże? coś się tak przypóźnił? co u kaduka? czyś co spletał? gadaj!

Weszliśmy do izby; uplotłem mu bajkę z potrzeby, żeśmy z księciem polowali w sąsiednich borach, że się z koniem obłąkał, szukając drogi, tułał całą noc po zaroślach i lasach,

i ledwie nad ranem do niego dobił. Zaraz tedy ognia rozpalili, wszedłem do izby i rzuciłem się na tapczan jak nie żyw.

Szyblejko dopiero spojrzawszy mi w oczy krzyknął:

— Ty jak Piotrowin z grobu wyglądasz? Co ci jest? strachuś się najadł czy co?

— Zmęczylem się.

— A pewnieś głodny?

Mnie i marcypanaby się w tej chwili nie chciało, poprosiłem go tylko o lada jakie poślanie i cokolwiek, choćby kulbakę, pod głowę. Chciał mnie rozpytywać, lecz słowa dobyć nie mógł. Poprosiłem go o kwaśne ogórki, aby wino i żółć przetrawiły we mnie, i ległem spać co prędzej, by się od gadania i kłamania uwolnić.

Na sen mi się wcale nie brało, choć zmęczony byłem jakbym plagi wziął najokrutniejsze, i kości w sobie czułem wszystkie. Przeleżałem z zamkniętymi oczyma do dnia, myśląc i przemyślając co się tam stać mogło i co się jeszcze z tego wszystkiego wywiąże.

Szyblejko wstał zaraz, bo w gorzelni pędził, i woły już miał na stajni, musiał dojrzeć sam, gdy im brahę¹⁾ zadawano. Jam leżał i leżał sam, medytując.

Nic się ode mnie nie dowiedział. Już dzień był wielki, gdy polewkę przelknawszy, pożegnałem go i kazałem sobie konia podać; okazało się dopiero po dniu, że miał szpetnie na łopatce oszarpaniętą skórę do żywego. Złożyłem to przed Szyblejką na las i krzaki... Pojechałem stąd pomału, nie śpie-

¹⁾ Gdy pędzono okowitę w gorzelni, woły na opas przeznaczone karmiono odpadkami, „brahą“.

sząc, do Nieświeża, raczej błędząc nie jadąc, odpoczywając, koniowi folgując. Nie pilno mi do biedy było...

Drugiego dnia dopiero stanąwszy, wprost ze szkapą poszedłem do stajni. Pierwszego masztalerza, któregom spotkał, pytam: — a Księżę?

Nie odpowiedział mi nic. Spojrzałem po ludziach: niektórzy z tych, co z nami byli, są, innych nie ma. Wszyscy chodzą nasepieni i milczący. W stajni konia oddawszy, powlokłem się wprost do mojego mieszkania na skrzydło. Ludzi w dziedzińcach było mało, a ci, których spotkałem, twarze mieli dziwne, powywracane. Com którego spytał, bąknął, przez zęby cedząc, ni to ni owo. Nie dziwują się, że mnie widzą, nikt się nie dowiadyuje gdzieś bywał...

W oficynie, w sieni zdybuję dopiero starego Piotrowskiego, który z nami był...

— Co słyszać? zmiłuj się...

— A tyś uciekł z placu? — zawołał.

— Ani sam wiem co się ze mną stało, powiedz ty mi!

Wziął mnie na swoją kwaterę i zamknęliśmy się.

— Gdzie Księżę?

— Nie ma go!

— Ale mu się nie stało nic złego?

— To co mogło najgorszego — powiada Piotrowski — bo głupstwo zrobił szalone, które mu się na nic nie zda, chyba na to, żeby ludzką nienawiść przeciw sobie rozbudził a gryz się potem sam...

— Ale gdzież jest?

— Na folwarku o milę ztąd...

— Porwał Wojźbunównę?...

— A jużciż... Pociechy z niej mieć nie będzie, bo jak szalona się rwie i z błotem go mięsza...

— A stary zabity?

— Jeśli żyw, to mu się nie wiele należy, bo go szpetnie popłatano jak szczupaka...

Poczęliśmy oba lamentować, ale co pomagą takie żale po czasie... Wieczorem wybrałem się na pokoje — nikogo, pusto... Wołodkowicz błdził węża kręcąc, oczy w ziemię spuszcwszy. Chodził jak chmura z piorunami, a co usta otworzył, to kłął... Spojrzał na mnie, ja na niego.

— A co?

— A co?

— Nic! — ruszył ramionami — skaranie Boże i kwita.

Wziąłem go na stronę, zaklinając, żeby mi wszystką prawdę powiedział...

— Mów... proszę... jak jest i jak się to skończy?

— Co ty chcesz? — rzekł niecierpliwie. Zle się stało, a Bóg jeden wie jak się skończy.

Od niego się też dowiedział, że Wojżbunównę zawieźli na folwark, i że Książę jej nie odstępował. Co się tam działo, nikt nie umiał powiedzieć, ale zmartwieni byli i powarzeni wszyscy. Część ludzi z Księciem została i folwarku pilnowała. W Nieświeżu pustki były i cisza. Tak minął dzień, dwa, ba i tydzień cały, a książę się nie pokazywał. Przysyłano tylko po różne rzeczy i ludzie się na służbie mieniali. Przed obcymi mówiono, że Książę był na polowaniu, ale nie wiadomo w jakie udał się lasy. Osmego dnia z rana, gdym nie śpiesząc się ubierać, o godzinie dziewiątej jeszcze w opończy siedział, przyleciał Piotrowski do mnie.

— Książę powrócił!

— A cóż?

— Nic nie wiem, ale jest.

Poszedłem tedy na służbę.

Na pokojach było dosyć ludzi, Miecznik nierychło się pokazał. Spojrzałem z daleka i znalazłem go zmienionym: twarz miał obrzękłą, oczy czerwone, czoło chmurne, posępny był i milczący, jak człowiek nie rad z siebie. Ten i ów wystrzelił z konceptem, nie roześmiał się wcale. Pogrzebowe były humory.

Po obiedzie dopiero, tu i ówdzie sznurkując, począłem się dowiadywać i przekonałem, że Wojźbunówna — uciekła. Jakim się to sposobem stało, nikt jeszcze nie wiedział, posądzano różnych, że jej do tego przez litość dopomogli, lecz wszyscy się uniewinnili. Trzymał ją Książę na folwarku, dom był cały obstawiony dokoła, przy drzwiach i oknach dzień i noc strażę. Nikt oprócz jednej panny garderobianej i Księcia do niej nie wchodził.

Pomimo to w tydzień po przywiezieniu jej tam, zniknęła. W alkierzu przy pokoju okno było wyjęte, a ci co pilnowali, leżeli pod niem pijani tak, że się ich dobudzić nie było podobna. Później się okazało, że narzeczony panny, Dulemba, nie mogąc jej ratować siłą, pracował różnemi sposoby, dopóki jej nie uwolnił.

Rozesłano pogonie na wszystkie strony i trakty; Książę sam chciał pędzić, lecz nigdzie nie było ani śladu.

Tak się ta smutna tragedia szlachecka skończyła na pozór, na twarzy księcia Miecznika i w całym obejściu się jego,

humorze, zostawiwszy po sobie ślady. Opryskliwy się stał, dumny, gniewny, i nierychło go to odeszło.

Miałem naówczas wiozącynę za stawem w Nieświeżczyźnie, z łaski Księcia, uprosiłem więc sobie konia i pojechałem spocząć do domu, aby licha zapomnieć.

Po szlachcie szeroko się rozniosła wieść o napadzie na Rabkę; na Księcia pioruny rzucali niektórzy, odgrażali się i wywoływali, że mu to kiedyś odpłacą, ale ci, co u Radziwiłłów żyli, bronili też zajadle, w śmiech i żarty obracając całą sprawę. Pamiętam jednego poczcziwca, co na całe gardło wołał: Gdyby Księciu Jegomości zachciało się mi wykraść moją Kachnę albo Julisę, anibym mruknął; tać to posag pewny, a mężów by dostała na kopy. Jednakże nie wszyscy to tak brali. Jam milczał, Bogu tylko wiadomo co mnie to kosztowało, Księcia kochając, a nie mogąc mu tego przebaczyć. Tydzień na wsi siedziałem zamknięty, gryząc się a desperując. Przyjechał do mnie, dowiedziawszy się, żem w domu, Szyłejko i zaraz na progu pogroził.

— A toż i ty tam był — rzekł — a przede mnąś zmilczał! niepocziwy!

— Gdzie? jak co? — chciałem się wykręcać, nie było sposobu.

Szyłejko mruknął tylko:

— Niech Bogu Książę dziękuje, że go kula nie trafiła, na którą zasłużył

Od Szyłejki się też dowiedziałem na pewno, że Dulemba pannę wykradł i do Wilna ją odwieziono, gdzie Wojźbun także z ran się wyleczył, a doktorowie obiecywali, iż go na nogi postawią. W starym życia było tyle, iż mimo ran i stra-

sznego krwi upływu, mimo boleści jaka go dotknęła, przychodził do siebie.

Wszyscy sądzili powszechnie, że teraz proces kryminalny Księciu wytoczą, i lada dzień, co godzina woźnych i pozwów się spodziewano. Zdawało się to tak nieuchronnem, iż się tylko dziwiono opóźnieniu. Posyłano na zwiady daremnie; ile się razy jaki prawnik pokazał w Nieświeżu, myślano, że od Wojźbunów. Miecznik wiedział, iż przypłacić musi i to nie mało, jeśli się zechce od wieży, od infamii może i przykre-go świecenia oczyma uwolnić. Tymczasem ów proces nie przychodził, ani słyhać było o nim.

Przebywszy jakiś czas na wsi mojej, gdy mi się zanudziło i zateęskniło za Nieświeżem, powróciłem tam, żeby się czegoś pewniejszego dowiedzieć, bo po wsiach same chodziły plotki.

Zastąłem wszystko po dawnemu. Na oko nie było zmienionego nic, porządek i obyczaj zwykły, szlachty gotowej na wszelkie usługi pełen zamek i pokoje. Poszedłem i ja się Księciu pokłonić.

Chociaż udawał wesołość, znać było, że się nie swój czuł, blady był, zasępiony, i lada najmieszce przeciwieństwo wpadał w taki gniew, że ludzi strachem nabawiał.

Z założonemi w tył rękami, chodził po całych dniach z pokoju do pokoju, a gdy kto do niego przemówił, dwa i trzy razy powtórzyć musiał, nim go Księżę zrozumiał.

Zobaczywszy mnie:

— Zguba się znalazła — rzekł — a gdzieżeś to ty był, panie kochanku?

— W domu się trochę gospodarowało!

Głową pokręcił i poszedł ode mnie. Nie okazał mi ani za-

lu, ani gniewu, owszem łaskaw bardzo był dla mnie. Dowiedziałem się, że do Rejtana posyłał Wołodkowicza, żeby przyjechał do Nieświeża, zaklinając się, iż złego słowa nie powie, bo żalu doń nie ma. Ale ten nie prędko się tu znowu znalazł, bo sam miał żal, którego się pozbyć nie mógł. Drugiego dnia sam mnie zaczepił:

— A może tobie czego potrzeba na gospodarstwo? nasienia pewno dobrego nie-masz? to gadaj.

Podziękowałem za łaskę, ale obsiać się było, dzięki Bogu, czem.

Przez cały dzień przyglądając mu się z daleka, czytając z jego twarzy, łatwom wyrozumiał, że cierpiał, tylko się z tem ukryć pragnął, bo nie lubił, aby go konsolowano, i w sobie wszystko przetrawiał. Koncepta wymyślał, choć mu się nie udawały. Śnieli się z nich tylko ci, co gotowi byli i płakać dla łaski pańskiej i na pogrzebie tańcować. Tych on nie lubił, choć ich znosił przy sobie, a przy okazji niemiłosiernie się z nimi obchodził.

Wszystko się jakoś nie wiodło, i myśliwstwo, i zabawy, i pijatyka, i teatr, i muzyka. Wymyślano różne różności, nic w smak nie szło. Proces jak miecz Damoklesa wisiał nad głowami, bo zdawał się nieruchomy. Zatoczy się bywało wózek przed oficyny, albo pokaże jaka figura nowa, którą można za kauzyperdę wziąć z dala, wnet posyła Księżę: kto? z czem? Byłe się drzwi otwarły a nowa twarz w progu, ot i pozwy. Gotując się do tej sprawy, ludzi, co byli na polowaniu, aby nie było komu świadczyć, porozsyłano po różnych dobrach Radziwiłłowskich; były i konferencje prawników,

i narady jak się bronić, i wszelkiego rodzaju wcześniej przedsiębrane ostrożności.

Tak upłynęło jakoś miesięcy kilka i powoli ludzie się uspokoili. Jednego ranka wpada do mnie Wołodkowicz, oznajmując, że Księżę sobie życzy, abym mu towarzyszył mającemu w jego interesie jechać do Wilna.

— A no, dobrze skoro Księżę mi każe.

Anim się spytał nawet z czym i po co jedziemy? Co mnie do tego? Gęba Wołodkowicza miała odpowiadać za wszystko, a jam był tylko dla bezpieczeństwa i straży około szkatułki dodany.

Poszedłem na zamek, Księżę mi powtórzył:

— Jedźże, panie kochanku z Wołodkowiczem, żeby się w drodze biedactwo nie nudziło; będziecie sobie w warcaby lub mariasza na zdrowaśki grać mogli.

I Wołodkowicz i Księżę pędzili niezmiennie; ledwieśmy się uwinęli ze śniadaniem, konie i służba stała w pogotowiu. Do pieniędzy zawsze dodawano hajduków, po jednym, po dwu, barczystych chłopów, co by się i diabła nie ulękli. Mieliśmy ich też przy sobie. Konie były doskonale bieguny, a o kości nasze mało komu chodziło, więc jazda poszła rażno. Wołodkowicz ze mną po swojemu i po młodemu barszkował, żartowaliśmy, pletli co ślina do gęby przyniosła; o Wojzbunównie nikt i nie pomyślał, bo to się prędko na świecie wszystko zapomina. Już pod samem Wilnem, stanęliśmy na popas w karczmie w lesie, aby tylko konie wytchnęły. Tymczasem zerwała się burza wiosenna i jak to one mają zwyczaj, nad lasami hulać, a sosnom łby kręcić, gdyśmy sądzili, że rychło przeminie, szalała do wieczora. Piorun walił

po piorunie, jodły się paliły jak świece, a myśmy się tylko patrząc żegnali, bo ot, ot zdawało się że w karczmę palnie. Nie było sposobu wyruszać, aż Wołodkowicz kłać zaczął słotę. Dotąd nie miarkowałem z czem jedziemy.

— A cóż ci tak pilno? — zapytałem — Wilno nie uciecze.

— Mnie ono nie pilno — rzekł — ale Księciu, i dla niegobym już rad być z powrotem. Sprawa mu ta dogryza, że spoczynku nie ma.

— Jakaż to sprawa? — spytałem.

Wołodkowicz był w dobrym humorze i usta mu się rozwiązały.

— Albo nie wiesz? — począł przecieżeś w tej biedzie z nami był, jeśli nie do końca, to na zagajeniu. Tać to nie o co idzie, tylko o tę nieszczęsną Felisję Wojźbunównę i o Rabkę Czerwoną, bodajbyśmy ich byli nie znali!

Dopiero się rozgadał, że księżę za Wojźbunówną jeszcze szalał, że mu jej i ojca żal było, że na sumieniu niespokojny, że nie mógł się dotąd ukoić i krzywdy im wyrządzonej sobie przebaczyć. Chciał koniecznie naprawić to, o ile było w możności.

Może, gdyby był szlachcic, obyczajem pospolitym, proces mu wytoczył, wziąłby na kiel i bronił się; lecz doniesiono Księciu, iż Wojźbun stary z ran się wyleczywszy, gdy go adwokaci namawiali na rozpoczęcie sprawy, miał im odpowiedzieć, nie jeden raz, ale po kilka razy powtarzając:

— Nie do sprawiedliwości ludzkiej, ale do Bożej się uciekam. Nie pozwę Radziwiłła przed trybunał inny, tylko na sąd ostateczny, przed tego Sędziego, co wszystkich nas sądzić będzie na Józefatowej dolinie. Po co nam pozywać? Iba

mu nie zetną, a córki mej wstydu, moich utrapień i krwi mi wylanej nie wynagrodzi mi niczem, na toby całej Radziwiłłowszczyzny nie stało. Nie żądam od niego nic... Bóg pomści mnie. Nie poszanował mojego dziecka, nie będzie miał dzieci... umrze bezpotomnym!

Księżciu to wszystko powtórzono; udawał, że się śmieje, ale mocno wziął do serca. Naprzód przez plenipotentą posłał Wojźbunom pięć tysięcy czerwonych złotych, które Wojśki ze wzgardą i oburzeniem odrzucił; teraz ponownie przez Wołodkoicza wyprawiał już piętnaście, byleby z Wojźbunami polubownie skończyć.

Wiedziano o tem, że Dulemba chciał się z panną żenić i na kolanach ją o to prosił, aby go nie odpychała; ale Wojszczanka odpowiedziała mu, iż do niczyjego domu sromu swego wnieść nie chce i nigdy nie pójdzie za nikogo

Książę się tem gryzł, tak, że spać, ani jeść nie mógł, wołając nieustannie: — A niechże mnie kto od tych Wojźbunów raz uwolni! Dam, co zechcę.

Wołodkowicz, ufając swej swadzie i zręczności, dał słowo Księżciu, że na starym zgodę wymoże, a mnie chciał mieć za świadka, aby potem ludzie nie mówili, iż trudu skąpił, lub tym podobnie. Długośmy mówili o tem. Wołodkowicz ręczył, iż nie było jeszcze nigdy przykładu, aby Książę co tak wziął do serca.

Uważałem, że mój towarzysz do zbytku sobie ufał; wyjechał z Nieświeża z tą pewnością, iż Wojźbuna nie w ten to inny sposób weźmie; ale gdym ja począł wątpić, i on jakoś zmilkł z przechwałkami. Teraz i jemu się już to coraz mniej łatwem wydawało.

Burza się nie ustatkowała aż pod noc. Mieliśmy przed sobą lasy same i piachy straszne, po których noga za nogą wlec się było potrzeba; jednakże Wołodkowicz podnocoawszy, konie drugi raz napoiwszy, gdy burza ustała, przed świtem ruszyć kazał. Tak drzemiały dowlekliśmy się do Ostrej Bramy, gdy się godzinki poczynaly. Tuśmy się wysiedli pomodlić. Ludzi było niewiele, przede mną tylko klęczała kobieta w żałobie grubej, młoda jeszcze, której twarzy dojrzeć nie mogłem, ale piękna figura pańska i jakaś szlachetność w niej, kazała się domyślać bodaj jakiej księżnej i n c o g n i t o. Gdy śpiewanie się skończyło, a kobieta wstała i obróciła się ku nam chcąc odejść, poznałem w niej Wojźbunównę.

Zimno mi się zrobiło, gdy mnie oczyma zmierzyła. Coś w niej takiego było, jakby z grobu na pomstę wstała i do żywych nie należała; piękności nie utraciła, ale owa młodość i wesele, jakimi czarowała dawniej, ustąpiły jakiejś takiej powadze uroczystej, że mi się zdała niby męczennicą, z pierwszych wieków chrześcijaństwa, o których w Żywotach Skargi czytywałem. Miała na sobie majestat boleści, a dla chrześcian przez boleść odkupionych, jest on na ziemi największym z majestatów i ma w sobie potęgę wielką.

Caluteńka była w czerni i zasłonie czarnej, przy której twarz gdyby marmur błyszczała. Ażem się cofnął, a Wołodkowicz też ją poznawszy zżymnął się, jakby upiora mściwego zobaczył. Może być, że i ona sobie jego twarz przypomniwała, gdyż ujrzelśmy ją w tył się cofającą, jakby na węża nadeptała, i co miała iść podle nas, obeszła z daleka, nawet oczu już na nas nie podniósłszy.

Gdyśmy i my wstali, pieszo za bryczką idąc do Bernar-

dynów, bo Wołodkowicz w żadnej gospodzie, dla pieniędzy, które wieźliśmy, stawać nie chciał, rzekłem do niego:

— A co? zły o m e n, twarz Wojszczanki i jej strój nic mi dobrego nie wróżą.

Wołodkowicz udał, że fantazji nie traci, ale naprawdę i on już mniej sobie ufał.

Poszliśmy tedy do klasztoru, gdzie nas ojcowie, jak nie można lepiej, przyjęli. Szkatułkę zaraz hajducy odnieśli do Gwardyana, a my umywszy się i przyodziawszy, ruszyliśmy na zwiady.

Na przyjaciółach Radziwiłłom w Wilnie nie zbywało, co krok tu było wspomnienie ich zapisane, a ludzi im oddanych i klientów domu ćma nieprzeliczona. Poszliśmy naprzód do Kardynalii, gdzie Księżę kazał widzieć się i radzić z niejakim Harkiewiczem. Była to na pozór mała figura, ale przez niego się wielkie rzeczy robiły. Harkiewicza tytułowano Pisarzowiczem, bo choć był stary i siwy, własnego tytułu żadnego nie miał. U Radziwiłłów też ani plenipotentem, ani prawnikiem, ani żadnym oficjalistą nie był. Dawano mu od niepamiętnych czasów mieszkanie na tyłach w Kardynalii ¹⁾, i z kasy rocznie, tytułem gratyfikacji wypłacano złotych tysiąc. Harkiewicza, choć na pozór nic nie znaczył, obawiali się wszyscy jak ognia. Ktoby nań patrzył, wziąłby go za najniewinniejszego w świecie człowieka, zdawało się, że nigdy nic nie robił i na nic się nie oglądał, a wiedział wszystko.

Z rana szedł naprzeciwko do kościoła św. Jana na pry-

¹⁾ Kamienica w Wilnie, nosząca nazwę od kardynała ks. Jerzego Radziwiłła.

maryę każdego dnia, nie chybiając nigdy, zawsze jednakowo ubrany; kontusz niezmiernie długi po kostki, szabelka mała, czapka bardzo wysoka pikowana i stercząca, wąsik, jak sznureczek, twarzy pół łokcia, gęba szeroka, zamknięta i zaciśnięta, jakby go przez pysk płatnął i zaszył. Z kościoła zaraz w prawo do garkuchni szedł na piwo grzane ze śmietaną, bo kawy nie lubił; polewkę przełknawszy, ulicą wprost przed Ratusz na Imbary, i tu słońce, czy pogoda, spacerował. Gdy lato, w sieni ratuszowej szukał sobie schronienia.

Obiad zawsze jadł u przyjaciela, niejakiego Hanusza, który był urzędnikiem przy magistracie; poczem odbywał już do późnego wieczora pielgrzymki niby bez celu, po ulicy niewielkiej, od sklepu do sklepu, z każdym się wdając w gawędkę, około zamku, po kanoniach itp.

Znali go w Wilnie wszyscy jak zły szeląg, ale nikomu on tam nie szkodził, nikt doń zęba nie miał, oprócz sług Radziwiłłowskich, na których miał baczne oko.

Gdy od niego list przyszedł, było to znakiem, że się coś stać musiało ważnego, bo pisywać nie lubił, i będąc zmuszony, gryzmolił jak kura, że trudno było odczytać a trudniej zrozumieć. Miał taki sposób wyrażania się zagadkowy, że trzeba się z nim było znać, aby dociec, co chciał powiedzieć. Najczęściej w liście samym nie było nic, dopiero w przypisku stała enigma¹⁾.

Harkiewiczza, dopytawszy na tyłach jego mieszkania, nie zastaliśmy, a całe drzwi były zapisane kredą nazwiskami osób, co nas poprzedziły. Kawałek kredki na ten cel ucze-

¹⁾ Zagadka.

piony był na sznurku. Musieliśmy iść go szukać pod Ratusz, na Imbary. Po pikowej czapce wysokiej Wołodkowicz go poznał w tłumie. Zbliżył się.

— Czołem, czołem! zkądże Bóg niesie?

— Z Nieświeża.

— A Księżę?

— Zdrow, kłaniać się każe!...

Wołodkowicz się doń zbliżył i począł mu coś do ucha szeptać, na co on nic nie odpowiedziawszy, zapatrzył się na stragan przekupki blisko stojący.

— Niechno pan zobaczy — zawołał wskazując na sznurku figi — jakie to u nas w Wilnie przedziwne owoce włoskie sprzedają, warto im gęby dać... takich w Nieświeżu nie dostanie.

Znając dziwaka, Wołodkowicz się roześmiał.

— My tu, panie Pisarzowiczu, nie potośmy przyjechali.

— Wiem, wiem, na kolduny! no i to się znajdzie.

Popatrzałiśmy nań — stał, głową przerzucając na wszystkie strony.

— Czy uwierzycie państwo — zawołał jakie to dziś czasy nastały! Ludzie zgłupieli zupełnie. Wczoraj na moje oczy widziałem Łazarowicza, któremu burmistrz Hendrych dał w ucho, ale z lekka, jak on za to pięćdziesiąt czątych.¹⁾ odmówił. Pieniądzy jak plewy.

Tymczasem szliśmy dalej. Wołodkowicz począł rozpytywać o domek na Zarzeczu, w którym Wojskiego szukać trzeba było.

¹⁾ Dukatów.

— Ino na dach patrzcie, — rzekł Harkiewicz — gdzie dudki siedzą, tam ich pewno znajdziecie.

Nie było sposobu dopytać nic, a tu czas upływał.

— Kazał nam Ksiązę się z panem poradzić — zakończył mój towarzysz — cóż nam radzicie?

— Hm? co ja radzę? — odparł Pisarzowicz. Gdyby Ksiązę się mnie był spytał o radę, temu pół roku, możebym ją był znalazł; teraz, ta kieszeń, w której nosilem rady, przedarła się i wszystkiem pogubił po bruku.

— Wiesz co, — odezwał się do Wołodkowicza wskazując — jeżeli chcesz, poradzimy się indyczki.

Indyczką zwano przekupkę siadującą z różnemi rupieciami na Imbarach. Wyglądało to na żarty, ale Harkiewicza znosić trzeba było wszystko. Wziął pod bok Wołodkowicza i poprowadził go do przekupki.

— Jejmość! Sławetna pani Pawłowo — zawołał — przyszliśmy do niej po radę.

Indyczka się wzięła w boki i patrzyła na nas, coraz to nosem pociągając, bo chustki znać zapomniała w domu?

— O cóż to Jasnym panom chodzi? — spytała.

— Jeden mój znajomy sumienie sobie okaleczył — rzekł Harkiewicz — co tu na to robić? Przykładaliśmy plaster złoty, nic nie pomaga: co gorzej, kalecząc siebie, drasnął i czyjegoś honoru... Tamten sobie nic przykładać nie daje.

— Hm? Co waćpan mącisz, płaczesz po swojemu, panie Pisarzowicz! — krzyknęła przekupka — daj ty mi święty pokój z sumieniem, i ustąp się, bo ludziom łokieć¹⁾ mój zasłaniasz.

¹⁾ Prawdopodobnie omyłka drukarska, zamiast „łotek“, prow. — „stragan“.

— Widzisz asindziej — dodał Pisarzowicz — kiedy pani Pawłowa rady dać nie umie, cóż ja dopiero, będąc sto razy od niej głupszy! Ona ma kamienicę na Łotoczku, a ja na komornym siedzę w Kardynalii.

Mieliśmy już odchodzić, gdy Harkiewicz wziął Wołodkowicza pod rękę.

— Chcesz rady? idź, zjedz flaków z imbirem, napij się dobrego wina, przejdź się po zamkowej górze, wykup się w Wilii, konie popaś, piernika kup na gościniec i wracaj do Nieświeża, a mnie do nóg Księcia Jegomości racz złożyć.

To mówiąc odszedł.

Myśleliśmy, że pół waryata — i nie oglądając się, poszliśmy na Zarzecze ¹⁾.

Wojski mieszkał u krewnych, w nędznym dworku starym, pokrzywionym i brudnym. Ledwieśmy się do niego dopytali. Wojźbunowie stali na pięterku nizkiem, do którego się po wschodkach licznych w ciemnościach drapać było potrzeba. Zapukaliśmy do drzwi, i Wołodkowicz nie czekając pozwolenia i nie pytając wszedł. Stary leżał w łóżku, ale ubrany, nikt go przy nim nie było. Obok na stoliku książka od nabożeństwa, a na niej różaniec kapucyński. Ręce miał pod głowę założone, twarz wybladła i pozapadana, po skroniach żyły jak sznury. Dość nań było spojrzeć, aby ochota odeszła od konwersowania.

Spojrzał na nas długo, i poznawszy znać kłaniającego mu się Wołodkowicza, wstał szparko, jakby go sprężyna pod-

¹⁾ Dzielnica Wilna za rzeką Wilenką.

niosła, zadygotał, siadł rękami się wspierając obiema na łóżku.

— Czego ty tu chcesz? czego? czego? — zakrzyczał — pokoju mi i tu jeszcze nie dajecie? wy, Radziwiłłowscy słuzalce! Znam was wszystkich, na twarzy wam wypisano, żeście się ludźmi być wyrzekli, wiem z czem przychodzicie! Tyś Wołdkowicz przyjaciel od serca tego miecznika, który ani serca nie ma, ni sumienia. Imię nosisz szlacheckie, pocziwe, a lokajską pełnisz służbę. Czego chcesz? co ci twój pan kazał powiedzieć??

Wołdkowiczowi krew twarz zalała.

— Panie Wojski — rzekł jękając się — i wiekowi pańskiemu i żalowi się przebacza obrażające wyrazy. Służę Radziwiłłowi nie dla chleba, ale dla przyjaźni. Posłuchaj pan: Książę chwilowej krewkości swej żałuje. Każdy człowiek uledez może gorączce i zapamiętaniu. Bóg raczy wiedzieć, czyście go sami do tego nie doprowadzili. Aleć wszelki żal i gniew ma miarę i granice.

— Są takie żale, którym miary nie ma — odrzekł Wojski wzdychając. — Spokoju u was tylko proszę, więcej nic. Dajcie mi pokój! zapomnijcie o mnie! Uciekłem od waszej bandy aż tu, a i tu mnie ścigacie, ludzie bez sumienia, ludzie bez litości!

— Panie Wojski — przerwał Wołdkowicz — ja posłem tylko jestem, posłów ni wieszają, ni ścinają, książę Miecznik...

— Nie wspominaj mi go! Czego to zwierzę dzikie chce ode mnie? Niech będzie spokojny! Nie pozwę go przed ludzi, wiem to dobrze, iż Wojźbun z Radziwiłłem, choćby najświętszą miał sprawę, to jej nie wygra.. Nie potrzebuję od niego

nic. Powiedźcie mu jeszcze raz wy, co mu już musieli ode mnie mówić drudzy, co powtarzam zawsze; Ja, Wojźbun, pozrywam go przed trybunał Wszechmocnego i Sprawiedliwego Boga, za krzywdę moją! Na ziemi z nim i do niego nie mam nic, rozprawimy się gdzie indziej. Jest Bóg! jest Bóg! — dokończył ręce podnosząc ku niebu.

Wołodkowicz przejęty chwilę zmilczał.

— Panie Wojski — dodał opamiętawszy się — ja przynoszę panu od Księcia przyznanie się do winy, w imieniu jego proszę was o przebaczenie. Nie ma grzechu, którego by skrucha nie zmazała.

— Ale są takie, za które całe życie pokuty nie starczy — przerwał Wojski. — Sprawy tej ani on, ani ja, ani ludzie sądzić nie będą, ale Pan Bóg!

I powtórzył z wyrazem takim, że mnie dreszcze przeszły:

— Jest Bóg! jest Bóg!

Wołodkowicz pomieszany, już nie wiedział z jakiej beczki zacząć.

— Panie Wojski — odezwał się obcesowo — nie ma tu co długo rozprawiać. Za szkody zrządzone w Rabce, za spalony dwór i zabudowania, Księżę przysyła przeze mnie piętnaście tysięcy czerwonych złotych.

Usłyszawszy to Wojski, w furii, zerwał się z pięściami ściśniętymi z łóżka, i począł rękami rzucać.

— Pieniędźmi, pieniądze! chce mi płacić ten krezus obrzydły! — zakrzyczał — u was się wszystko na dukaty redukuje; cześć, pocziwość, rany, lzy, spokój, wstyd, honor, wszystko! Znikczemnieli magnaci nauczyli was wszystko sprzedawać i za wszystko sprzedawać i za wszystko brać pieniądze, alem

ja jeszcze się rodził, gdyśmy inni byli — i pokazał nam drzwi.

— Precz!

Wołodkowicz stał cały w potach, a co się ze mną działo przez ten czas, nie wypowiem, krew mnie ogniem w twarz piekła. Gdyśmy się z miejsca nie ruszali, Wojski podniósł głowę i powtórzył nakazująco:

— Wynoście się ichmość, proszę, tu nie karczma, za drzwi! za drzwi!

— Panie Wojski — zawołał Wołodkowicz — na miłość Bożą was zaklinam, ochłońcie z gniewu, dla miłości Chrystusa przebaczcie.

— Nigdy! — rzekł Wojski ponuro — nigdy! Moje rany i krew moją przebaczyłem dawno, ale sromu imieniowi memu zadanego, ale ohydneho gwałtu, porwania mojego dziecięcia, nigdy, przenigdy! Gdy konać będę, a ksiądz mi nakaze przebaczenie dla zbawienia, zbawienia się wyrzeknę a nie daruję, bo nie mogę! bo gdybym rzekł: przebaczam, skłamałbym, a Bóg widzi serce moje! Nie! Wyzywam go na Sąd Boży, bo na ziemi dla mnie nigdzie sprawiedliwości nie ma. Ząb za ząb, dziecko za dziecko. Zejdzie bezdzietny, powiedz mu to, jeśli ty sumienie masz Wołodkowicz: pozywam go na sąd Boży!

Mówił już i powtarzał jedno, jak nieprzytomny, a ręką wskazywał na drzwi...

Wołodkowicz uparty ani się ruszył. Włem drzwi, zaraz przy łóżku będące od drugiej izdebki, otworzyły się i weszła Wojźbunówna w czerni, taka, jakeśmy ją widzieli u Ostrej Bramy, a może straszniejsza jeszcze. Patrzyć na nią nie było

podobna, takim splendorem żałoby i rozpaczcy była okryta; takim, że gdyby z nim wyszła przed trybunał złożony bodaj z samych Radziwiłłów, osądziliby za nią, a potępili Miecznika.

Nie potrzebowała słów, by się skarżyć, dosyć jej stanąć było i okazać się. Oczy miała zapadłe, wyplakane, twarz blada, usta sine, brwi ściągnięte. Ubrana jakby po zakonnemu, wyszła przez drzwiczki uchylając głowę, potem podniosła się, wyprostowała, ręce założyła na piersi i stanęła, śmiało patrząc na Wołodkowicza, który się kroków parę cofnął.

— Nie dręczcież ojca mojego — rzekła głosem, w którym jakby łzy czuć było — nie dosyć wam tego coście na dom i głowy nasze zanieśli? Czy chcecie go dobić? mnie dobić, aby występku śladu nie zostało? Nie mogąc szablami, dorzyniecie nas słowami i wstydem. Gdzie uciec od was? dokąd się schronić? Już na tej ziemi kąta spokojnego nie mamy.

I odwróciła się ku ojcu, który stojąc blady, drżał.

— Idźmy my ztąd — dodała — gdy ich się pozbyć nie można.

Wojskiemu znowu się ręka podniosła i wskazywał na drzwi. Spojrzeliśmy na siebie, nie było tu co dłużej popasać; skłonił się Wołodkowicz zły i kwaśny, poszliśmy. Obu nam pot zimny ciekł z czoła; kawał uszliśmy Zarzeczem, nim słowo się z ust dobyło.

— Cóżem miał czynić? — wybuchnął wreszcie Wołodkowicz. Byłeś świadkiem. Z nimi żadnej rady nie ma. Daremna rzecz! złe się stało, zapomnieć o tem potrzeba; póki oni sami nie ochłoną i refleksja im nie przyjdzie lepsza.

Uszliśmy zaledwie kilka kroków, gdy patrzymy, stoi w pikowanej czapce Harkiewicz, jakby na nas czekał.

— Piękny dzień, mocpanieńku—zawołał z dala — chodziście pewnie do łaźni? Na Zarzeczu dawniej łaźnie były sławne i postrzygaczów dużo mieszkało.

Nie było mu co odpowiadać, przyłączył się do nas, a po chwili zapytał Wołodkowicza:

Domyślam się, że musieliście z sobą przywieźć złoty plaster, o którym nie wiem czy ja mówiłem, czy Indyczka, ale mniejsza o to... Jakiej on jest wielkości czy nakryje całą ranę?

Nam już było tak markotno, że Wołodkowicz bez ogródki odpowiedział:

— Mam z sobą piętnaście tysięcy czerwonych złotych.

Harkiewicz się za głowę pochwycił, a bardziej za czapkę.

— Jezusie Nazareński — zawołał — ileby to pocziwej szlachty i szlachcianek za te pieniądze kupić można!

Szliśmy milczący.

— Wiesz asindziej co? — dodał Harkiewicz — jest tutaj niejaki Dulemba, biedne, pocziwe chłopczysko, któremu jedna panna odmawia swej ręki pod tym pozorem, że się jej raz niedźwiedź dotknął. Co ona temu winna, co on temu winien, tego ja nie wiem. Niedźwiedź poszedł w las i po barciach miód sobie wydziera. Gdyby tego Dulembę skaptować, możeby się na co zdało.

— Ani mnie, ani Wołodkowiczowi nie trafiło do przekonania, ale nie sprzeciwialiśmy się i poszli do Bernardynów na obiad. Z tej aprehensji, jakiejśmy doznali, ani on, ani ja nie tknęliśmy nic. Postawił przed nami Gwardyan gąsior wina,

tylko tylko żeśmy podchmielili ze smutku. Wołodkowicz zamiast szukać Dulembi, do którego nie wiedzieć jak było przystąpić, wziął na rozum i po stole poszedł do Gwardyana, przed którym całą sprawę mógł wypowiedać, a nie była też ona tajemnicą. Począł go prosić, czyby on, jako osoba duchowna, nie mógł pośredniczyć do zgody.

Biał już to na siebie sam, jeśliby się księdzu ta interwencja udała, że mu przyrzekł pięćdziesiąt fur legominy ¹⁾ w jesieni i dwadzieścia pięć baranów.

Gwardyan podjął się zrazu ochotnie bardzo, zawinął się wnet i poleciał. Myśmy tymczasem na miasto poszli, do znajomych, na ogłędziny.

Odbывał się właśnie jarmark Ś.-Jerski, można było różnych rzeczy dostać; więcemy się po budach włóczyli, a potem po mieście, co krok znajomych spotykając, z Lidzkiego szczególnie, i co krok: — Jak się masz? Co ty tu robisz? Góra z górą! — Natrafiliśmy tu i na Szylejkę, który przyjechał za pokupkami do domu, a na prawdę, żeby się rozerwać, bo oprócz trochy szafranu, migdałów i rodzenków i kandyzowanego cukru, więcej podobno nic nie zawiózł na Sierzputowszczyznę. Szylejko całą sprawę znał, z Dulembami był dobrze, przyszło mi na myśl przez niego spróbować z młodym się zetknąć. Szylejko przyrzekł go przysposobić, ale zapowiedział, iż pono nic z tego nie skorzystamy, bo Dulembie panna już drzwi zamykała, widzieć go nie chce nawet, i zapowiedziała mu, że ani za niego, ani za nikogo

¹⁾ Jarzyn i kaszy.

w świecie za mąż iść nie chce. Dulemba lamentował, rozbił się, pod oknami próżno błądził.

Przyrzekł mi Szylejko, że nas jakoś sprowadzi, bośmy jemu pomagać byli gotowi, byle on nas wspierał nawzajem. Wołodkowicza już korciło nazad do klasztoru i niedługo zabawiwszy kopnęliśmy się oba, Furtjanaśmy spytali, czy już Gwardyan powrócił? Odpowiedział, że jeszcze nie. Im dłużej bawił, tem dla nas lepsza zwiastowała się nadzieja. Chodziłszymy oczekując na niego, i różnym świętym obrazom ponad drzwiami cel się przypatrując. Już nieszpory się skończyły, gdy nareszcie chód dał się słyszeć i nasz poseł się pokazał; ale z miny zaraz widać było, iż nic nam dobrego nie przynosił z sobą. Otworzył drzwi celi milcząc, weszliśmy za nim, spuścił kaptur, dobył chustki z rękawa, czoło otarł, westchnął.

— Przepadła legomina i barany! — zawołał — nic nie zrobiłem!

I ręce rozpostarł.

— Bóg widzi, szło mi o łaskę książęcą więcej niż o jałmużnę, przemawiałem rzewnie do ojca i do córki (tarł znowu pot kroplisty z czoła). Kamienni ludzie, powiadam wam, kamienni! Nagryzłem się, namęczyłem, nahuczałem, darmo...

Cóż więc pytać było?

Nazajutrz przyszło skosztować Dulemby: pocziwy chłopiec spił się z nami i spłakał. Wołodkowicz mu się zaklął, że panna oprócz tego, iż ją gwałtem porwano... i na ludzkie narażono języki, nie miała Księciu nic do wyrzucenia, bo ją szanował. Zal było Dulembie i jej, i tych piętnastu tysięcy, ale próżno próbował, zaklinał, prosił; dano mu odprawę. Staliśmy dwa dni czekając i nim się posługując. Wreszcie

u panny dostał audiencję, ale po to tylko, aby mu zaprzysięgła, iż niczyją nie będzie.

— W lat dwadzieścia — rzekła mu — ludzie by mogli dzieciom naszym przypominać, iż ich matka porwaną była przez dzikiego magnata i w jego mocy zostawała. Niech pamięć tego nieszczęścia na nikogo nie spada, niech ona ginie ze mną.

Tak się nasza niefortunna podróż skończyła, i zyskaliśmy na niej tylko tyle, żeśmy pannom nieświeskim pierników przywieźli z jarmarku.

Wołodkowicz jak do Wilna pędził, tak potem do Nieświeża na raku laź; nie pilno mu było, jak to mówią po prostu: — kpa oberwać — a tego był pewnym.

Droga, choć w najśliczniejszy czas wiosenny, zeszła nam smutnie i nudno. Przybywszy do Nieświeża, jeszcześmy z bryczki zsiść nie mieli czasu, gdy Księżę przysłał dworzannina, aby Wołodkowicz, jak stał do niego śpieszył. Jam do stacji poszedł, nie mając po co iść na burę.

Wieczorem Księżę się nie pokazał, mój towarzysz chodził milczący, węża pokręcając i w sufit patrząc. Dowiedziałem się tylko od niego, że księżę kazał te piętnaście tysięcy złożyć w depozycie u Bernardynów, a Wojskiemu przez plenipotententa oznajmić, iż one tam leżeć będą, aby je zabrał kiedykolwiek zechce.

Lecz upłynęło pono lat pięć, czy więcej, gdy Księciu przyszło w kontrakty płacić komuś, a pod ręką naówczas nie było pieniędzy; wypadkiem sobie przypomniało te piętnaście tysięcy. Kazano zapytać, czy jeszcze były? Bernardyni odpowiedzieli, że się o nie nikt nie zgłaszał.

Doszło do Księcia, iż go stary Wojźbun pozywał przed trybunał Boży i przeklinał na bezdzietność; z początku jeszcze nie brał tego tak do serca, potem coraz więcej. Po pierwszym ożenieniu Księcia, które się nie powiodło, jak wiadomo, począł Wojźbunównę przypominać i przed swoimi zaręczał, że mu ona z pamięci nigdy na chwilę nie wychodziła. Sam będąc z poufalsymi, często wzdychał i powtarzał:

— Nie ma dla mnie, nie było i nie będzie kobiety jak ta jedna. Małom ją widział, krótko znałem, a w sercu mi się zapisała, iż jej wyrugować nie mogę.

W ciągu następnych lat znacznie się Księżę usatkwował i spoważniał, hulanki w Nieświeżu coraz były rzadsze.

Zdawało się, że czas zatrze wspomnienie tej nieszczęśliwej godziny, lecz wszyscy to zważali, iż księciu się tęskniło bez żony, a amory mu wszelkie tylko dysgust sprawiały.

WRabce Czerwonej przez lat kilka nikogo nie było oprócz dzierżawcy, który ją na nowo odbudowywał. Później dowiedzieliśmy się, iż Wojski z córką powrócił na wieś. Księciu także zaraz o tem doniesiono. Zyli Wojźbunowie tak zamknięci, iż Wojski stary, który się ledwie włóczył o kiju, umyślnie za dworem małą kapliczkę w brzezince pobudować kazał, ażeby do kościoła jeździć nie potrzebował. W domu u siebie żywego ducha nie przyjmowali, sami też ani za wrota nie wychodzili. Nikt ich nie widywał, oprócz włościan i jednego oficjalisty. O pannie mówiono tylko, iż jak wdziła żalobę zaraz po wypadku, tak jej już nie zrzuciła i nosiła się zawsze czarno a w kirze, w sukni jakby zakonnej, z paciorkami u pasa. Tego co opowiem, sam też świadkiem byłem, nie od ludzi się dowiedział — ciągnął dalej Wiśniow-

ski — więc mogę poprzysiąc sumiennie, iż tak było a nie inaczej. Może gdyby mi to kto mówił, niespełna bym dał wiarę, ale oczom i uszom własnym, jakże jej odmówić??

Przez te lata, Księżę coraz jakoś na mnie łaskawszym był, a że się przekonał, iż milczeć umiałem a byłem doń szczerze przywiązany, zwierzał mi się często takich rzeczy, o których i najbliżsi nie wiedzieli; kochał ich, ale paplaniny się obawiał, o mnie zaś wiedział, że jak mi palec na ustach położył, milczałem jak grób.

Dobrych lat kilka upłynęło od owego najścia na Rabkę Czerwoną, gdy Księżę jesienią z małym pocztem wybrał się w te same lasy na polowanie. Kazał mi jechać z sobą, szlachty też było dosyć, a strzelców z fuzjami, sznurkami powiazanymi nie brakło. Wieczorem jakoś, w sobotę, gdyśmy już po polowaniu odpoczywali, na którym nikt z nas w oczy zwierza nie widział, i na śmiech jeden ubił wiewiórkę, Księżę mnie kazał zawołać do namiotu, pod którym, kompanii się pozbywszy, siedział sam jeden.

Zastalem go ubranym, ale nie tak jak do łowów: szabla u boku, kontusz, żupan, twarz miał jakąś poruszoną niespokojną.

— Wiśniowski — rzekł, zobaczywszy mnie podnoszącego płótek i wchodzącego do izby — szykujno się, pojedziesz ze mną.

— Dokąd, Mości Księżę?

— A zaraz: dokąd? co tobie do tego, panie kochanku, pojedziesz ze mną, to dosyć; odziej się przystojnie, żebyś Radziwiłłowi wstydu nie zrobił. W odwiedziny jedziemy, ty i ja, samowtór. Konie już kazałem wyprowadzić za bór, aby

nas odjeżdżających nie spostrzeżono, bo nie potrzeba... Znajdziesz mnie za Męką Pańską, na drodze. Tylko żwawo panie kochanku.

Poszedłem duchem się przeodziać, choć nie bardzo było w co, i pobiegłem wnet, ani się domyślając dokąd i po co jedziemy. Gdym klusem zdyszany, pod Bożą Mękę dopadł, Książę już na koniu siedział. Obejrzał się tylko na mnie, i nimem się strzeżenia uczepił, pokłusował już polem.

Dopędziłem go o staję. Jechaliśmy bez drogi. Konia parę razy popędził Książę i poczęliśmy biec wyciągniętego, nie patrząc czy rów czy dół, czy miedza; to już końska była sprawa dawać sobie z tym radę. Ani słowa do mnie nie zagadał, jam też nie śmiał. Jechaliśmy długo, poczęło się powoli zmierzchać. Okolicę doskonale znałem: zmiarkowałem zaraz, że ku Rabce jedziemy, i zrobiło mi się zarazem straszno i przykro.

Po kiego licha budzić takie wspomnienia, kiedy to już przyszło i przebolało?

Wtem i Rabka nowa się pokazała. Książę prościuteńko się na dwór kierował. Oczom nie chciałem wierzyć, myśląc tylko, co to z tego będzie?

Podjechaliśmy pod wrota, stał chłop koło nich. Książę słowa nie mówiąc zsiadł przed bramą, na mnie skinął, jam też zeskoczył, oddaliśmy chłopu konie, a sami po cichu weszli boczną furką w podwórze.

Tu nikogo nie było, cicho, sroki siedziały na płocie, kilka gęsi piło w kałuży koło studni. We dworze w jednym oknie już się świeciło. Okiennice jeszcze nie były pozamykane, więcemy nawet widzieć mogli, co się wewnątrz działo. Siedział

na krzesle Wojski przed kominem, a córka tak samo ubrana jakieśny ją w Wilnie widzieli, w czerni cała, stała przy nim sparta na poręczy. Książę popatrzał, rozmyślać się zdawał jeszcze, widziałem jak się przeżegnał i ku sieni postąpił.

Mnie, rad byłem czy nie, cofnąć się nie było sposobu. Zapukawszy zaledwie z lekka do drzwi, Książę otworzył je i wszedł, kolpak zdejmując z głowy.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Oczy Wojskiego i córki podniosły się nań, i osłupieli

Na twarzach ich bladość trupa postrzegłem i przerażenie; Wojżbunówna drgnęła i na tył się pochyliła nieco, jakby oczom wierzyć nie chciała. Wojski nie mogąc wstać, niepokojnemi rękoma chwycił za poręczę.

Milczenie trwało minut parę, Książę u progu stał, patrząc na pannę, z wyrazem błagającym o litość, prawie z pokorą, choć to cnota była nie Radziwiłłowska.

— Mości Wojski — począł powoli — masz bezbronnego winowajcę przed sobą. Przyszedłem tu samowtór, abyś się na mnie pomścił jako chcesz, a winę mi darował. Byłem prawda szalonym panie kochanku, ale widzicie, że za szaleństwo pokutować umiem. Nie darmo tu u waszego proga stoję; wiem, że popełnionej krzywdy inaczej nagrodzić nie mogę jak... prosząc o rękę panny Felicji... i ot ja, Radziwiłł, panie kochanku, uniżam się przed Waćpanem, żądając abyś mnie przyjął za zięcia.

Wyrzekłszy te słowa, Książę odetchnął, jakby mu wielki ciężar spadł z serca, patrzył i czekał.

Wojski milczał jak przybity, uszom nie wierząc. Jam się wpatrzył w pannę, której bladość powoli ustępowała, kolory

jej powracały, oczy się zaczynały iskrzyć; cofnęła się krok w tył rzuciwszy ramionami. Ojciec popatrzał, jakby na nią odpowiedzieć zdawał. Oczywiście, nic nie mówiąc, musieli się rozumieć z sobą; aż Wojski począł:

— Wielki honor dla mojego domu, wielka to cześć zaprawdę, po sromocie wielkiej, ale w tej sprawie ja nie rozstrzygam.

Wskazał ręką na córkę.

— Mów ty.

Felicji oczy zapalały.

— Jaby miała rękę oddać temu co mi cześć odjął — zawołała — nigdy! W sercu zamiast poszanowania i miłości, mam wzgardę i nienawiść, która w nie wrosła, której nigdy wyrwać nie potrafię. Nie żoną bym była, ale nieprzyjacielem domowym i mścicielem honoru mojego. Nie nigdy! Za późno, Mości Książę, dziś to wygląda na uragowisko.

— Bóg mi świadek, panie kochanku — zawołał Książę — mówię szczerze przybyłem tu jako skruszony pokutnik. Obraz Waćpanny pokoju mi nie dając, ścigał mnie ciągle, w sumieniu go moim nosilem... Kocham pannę Felicję.

Wojszczanka okiem mściwym i gniewnym rzuciła na Księcia, wzruszyła ramionami i chciała nic nie mówiąc wyjść. Wojski, który znać też pozostać nie chciał, wyciągnął ku niej rękę, bo już bez podpory i pomocy chodzić nie mógł. Zbliżyła się więc do niego, aby się spaść na jej ramieniu.

Widząc, że oboje z izby chcą przed nim uchodzić, Książę się zmieszał i począł wołać:

— Panie Wojski! na miłosierdzie Boże, na rany Pańskie was zaklinam, panno Felicjo, miejcież acaństwo litość nade

mną, ażeby ją Bóg miał nad wami. Nie chcecie mnie, odpychacie, znoszę afront ten jako zasłużony, choć go nigdy żaden z moich antenatów nie doznał, gdy się o panującej krwi książniczki starali; ale powiedzcież mi przynajmniej, że mi przebaczą. O przebaczenie prosi Radziwiłł!

Wojski nie miał czasu ust otworzyć, gdy się Wojżbunówna odwróciła.

— Mości Książę, nie do nas, ale do Pana Boga iść trzeba o przebaczenie. Za sponiewierane życie ludzkie i cześć należy pokuta. Cierp W Mość jak my cierpieliśmy i cierpiemy. Widzisz żalobę, którą mnie okryłeś na całe życie; noś ją także, niech ci sumienie dojada jak mnie srom gniece; niech ci Bóg przebaczy, ja nie mogę...

Zwróciła się doń żywo:

— Chybabym cię konającym widziała! — dodała, może bez myśli.

Tym słowem rzuciwszy mu w oczy, wyszła, ojca drżącego prowadząc z sobą. Zostaliśmy sami w pustej izbie.

Książę stał chwilę jak skamieniały, patrząc to na ogień, to na krzesło puste. Nierychło się opamiętał, ręką potarł po czołe, kołpak był mu na ziemię upadł, podniosłem go i podałem. Machinalnie zgniótł w rękę, obejrzał się, odetchnął i wyszliśmy na podwórze.

Ciemno było i cicho. Książę, który podówczas w sile wieku był i nie zachwiał się nigdy, ledwie się na nogach trzymał; omackiem wysunęliśmy się z sieni, nie mówił ani słowa do mnie, powoli ku bramieśmy się skierowali, ja za nim. Jużśmy dochodzili do niej, gdy głowę do mnie zwrócił i rzekł sucho ale porywczo:

— Ani słowa o tem, rozumiesz, panie kochanku, milczeć.

Za furta stróż stał z końmi w ręku, Księżę sięgnął do kieszeni, wyjął garścią nie patrząc co i ile, i rzucił mu; siedliśmy na konie, i ruszyli z wolna. Obejrzałem się ukradkiem na dworek i oświecone okna, w izbie ani w ganku nikogo widać nie było.

Przez drogę zrazu nic do mnie nie mówił, z głową spuszczoną na piersi jechał, koniowi cugle puściwszy; konie też nas, nie my je prowadziliśmy napowrót.

Gdyśmy na gościniec wydobyli się, odetchnął i zatrzymawszy konia zrównał się ze mną.

— Teraz panie kochanku, jam już nic nie winien: szlachta głupia, wola ich! W sumieniu się czuję wolnym i przekleństwa ich ścigać mnie nie mogą. Czegóż u kaduka więcej jeszcze żądają?? Co ty mówisz?

Ja nie mówiłem nic. Księżę wyzywał.

— Cóż mam powiedzieć? — rzekłem — Jeśli Księżę się czujesz spokojniejszym, Bogu dziękuję.

— Zupełnie spokojnym, panie kochanku. Wiele mnie to kosztowało, alem na sobie wymógł. Dziewka mi się podobiała, ożeniłbym się; mitra Radziwiłłowska dosyć wielka, by wszystko pokryła, nawet ich ladajakie szlachectwo! panie kochanku! Wielka rzecz. Wojźbunowie! pal ich djabli!

Tak się uspakajał i zagadywał mnie razy kilka, choć znać było, że się jeszcze gryzł i nie rad był temu co się stało; powtórzył mi potem, abym milczał. Ciemną nocą dojechaliśmy do obozu. U Bożej Męki postawiony masztelarz oczekiwał na nas, tuśmy zsiadli, konie mu oddali i pieszo poszliśmy do

namiotów; na rozstaniu Księżę jeszcze się zbliżył do mnie, rękę mi położył na ramieniu i rzekł cicho:

— Ani słowa o tem, panie kochanku, nikomu, proszę. Jutro każe, aby ci od S. Wojciecha dożywociem puścili Wiskitki.

Schylilem mu się do kolan, ale nie patrząc już na mnie, do namiotu wszedł i znikł.

Mnie znajomi cały wieczór po obozie szukali, po lesie hukali, myśleli, zem na polowaniu się gdzie obłąkał i w puszczy został. Gdym się pokazał, sypnęli się do mnie z pytaniami, gdzieś był? Aleś się dla miłości Księcia i Wiskitek wyklamał, że na przelaj przeszedłszy pod psy, w lesie błądziłem. Wierzyli czy nie, tak to się zatarło, domyślali się co kto chciał.

Nazajutrz powróciliśmy do Nieświeża. Bóg wie co się Księciu stało: napadła go jakoś w rychle ochota do zabawy wielkiej, do hulanki, udawał tak wesołego, jakeśmy go dawno nie widzieli. Na zamku dzień w dzień prawie assamble¹⁾, bale, fety, koncerta, a co amatorów było pozaczynanych i niepokojonych, zliczyć trudno. Może mu się zdawało, że pamięć tej nieszczęśliwej przygody w sobie zagłuszy, choć w istocie odżywiało ją to tylko więcej.

Nastąpiły w kraju wypadki, które w istocie o wszystkim na świecie zapomnieć by zmusiły, gdyby Księżę sumienia przeciwnego nie miał, które mu nieustannie winę popełnioną przypominało.

Słyszeliśmy go nieraz po winie i w większym ferworze, z tym imieniem Felisi na ustach. Towarzyszyło mu ono w na-

¹⁾ Zabawy towarzyskie.

szem tułactwie po świecie i powróciło z nami do domu. Lata upływały, Księżę ile razy mu co na pamięć Rabkę przywiodło, zżywał się i stękał na myśl o Wojźbunach. Czasem lada słówko przypadkiem wyrzeczone, imię podobne, twarz, naj-
mniejsza okoliczność, nawet polowanie, przypomniało Woj-
szczankę... oczy zaraz spuszczał, i widać było, że się jeszcze
z sobą nie pogodził.

A gdzie już, gdzie za nami były lata naszej młodości!

Trafił się ubogi chłopak jakiś, tyle tylko, że Wojźbuna mający nazwisko, w żadnym nie będący pokrewieństwie z tamtymi: Księżę go na dwór wziął, do wojska promował, jurgielt¹⁾ naznaczył i jak o własnym dziecku pamiętał.

W Rabce zaś, Wojźbunów dawno już ani śladu nie było. Wojski w parę lat po tych naszych nocnych odwiedzinach zmarł; panna Felicja, jak mówiono, folwark zaraz komuś sprzedała i z okolicy się wyniosła bez wieści. Głucho coś mówiono o tem, jakoby do Wilna poszła i do klasztoru wstąpiła.

Gdyśmy po długiej naszej niebytności powrócili do Nie-
świeża, któregośmy się prawie oglądać już nie spodziewali,
drugiego dnia mnie Księżę posłał do Rabki o Wojźbunach
się wywiadywać, gdyż o śmierci starego mówiono ni to ni
owo. Pojechałem do szlachcica co wioskę kupił, ni przypiął
ni przylatał się go czepiając, aby się nieznacznie prawdy
dowiedzieć. Wróciłem z czem pojechałem, bo nowy dziedzic
od plenipotentą nabywszy folwark, o bożym świecie nie wie-
dział. Powtórzył mi tylko, iż od ludzi słyszał, u t f a m a

¹⁾ Płacę.

fert¹⁾), że panna Felicja zaraz po zgonie ojca do klasztoru wstąpiła.

Tylem mu przywiózł, ale to go nie zaspokoilo; powiedział mi, iż da sto czerwonych złotych temu, kto mu się dokładnie dowie, co się z Wojźbunówną stało. Ale to już były stare dzieje, i żeby dwieście książę obiecał, nikt by się na nie niepokusił, chyba kłamstwem, a jabym ich też nie zarobił, gdyby nie przypadek.

Pojechawszy do Wilna za sprawą książęcą, a był czas gorący, skorciło mnie лихо, zmęczonemu, chłodniku dopadłszy, nim się uraczyć. Byłem głodny bardzo i niepomieraniem go użył. Ledwie od miski wstał, poczułem, że mi coś nie dobrze. Wziąłem się do mojego zwykłego lekarstwa, wódki z pieprzem, ale i to już nie pomogło. Rzuciło mnie tegoż dnia w taką opętą febrę, że nazajutrz w malignie ludzi nie poznawał. Chłopcam tylko jednego miał z sobą, i to takiego ślamazarnika, że siadłszy przy mnie, ręce łamał, płakał a rądy żadnej dać nie mógł. Gdy paroksyzm cokolwiek odszedł, nie było innej rady, musiałem się kazać zawieźć do szpitala do Panien Miłosiernych.

Dali mi tam, jako książęcemu słudze, izdebkę osobną, schludną, i tyłkom w niej legł, weszła panna starsza z drugą siostrą obejrzeć mnie, co mi jest i czego mi potrzeba. Poznali zraz, że febra, ale nie dobra. Mnie zaś, mogę powiedzieć, że na chwilę choroba odstąpiła, gdy na pannę przybyła ze starszą popatrzeć. Nie mogłem od niej oczu oderwać, tak mi się coś w jej twarzy przypominało.

¹⁾ Jak pogłoska niesie.

Ale gdzie i jak ja ją widziałem, tegom sobie nie mógł na żaden sposób przywieść do pamięci.

Ona też popatrzała na mnie, jakby jej coś twarz moja mówiła, ale w prędkę zwróciła się do panny starszej, która właśnie dysponowała co mi dać i co ma czynić ze mną.

W kilka godzin po położeniu się w szpitalu, przyszedł drugi piekielny paroksyzm tego febrzyska, a naprzód ziębienie takie, że mi zęby dzwoniły, potem srogi ból głowy i gorączka do nieprzytomności.

Co się naówczas ze mną działo, anim wiedział, aż nazajutrz, gdy osłabiony obudziwszy się, otworzyłem oczy i ową siostrę znowu ujrzałem siedącą przy łóżku mojem.

Wpatrzyłem się w nią, nim spostrzegła, że się przebudziłem, i jakby mnie nagle olśniło, poznałem w niej, zmienioną bardzo, Wojżbunównę.

W istocie ona to była. Wiek na twarzy jej zostawił ślady, ale coś jej z dawnej piękności pozostało. Byłem i pewnym siebie, i wątpilem zarazem; chwilami bym przysiągł, tom się wahał. Po chorobie nie bardzo wierzyłem oczom. Postanowiłem ją wybadać.

Febra też nie ustąpiła zaraz, choć mnie jakąś goryczką okrutną, żółtą, gęstą i brzydką poili ciągle, tylko się po trosze paroksyzmy zmniejszały. Drugiego dnia, gdy mi się ciągle ta Wojżbunówna roiła, ozwałem się do siostry siedzącej przy mnie, pytając jak jej było na imię.

— W zakonie Maria — rzekła i popatrzała na mnie uważnie. — Gdzieś ja waćpana widziałam, ale niepomnę gdzie?

— I nnnie się to zdaje — odparłem — ale gdybyś siostra była tą, którą sądzę, łatwo bym powiedział gdzie i jak, i kie-

dy widzieliśmy się. Mnie się zdaje, jakbym przed sobą miał pannę Felicję Wojzbunównę, córkę Wojskiego z Rabki Czerwonej.

Zarumieniała się, wzdrygnawszy na to imię, zawahała nieco, ale wnet dodała śmiało:

— Tak jest, byłam nią, byłam, ale dziś sługą jestem Bożą i ubogich sługą... w zakonie Maria.

Spuściła oczy, milczeliśmy.

— Nie ma więc już tu co przeszłości przypominać — rzekłem — alem ja pannę Wojszczankę oglądał we dwu godzinach jej życia, których do zgonu nie zapomnę.

Zaczęła drzeć, lzy jej się z oczu potoczyły, porwała za chustkę, ale nie rzekła ani słowa.

— Byłem tego nieszczęsnego wieczora w Rabce, za który Księżę nasz do dziś dnia pokutuje i zapomnieć go nie może. Prawda, żem patrzeć nie chcąc na to co się działo, uszedł z placu. Byłem i tego wieczora, gdy przyszedł sam ze mną prosić o przebaczenie i o rękę waćpanny, a obojga otrzymać nie mógł.

Zdawało się, że siostrze Marii słów zabrakło, lzy się tylko po cichu toczyły na złożone ręce białe. Jam trochę z gorączki, a trochę od serca mówił dalej:

Gdy już Pan Bóg tak zrządził, żem tu siostrę spotkał, bo nie co innego w tym widzę jak wyraźną wolę Bożą, niechże mi się godzi z tego korzystać, i powiedzieć jej, iż Księżę do dziś dnia losem się jej niepokoi. Pan Bóg mi świadkiem, że gdyśmy po tułactwie do domu powrócili, posłał mnie zaraz do Rabki, abym się o państwo dowiadywał, a że tam nic mi

powiedzieć nie umieli, naznaczył nagrodę za to, kto mu pewną przyniesie.

Siostra Maria milczała ciągle ze spuszczonymi siedząc oczyma.

— Wszystko to przeszło — rzekła — zapomniane, pogrzebione. Cierpiałam sama tyle, iż nauczyłam się cierpiącym ulgę przynosić. Widzicie mnie szczęśliwą. Wiedział Bóg co czynił, ciernistą drogą prowadząc mnie ku sobie.

I tak, coraz ciszej mówiąc, szmerem prawie niedosłyszalnym skończyła, a podawszy mi lekarstwo, wyszła zaraz.

W chwilę potem już ją inna siostra zmieniła przy mnie, znać umyślnie, gdyż się lękała, abym jej tych dawnych wspomnień znowu na pamięć nie przywodził. Siostra Waleria była bardzo wesoła staruszka, nad potrzebę rozmówna. Zaczęłam się ją wypytywać o siostrę Marię, jak dawno była w zakonie i czy od nowicjatu w Wilnie poczęła, wzmiankując tylko o tem, iż z naszych stron pochodziła. Zaczęła mi się tedy rozwodzić z wielkimi nad nią pochwałami, jak to była osoba przykładna, pobożna i cnót pełna, że ją w zakonie nad inne powszechnie poważano i szanowano, i że ją po dwakroć panną starszą wybrać chciano, ale przełożenstwa przyjąć nie chciała. Dodała, iż gdy który klasztor porządku potrzebował a pilności, tam ją posyłano, a rzadko długo na którym miejscu pozostać mogła, tak wszędzie pożądana była.

Rozgadała się staruszka, ręce składając a ledwie ją świętą nie czyniąc. Przekonałam się z jej mowy, iż w klasztorze o niczem nie wiedzano.

Febrą ta paskudną dwa tygodnie mnie w szpitalu trzymała, alem już siostry Marii nie zobaczył, pilnowały mnie

inne, aż na odchodnem, uparłem się jej podziękować i pożegnać.

Wyszła więc z infirmerii na korytarz do mnie.

— Jeśli się tam kto w istocie na świecie mną zajmuje — rzekła — jak waćpan twierdzisz, na Chrystusa Pana proszę was i zaklinam, nie powiadajcie wcale o mnie. Niech ludzie zapomną, jakbym już w grobie była.

— Tego ja uczynić nie mogę — odpowiedziałem — gdyż wiadomość ta *privatim* księciu udzielona, nikomu nie może zaszkodzić, siostrze przykrości żadnej uczynić, a klasztorowi korzyść przyniesie.

I takeśmy się rozstali.

Gdym, jak z krzyża zdjęty, powrócił do Nieświeża, zastałem pana naszego w dobrym humorze; począł sobie ze mnie żartować, że się jak baba febrze dał i na łacińską poszedł kuchnię, kiedy mi łącno było, przy pierwszym paroksyzmie pozbyć się tego licha końskim lekarstwem. W Nieświeżu ją tak kurowali, krupnikiem z wódki z imbirem i pieprzem tureckim; bywało że czasem z chorobą i chorego nie stało, ale kto mocny, wytrzymał i wstał zdrów.

Wieczorem widząc go tak w dobrym usposobieniu, gdyśmy sami się zostali, a on mnie począł o Wilno pytać, czy się Kardynalia nie zawałiła, czy Bekieszówki kto do kieszeni schowawszy nie wyniósł, czy się nieboszczykom Radziwiłłom pochowanym u Bernardynów kłaniałem itp., odezwałem się:

— Wszystko to dobrze, Mości Księżę, ale ja u W. Ks. Mości mam dług!

— Ty, u mnie, panie kochanku! a to coś osobliwego! — zawołał — chyba ci za to trzeba zapłacić, żeś u mnie Wiskitki wziął?

— Nie, Mości Książę, ale Radziwiłłowskie słowo dla mnie święte, a jam się dowiedział gdzie Wojźbunówna, i mam sto dukatów.

Rzucił się tedy, i przystąpiwszy do mnie, położył mi ręce obie na ramionach.

— Cóż się ty, panie kochanku, dowiedział?

Dopierom mu wszystko wyśpiewał. Słuchał milczący, kazał sobie jej słowa powtarzać, opisywać jak wyglądała, ale zaraz posmutniał.

— Na imię Wojźbunówny — rzekł — trzeba klasztorowi wyznaczyć zasiłek, dopóki jej życia. Wasan mi to urządzisz, aby ona o tem nie wiedziała, tylko panna starsza. Sto dukatów wysłużyłeś sobie, i to ci, panie kochanku, jutro zapłacić każę, jeśli w kasie pieniądze są, bo ty sam wiesz, że u mnie teraz grosza ze świecą szukać trzeba.

Taką mi historię opowiadał Wiśniowski, dodając jeszcze o Dulembie, iż długo na próżno konkurując o pannę, wreszcie abszyt z wojska wziął i na wsi zakopał się przy starym ojcu. Potem się już nie ożenił wcale. Siedział na wsi i piosenki młode śpiewał powzdychiwając, wierny tej pierwszej miłości, której się nie pozbył nigdy. Księciu o nim doniesiono i radby go sobie był w jaki sposób pozyskał, lecz nie znaleźli na to sposobu.

Nigdy noga jego nie postąpiła w Nieświeżu, a gdy na dro-

dze bywało spotkał się z Księciem, poznawszy po dworze, przesadzał rów i w pole ruszał, żeby na niego nie patrzeć. Książę był z tego markotny w początku, a na ostatek gniewny, ale jedno ni drugie nie pomogło.

*

*

*

Siedzieliśmy z Wiśniowskim do późna przy kieliszkach, bom jeszcze butelczynę u piwniczego wyprosił. Nazajutrz Książę, co pokrzepionym się miał czuć po długim śnie, bo na dzień zasnął, niemal do południa, obudził się słabszym. Finke puls znalazł tak małym, iż się go ledwie domacał. Na obiad rosółu trochę zjadł, mięsa kawałek do ust wziął i wypłunął. Przynieśli mu sarniny pieczonej, tej trochę spożył i galaretą się posilił, która mu smakowała.

Po obiedzie się znowu zdrzemnął, a na wieczór gorączka przyszła jak zwykle i z nią ochota do mówienia jak wprzód.

Mnie tak i litość i ciekawość brała, że choć to męka była siedzieć na straży, wprosiłem się sam na dyżur nocny, w miejsce Abramowicza.

Tego dnia zawczasuśmy go rozebrali do koszuli, tylko futro perewistki zarzuciliśmy mu na ramiona, a że delia była szeroka bardzo, całego nią mogliśmy otulić. Na nogach miał buty futrzane, bo innych już wciągnąć nie było podobna. Szyję obwiązaliśmy chustką jedwabną, a od poręczy obstawiliśmy poduszkami, uchwaj Boże by znowu noc miał całą przepędzić siedzący.

Ledwiem pod piecem siadł, zapytał.

— Glinka? a to ty znowu?

— Jam jest, Mości Książę.

— Jakiemże prawem? Co marszałek na to, panie kochanku? mało ich tam jest, żeby jeden ciągle miał chodzić!

— Alem ja się sam prosił.

Głową tedy ciężką poczał ruszać długo.

— Cóż to ty? zalecasz mi się? he? Alem ja już goły! Rozdałem co gdzie było. Wczoraj u kuchcika tynfa pożyczylem w sekrecie przed kasjerem, i to ledwie mi go pokredytował, musiałem zastaw dać i oblig pod pieczęcią! Takie czasy! panie kochanku.

— Ja, Mości Książę, chcę mu służyć przez miłość dla niego, a nie z żadnej chciwości.

— Milczałbyś i nie bredził, kto może kochać taką starą gniliznę?

Wnet pomiarkowawszy, że mnie to dotknąć mogło, poprawił się śmiejąc:

— Bóg ci zapłać za dobre serce... ale czym ja ci wywdzięczę? boć zawsze, piękne za nadobne, w długu nie chcę zostać, panie kochanku. Wiesz co, chyba, jak stara baba, bajki ci prawić będę, choć mi w gardle zasycha. Jak się ode mnie ich nauczysz, na starość będziesz chodził z nimi po dworach, panie kochanku. Ale ty może bajki moje znasz? he?

— Nie wielem ich słyszał, Mości Książę.

— Bajki, bajki, panie kochanku — poczał pomrukując. — Wszystko to za bajki się liczy. Jakbym ci powiedział co nas z Prozorem, Rejtenem i Syruciem spotkało, i tobyś wziął za bajkę.

— Książę się męczy.

— Co tobie do tego? tyś nie doktor, panie kochanku.—

I poczał bardzo prędko: — Wybraliśmy się na odkrycie nowych krajów do Panflagonii, panie kochanku. Wiesz gdzie Panflagonia?

— Nie, Mości Książę.

— Panflagonia leży za Mezopotamią, a teraz wiesz? panie kochanku.

— Wiem.

— Tameśmy tedy natrafili na taki kraj, gdzie ludzie nagłe skarłowaciele. Zabawna była rzecz, bo wnuki w dziadowskich butach bardzo wygodnie mieszkać mogli z całym gospodarstwem. Nie śpisz Glinka?

— Nie, Mości Książę.

— Jedną starą szablę, gdy przyszło zdjąć z gwoźdza, piętnastu ich z windą stawiało i rady dać nie mogli. Ale to, nie bajka, panie kochanku, lepszą ci powiem, która ci się przyda.

— Tu zamyślił się trochę.

— Był sobie jednego razu, chłopak, sierota; a działo się to przed potopem. Naówczas na świecie działo się zupełnie inaczej, panie kochanku: dziś ludzie ludzi jedzą, a naówczas ze zwierzętami była komitywa¹⁾ jak najlepsza, taka jak dziś u nas w Polsce z Prusakami²⁾. Chłopiec jak palec był sam, matka go właśnie odumarła, a chatka stała na pustkowiu, u kraju lasu, panie kochanku, gdzie już ludzi nie było ani na lekarstwo. Zwierzęta bogobojne dowiedziawszy się o nie-

¹⁾ Komitywa — przyjaźń, współzycie.

²⁾ Rzecz dzieje się podczas przymierza polsko-pruskiego, za Wielkiego Sejmu.

szczęściu sieroty, zameldowały mu się zaraz ku usłudze i opiece.

Krety do nieboszczki wykopały grób, bobry zrobiły trumnę, niedźwiedzie ją wzięły na barki, a co było ptastwa przeprowadzało śpiewając żałobnie do mogiły. Gdy się ta ceremonia odbyła, a chłopak siadł, panie kochanku, na usypisku i płakać zaczął, lis mu ogonem lży ocierał. Ale ty śpisz Glinka?

— Uchowaj Boże, Mości Książę, słucham.

— Słuchaj, bo to się dopiero zaczyna, panie kochanku, to jeszcze nic, zobaczysz dalej. Gdy chłopiec siadł i beczał, dokoła niego posiadali też wszyscy opiekunowie i zrobili radę.

Naprzód mu zaproponowali, ażeby nie szukając ludzi, pomiędzy nimi pozostał, że mu do gospodarstwa pomagać będą; ale gdy chłopak do ludzi zażądał koniecznie, zgodzili się i na to, ażeby go wyprawić.

— Jak sobie, panie kochanku, pościelesz, tak się wyśpisz -- rzekł mu wilk. Zrobiono nam taką reputację, że już gorsza być nie może, a czy ludzie od nas lepsi, przekonasz się na własnej skórze. Idź z Bogiem, panie kochanku. Srocza przed tobą lecieć będzie i drogę ci do ludzi pokaże; dawaj sobie radę sam.

Ponieważ chłopak, panie kochanku, był głodny, niedźwiedź mu barć pokazał i sam wydarł plaster miodu, wiewiórka orzechów przyniosła, nietoperz zaś oświadczył się, iż wie o skarbie zakopanym niedaleko, z którego sobie sierota mógł wziąć garść, aby miał o czem wędrować. Tak się tedy stało, ale ty śpisz Glinka?

— Nie, nie śpię, Mości Książę.

— Gdy się pożegnali, sroka lecąc przed chłopcem prowadziła prościuteńko do Warszawy.

— Przed potopem, Mości Książę?

— Przed potopem była Warszawa taka sama jak teraz — odparł Książę — a ty mi Glinka, takimi pytaniami nie przerywaj... Otóż, panie kochanku, tak do rogatek przyszli. Tu srocza usiadła na kółko i poczęła wołać: Adieu, kochanku!

Chłopak pono i Bóg zapłać nie powiedziawszy jej, rad, że się dostał między ludzi, do miasta, gdzie się z tysiąca kominów kurzyło, prędkim krokiem między tłum się wcisnął. Szły właśnie tamtędy marszałkowskie Mniszchowskie ciury ¹⁾, a ujrzawszy, panie kochanku, z łokciami wydartemi, blade stworzenie, bez butów, w koszuli łataniej, zaprosili go z sobą do kordygardy.

Myślał, że na obiad, panie kochanku, aż tu znalazł się przed panem pisarzem, który z piórem za uchem inkwizycję rozpoczął. Nim to jednak nastąpiło, obrewidowali chłopca i znaleźli przy nim dwie garście diamentów nietoperzowych. *Corpus delicti!* ¹⁾ panie kochanku. Bosy człek, naturalnie ukraść je musiał. Chłopiec niewinności swej pewien, począł się śmiać, panie kochanku, i opowiedział całą historię swoją ze zwierzętami. Inkwirentowi tego było i potrzeba; diamenty schował do kieszeni, a chłopca odesłał do Bonifratrów.

¹⁾ Policja ówczesna.

²⁾ Dowód zbrodni.

Zobaczywszy się nieboraczysko pod rygłem nuż narzekać, panie kochanku, że z niedźwiedziami nie został. Braciszkuwie słysząc, że bredzi, nuż mu wodę zimną na głowę lać i smagać dla napędzenia rozumu. Pobudzili go do wściekłości. Trzeba więc potem było leczyć i leczyli go tak skutecznie, że z niego tylko skóra, kości i w kątku dusza została. Poczem na ulicę go kolanem wyproszono. Chłopiec nie oglądając się do lasu powrócił, a tam wilki go zjadły, za karę, że w nich nie wierzył, panie kochanku.

A co, Glinka, bajka nie ładna?

— Sliczna, Mości Księciu, ale Księciuby czas spać może było?

Milczałbyś, at! nawet mi nie podziękowałeś za nią, a dać by księdzu biskupowi Warmińskiemu, co by on z niej zrobił! Teraz Glinka, na ciebie kolej. Naprawiłem się ja dosyć bajek w życiu, muszę raz posłuchać. Spróbuj, gadaj.

— Zadnej, Mości Książę, nie umiem.

— A cóż umiesz? prawdy? No to mów prawdę?

Przyparł mnie, żem nie wiedział co począć. Szło mu znowu widocznie o to, ażeby do łóżka nie iść i jakkolwiek noc przepędzić.

— Gdzieżbym ja śmiał, Księciu Wojewodzie, albo bajki pleść, albo prawdę mówić? — odezwałem się z półuśmiechem, — nie moja to rzecz. Z bajki śmiech, a z prawdy gniew.

— A jaki ty zrobiłeś się rozumny! Glinka, — odezwał się książę — nie wyhodujesz się, bo to nad wiek.

Roześmiał się i westchnął razem.

Tej nocy choć nie byliśmy pewni czy to się na co przyda, ułożyliśmy mały spisek na Księcia. Ponieważ już raz koguty

i ich pianie najwięcej się przyczyniły do ukołysania go do snu, bo się w nocy zasnąć lękał, a po kurach, spodziewając się dnia, prędzej zasypiał; Mińczak, chłopiec od kuchni, który tak umiał wszelkiego ptactwa głos naśladować, iż wabika nie potrzebował, kogucie zaś pianie a r t e¹⁾ oddawał i to nie jednego, ale jakby ich było dziesięciu, został do piania wyznaczony.

Kazano mu na dany znak, popisywać się około folwarku. Zapiał jak stare kogucisko; Księżę ucha nadstawił.

— Ho! ho! — zawołał — to czas leci! Już pierwsze kury! chyba ich co pobalamuciło? To nie może być.

Mińczak zapiał cienko raz drugi i trzeci, raz znowu odmiennie, jakby nieuk młody próbował, to znów pierwszym głosem, i na przemiany coraz innemi. Jam się też przysłuchiwał dziwując, bo gdybym nie wiedział, że człowiek, przysiąc było można, iż kury piał. Tylko jakoś nadto śpiewały mądrze; Księżę podniósłszy głowę, z ciekawością wielką chwycić się zdawał to rozmaite pianie kogucie.

— Jakieś uczone kury — rzekł nareszcie — koncert wydają. Czy Strzałkowska tu dla nich akademię założyła, czy co? a massa tego jest. Glinka!

— Co Księżę rozkaże?

— Idź proszę cię i poślij na folwark, niech się dowiedzą, zkad tam razem kogutów tyle? Sejmik jakiś założyły, panie kochanku, kto wie co one radzą? może na zgubę rzeczypospolitej. Kat ich rozumie!

— Na folwarku już wszystko pozamykano, Mości Księżę.

— Stracha się boisz, czy co? — zapytał Wojewoda. —

¹⁾ „Ze sztuką“, bardzo zręcznie.

Weź Abramowicza z sobą i uzbrojcie się we flinty; wybić tych trutniów, bo to tylko wrzeszczy po nocy, a ręczę że z nich kurom pociechy nie ma, ani na pieczyście się nie zdadzą, a mnie myśleć przeszkadzają.

— Ale, Mości Książę — odpowiedziałem — Abramowicz szalona pałka, nuż uchowaj Boże, gdzie w strzechę palnie i kłak z ogniem zapuści? możemy pożar zrobić, i ludzi postraszymy.

Książę westchnął.

— Dosyć, że teraz — rzekł — ani posłuszeństwa, ani nabożeństwa; co Radziwiłł każe, to pan Glinka zmaże.

Zamilczałem, a kury piał, Książę głową kiwał i milczał.

— Uczone kury — szepnął po przestanku. — Hejnał pieją, trzeba spać, nie ma rady.

I ułożył się jak do drzemki. Ale sen nie trwał długo; za ledwie zachrapał, przebudził się zaraz i wstrząsnął.

— Glinka?

— Jestem, Mości Książę.

— Idź mi zaraz, powiedz marszałkowi, koniuszemu, stawnicznemu, aby na jutro koniecznie wszystko było do drogi gotowe. W tych Sławatyczach wyżyć nie podobna, trzeba co prędzej do Białej uciekać. Chwila się zbliża, godziny policzone, a w takich mizernych Sławatyczach umierać sensu nie ma, i z pogrzebem nie poradziłiby sobie. W Białej wszystko być musi w pogotowiu, świec u Reformatów dostanie, a Bazylianie też coś dostarczą.

— A! Mości Książę, czyż się godzi myśleć o tem? — za wołałem.

— Nie rezonuj, idź, idź, panie kochanku, ja ci powiadam.

Jutro dodnia żebyśmy ruszyli. Już mi te koguty Strzałkowskiej kością w gardle stoją. W drogę, panie kochanku, słyszysz?

— Mości Książę — rzekłem — przededniem rozdysponuję, teraz wszyscy śpią.

— Jak to dla mnie ich pobudzić nie można, kiedy ja nie śpię! — odparł Książę. — Gdybyś ty był tak Księciu Miecznikowi odpowiedział, dopiero byś był od niego oberwał, ale na pochyle drzewo i kozy skaczą.

Głos jego zmieniał się zwołna, aż nagle dobywszy go z piersi, co miał siły, krzyknął:

— Do koni! w drogę! służba panie kochanku! Kto żyw ratujcie Radziwiłła od koguciego spisku! Hoła!

Na ten głos, co żyło w izbach sąsiednich pobudziło się i pozrywało z łóżek, biegnąc jak kto stał, boso, w kozuchach, w derach, w płaszczach i berlaczach.

— Co się stało? co Księciu jest? Co Książę każe? poczęli wołać wszyscy.

Zwijać obóz! konie gołować, na jutro w drogę dodnia. Do Białej nam czas. Sic volo, sic jubeo, nie słucham nikogo, panie kochanku, a nie, to wam kaszy nagotuję.

— Ale, Mości Książę! — odezwał się Finke.

— Nie ma ale, panie kochanku — przerwał stary prawie gniewnie — do Białej i kwita. Rygor i posłuszeństwo.

Mówił gorączkowo, wszyscy zamilkli, nie śmiejąc mu się już sprzeciwiać. Doktor wreszcie był tego zdania, że lepiej już usłuchać, aby się gorzej nie niecierpliwił, co szkodzić mogło więcej od podróży.

Po tym wybuchu, który Morawski zażegnał obietnicą, że

się do rozkazów stosuje, pomrukując coś jeszcze, ale coraz mniej wyraźnie, począł się wysiłony zdrzemywać, i wszyscy na palcach powynosili się cichaczem.

Lecz gdy drzwi otworzyli, ciąg się zrobił, weszło zimniejsze do izby powietrze; uczuł to chory i kożuszek perewistkowy począł na sobie poprawiać. Mimo to, siedząc powoli usnął. Ja też pod piecem na stołku drzemać począłem, i tak prześniliśmy aż do dnia.

Ze dniem ruch na folwarku, po stajniach, w dziedzińcu, począł się wielki, bo już do Białej ruszać się trzeba było nieodmiennie.

Podróż ze Sławatycz długą nie była, ale utrapioną, z powodu dróg tutejszych. Kraj to płaski, nizina, piaski, moczary i lasy, jak nie grobla, to piachy, a w lesie po korzeniach sosnowych, po dołach i kępach też nie wyśmienicie, miejscami brody, jeszcze szczęście jeżeli niegrząskie, w które wjechawszy polecaj się Bogu, bo nie wiadomo jak głęboko zajdziesz, czasem i łomokom się dostanie. Na piasku koła prawie po kłódki grzęzną, na grobelkach z kamienia na kamień stuk, puk, z kałuży w kałużę, z kolei w kolej. Wozy te koleje porznęły głęboko i wedle swojej miary; wjedzie chłopski wózek w nie, to mu nic, nawykł do tego, ale półtoraczna landara jak się w jedną kolej zarznie, drugim kołem na wysokościach, a jakby obie chciała pominąć, konie nogi kręcą po dziurach. Słowem rozpacz. Koło nad rowem idąc ośliżnie się, lecimy w rów, a w rowie woda i gąszcze. Hajduki po kostki w kale, na ramionach to z jednej to z drugiej strony powóz unosić musieli, padając pod ciężarem. Pośpieszyć ani myśleć. Na piasku choć konie prychną, też nie można kłuso-

wać, w lesie dla korzeni trzeba jechać po woli. Słowem zażyliśmy biedy i słoty niemało i nakłęliśmy obficie. Księżę w powozie, mimo tego rzucania drzemał, kiedy niekiedy stękając tylko, bo nim mimo poduszek i pasów, których się trzymał, chwilami miało bez litości.

Księżcia to najgorzej męczyło, że ze Sławatycz wyjechawszy, musieliśmy niemały kawał przerzynać się przez cudze majątności, środkiem Sapieżyńskich majątków, Księżnej Wojewodzicowej Mściławskiej, gdzie już trudno było gospodarzyć jak w domu, a po karczmach też nieład panował i niedza. Strzechy poodzierane, szopy gnoju pełne, ani zajechać, ni wypocząć, ni koni czem podesłać.

Z wielkiem umartwieniem naszym i jego, ledwieśmy się przecież jakoś do Białej dobili, i wyjechawszy z lasu, powitaliśmy stary zamek książęcy.

Przez całą tę drogę Księżę się nieustannie dopytywał:

— A co? czy my już na swoich śmieciach, panie kochanku? a daleko do domu?

Gdy nareszcie powiedział Morawski, że już zamek wiadać, a było pod wieczór drugiego dnia, wyrzał oknem, jak gdyby, mógł co zobaczyć, ręką w powietrzu krzyż zakreslił i westchnął.

— Dalej już pono nigdzie mnie nie zawiezicie, panie kochanku — zamruczał — ze świętem Józefatem w kompanii będziemy odpoczywali.

Nam się też lżej na sercu zrobiło, gdyśmy z dala ponad drzewy wieżę zamkową i Reformatów sygnaturkę i Farę zobaczyli.

Przodem wysłani ludzie oznajmili w miasteczku więc jak

skoro się od Wólki pokazały powozy, we wszystkie dzwony uderzono po kościołach, a na końcu grobli ujrzelśmy stojące duchowieństwo, mieszczan i żydów z rabinem i baldachimem. Gdyśmy o tem Księciu oznajmili, głową pokiwał.

— Do czego mi się to zdało!

Dzwony, posłał zaraz, aby się uciszyły.

— Cóż oni tu mnie jak biskupa witają? To eksportacja pachnie, panie kochanku. Po co? na co?

Polecieli konni aby dzwonić zaprzestano; jakoż ucichło, tylko u Bazylianów najdłużej kołatano bezpotrzebnie, bo do cerkwi było najdalej.

Burmistrz chciał księcia witac mową, ale jemu i rabinowi, który się też nagotował, zalecił powiedzieć, że chory i recepcję na powolniejszy czas odkłada. Szły tedy powozy przez część miasteczka, około Akademii i figury św. Jana Kantego, podle Fary, gdzie rektor stał i wszystka młodzież — Vivat! cienkimi głosami krzyczała.

Posłyszawszy głosy dziecinne, Książę się ruszył nieco, ale wnet opadł w głąb landary. Stąd już do zamku kilkaset kroków tylko. Gdy w brukowanej bramie zastukały konie, podniósł się Wojewoda czując, że jest w miejscu, i wnet wjechaliśmy w dziedziniec, u głównego wnijscia stojąc.

— Bogu dzięki!

Tu caluteńka służba czekała. W pokojach świeciło się wszędzie, ludzi było dosyć co Księcia witac pojeżdżali się, oficjalistów, sąsiadów, szlachty, ale wszystkich Morawskiemu przepraszać kazał, że niedomaga i zmęczony, a rad nie rad do łóżka iść musi.

Na dole już stało przygotowane krzesło, i hajducy na niem

posadziwszy chorego, zaraz go na górę, do pokoiów zwykłe przez niego zajmowanych zanieśli.

Milczał przez cały czas, ino wzdychał ciężko. Chciano go do wygrzanego szkanclerj łóżka położyć, ale się nie dał i w krzesle pozostał.

Podstarości, burgrabia, urzędnicy, oficjaliści na próżno oczekiwali, ażeby kogo wezwał do siebie, lub o cokolwiek zapytał. Kazał ich Księżę marszałkowi uraczyć po pańsku, a rozmowę i interesa na później odłożyć.

Kto nie znał naówczas zamku Bialskiego, nim poszedł w ruinę powoli, ten o nim z późniejszego stanu wyobrażenia mieć nie może. Nie był ci on tak rozległy jak Nieśwież, przecież na najliczniejszy dwór miejsca w nim nie zabrakło, a całe po pańsku, niemal po królewsku był urządzone, choć ze staroświecką. Ogromne sale, gabinety, pokoje zwierciadlane, komnaty na różne gusta przybrane w obrazy, posągi, sprzęt kosztowny, zdobiły go obficie. Dużo izb stało zamkniętych pod kluczem. Z okien wielkiej sali, gdzie się nie tak dawno odbywało wesele księżniczki z kniazem Massalskim, widok był na staw na Krzynie, który jeszcze podówczas nie zarastał trzciną, sitowiem i tartakami. Pokoje książęce wygodne były i we wszystko opatrzone. Czego tu mogło braknąć, to dawno przodem z Nieświeża na furgonach przystawiono.

Ledwieśmy stanęli i powoli się uciszać zaczęło na zamku, zadzwoniono po kościołach na Anioł Pański. Księżę drgnął, ale czapeczkę jedwabną z głowy ściągnawszy, pobożnie ręce złożył i modlić się zaczął.

Tu na mnie znowu nocna służba przypadła czemu dosyć

rad byłem, bom mojego starego pana kochał, czułem, że dogorywa i ostatnie słowa z ust jego pochwycić miło mi było. Wiedzieliśmy wszyscy, iż policzone miał godziny.

Po tej podróży ze Sławatycz i na twarzy i na siłach opadł bardzo. Szczególniej policzki mu nabrzękły a skóra na nich i na szyi pościagała się, pofałdowała, pogarbiała, aż strach, żółtością jakąś okryła. Przyniesiono mu rosółu i kuropatwę pieczoną; skosztowawszy ich ledwie, odepchnął.

Nie można go było ani rozbawić, ani zająć niczym, milczał posepnie. Siedziałem u progu na rozkazy czekając, gdy nagle zawołał:

— Hej, jest który?

— Glinka, Mości Książę.

— Dosyć, że ja z tej Glinki, ugrzęzłszy w niej, nie wyleżę, panie kochanku — rzekł z cicha — a więc mosanie Glinka, każ mi Napiórkiewicza zawołać. Niech tu do mnie przyjdzie.

Napiórko, czyli Napiórkiewicz, znany był nam wszystkim z dawna, cośmy kiedykolwiek w Białej bywali, bo, mimo burgrabich, innych dozorców i różnej służby, był to jedyny, prawdziwy stróż i pan Bialskiego zamku. Od jak dawna tu żył, zamieszkiwał i rządził się, sam dokładnie wyliczyć się nie umiał. Zapominał. Zdawało mu się pewnie, że się z kluczami urodził. Ludzie mu dziewięćdziesiąt z górą lat dawali, a on chcąc się z wieku swojego wyliczyć, płatał się i bałamucił.

Gdy się czasem zapędził, utrzymywał, że za Sobieskiego się rodził, co nie mogło być, boby musiał lat z górą sto mieć. To pewna, że czasy Augusta mocnego pamiętał doskonale. Jako żyw, nigdy się z Białej nie oddalał, i do zamku, można

powiedzieć, przyrosnął. Inni ludzie przechodzili tu i mijali się, on wszystkich przeżywał, on jeden wiedział co się gdzie na zamku znajdowało, każdy kąt i zakomórek znał doskonale, od wszystkiego miał klucze, i wszystko tu niemal za swoje uważał.

Stary i z figury i z obyczaju był osobliwy, i w mowie od innych się nie różnił. Gdy na dworze słota nastala, mrucał, gderał albo milczał zaszępiiony. Kiedy się na pogodę wybrało, twarz mu się razem z niebem wyjaśniała, i jeszcze go się czasem krotochwile trzymały. Spojrzawszy nań nie dałby mu nad jakie lat sześćdziesiąt kilka. Wyprostowany zawsze, choć ramiona mu się już w kabłąk zgięły i głowa trzęsła, chodził bez kija, nogami tylko trochę powłóczył. Na świętki i piątki kontusz zawsze jeden, długi granatowy, z rękawami spinanemi nosił, pas siatkowy wypłowiały, a po kieszeniach, za pazuchą, w rękach, gdzie tylko wetknąć je było można, kluczów miał pełno. Kluczów tych powiadano, że ze dwieście różnego kalibru nosił przy sobie i miał ich w izbie tyle, że niemi całe ściany na gwoździach były poobwieszane.

Twarz czy mu wiek przeciągnął, ale bardzo miał długą, nos duży, na słotę siny, brodę naprzód wysuniętą, zęba już pono ani jednego, ale szczękami mięso tak kasał i darł, jakby najostrzejszymi kłami. Jedno oko nie wiadomo kiedy i jakim sposobem już utracił, a powieka wpadła głęboko, zawsze była zamknięta. Po brwiach najlepiej wiek poznać było można, gdyż mu wyrosły i nawisły tak, że się na oczy zwieszały.

Dla dworu, służby czeladzi i stróżów, których miał pod sobą, ostry był i niemiły, musieli go słuchać, gdyż nie rzadko kańczuka z kieszeni dobywszy, boki im i plecy okładał.

Izbę miał na dole w zamku, w prawej baszcie, dużą, sklepioną i przy niej alkowę. Tu mieszkał, innej posługi nie potrzebując, tylko że mu stróż drew przyniósł i w piecu napalił, a dziewczyna, wyrostek, zwykle ze wsi brana sierota, z kolei nie wiem już która, wodę nosiła, jeść gotowała umiała. Dziewczęta te, gdy do lat kilkunastu dorosły, za mąż wydawał i brał nowe, a że się im dobrze działo u niego, choć i dla nich był ostry, napierały się tu, gdy wakans nastał. Choćby się zaś nie wiem jak która na chrzcie świętym nazywała, u niego wstąpiwszy w służbę, musiała się zwać nie inaczej, jak Paraska. Tak się do tego imienia nazwyczał, że już inaczej nazywać ich nie umiał. W zamku też służbę Napiórkiewicza Paraskami nazywano.

Obyczaju był dziwnego, bo oprócz niedzieli i świąt do Fary, nie wychodził nigdzie. W pogodę czasem się między drzewy ponad stawem, albo na wałach przeszedł, i dosyć. Za to po zamku dzień i noc błądził jak duch zaklęty. We dnie, to było jeszcze nic, ale czasem go coś napadło takiego, iż z latarką po nocy do rana błąkał się od góry do dołu, po strzechach, po lochach, lichy wie czego. W jednych izbach siadał, w drugich się przechadzał, tam krzesło posunął, tu stolik wyprostował, okno otworzył, lufcik przymknął, zamek nasmarował, a nigdy temu końca nie było.

Ludzie mieli go za lunatyka, bo szczególniej miesięcznych nocy się włóczył, i jak mówiono, sam do siebie gadał; inni utrzymywali, że z portretami rozmawiał, śmiał się, aż z dała przechodzących ciarki przelatywały ze strachu.

O zamku i o Radziwiłłach, gdy się kto przy nim rozga-

dał, śmiał się i ramionami ruszał, niekiedy mruczał i figę pokazywał.

— Co wy młokosy wiecie o tym? co wy wiecie? Koszuleście w zębach nosili, gdym ja tu już gospodarował.

Czasem gorzej nałajał, jeśli na dworze była słota.

Sam rozgadywać się nie bardzo lubił. Do niego należało wszystko utrzymać w porządku i pod rejestrem, ale rejestra miał nie na papierze tylko w głowie. Jak każdy z tych dwóchset kluczków znał doskonale, tak i sprzęt wszelki, najmniejszy okrucuch miał na pamięci i spod klucza najmniejszej rzeczy, najlichszego nie pozwolił wziąć odłamka. Spróchniałe deski chował i zamykał. Co się nie mogło w pokojach zmieścić, zgarnięte było na strychu. Raz wkradłem się za nim tam pod dachy, i mogę powiedzieć sumiennie, że nad tę górę na zamku, nic nigdy w życiu osobliwszego nie widział.

Musiał się to tam chyba przez kilkaset lat zbierać, i jeden Napiórko mógł wiedzieć i rozeznąć co tam było i do kogo to należało.

Cały ten strych, szczególnie nad wielką salą, napchany był i nabity najrozmaitszym sprzętem. Kanap, krzesel bez nóg, ram, obrazów, szaf, półek, skrzynek, sepetów popieczutowanych, kuferków z papierami, szkatulek, pak było bez miary. Pamiętam pod oknem stojącą kołyskę z różanego drzewa, wewnątrz atłasem niebieskim wypikowaną, z której włosienie sterczało. Po zmarłym w kolebce książątka jak ją tu rzucono przed laty, tak stała nietknięta. Nieco dalej pod dach podsuniętą przypominam sobie dębową trumnę, pełną żyta, która czekała na jakiegoś nieboszczyka, co jej widać chybił i inną się posłużył. Czego tam nie było!? Basetli bez

strun, kotłów z wybitymi grzbietami, krosienek, na których jeszcze sznurki wisiały! Kto to tam wszystko i kiedy poskładał i dopóki to miało schnąć, butwieć, gnić, rozpadać się, Bogu tylko wiadomo. Napiórko nic tu tknąć nie dawał. Tu na strychu suszył sobie liście tytoniu z małego ogródka uprawianego na wałach, z których potem robił tabakę.

Od myszy i szczurów bronił się niezliczonymi pastkami, a tych było wszędzie pełno. Nastawił je, narychtował, tak na pewno, iż niemal godzinę mógł przepowiedzieć, o której się co złapać miało. W izbie u niego było mnóstwo pastek różnego kalibru, które on sam robił i naprawiał, mając ich zawsze zapas nie mały. Czasem po kilka ich niósł w rękę na górę.

Gdy się co złapało, sam nie zabijał, miał ogromnego burego kota, który za nim krok w krok chodził, a gdy się położył, na nogach sypiał. Ten był tak wyuczony, że przed pastką stawał na warcie, a skoro ją odemknęto, mysz lub szczura chwycił tak, iż mu się nie wymknął nigdy. A nie jadło kocisko więcej nic nad te specjały.

Uchowaj Boże, aby się kto był poważał na zamku co bez wiedzy Napiórkiewicza ruszyć, przestawić, wziąć, nawet okno lub okiennicę otworzyć czy zamknąć bez niego. Wpadał wtedy w taki gniew, iż wszyscy przed nim uciekali. Pod dobry humor i pogodę, gdy mu się język rozwiązał, można od niego było o starych dziejach, wiele posłyszeć i nauczyć się bardzo wiele. Ale to się trafiało rzadko i nie każdemu, bo gdy mu się czyja twarz, strój, mina nie podobała, słowa z niego nie dobył. Wszyscy tu szanowali staruszka, Książęgo oszczędzał i pozwalał mu więcej niż drugim. Na Wielka-

noc, choć święconego nie gotował, miał przecie lepsze niż szlachcic na dwu wioskach, bo mu się na nie wszyscy z okolicy składali. Spraszał wówczas zamkowych i cały tydzień jeść i pić było co.

Gdy mi go zawołać kazano, kopnąłem się, nie wiedząc dobrze gdzie go o tej porze szukać; myślałem już iść się o to pytać JMćpanny Paraski, bo tę zawsze zastać było można u drzwi, bosonogą, na zedelku drzemiącą u kądzieli. Lecz ledwie do sieni wyszedł, patrzę, wlecze się coś pod górę, poręczy od schodów trzymając jedną ręką i pacierze pomrukując — aż to — mój Napiórko.

— Książę Wojewoda pana prosi.

Spojrzał na mnie do góry, aż mu białka zaświeciły.

— A no widzisz asindziej, że idę, bom o tym wiedział...

Jak i skąd? o to się już nie pytałem. Szedł nie śpiesząc wcale. Jak zwykle pęk kluczków niósł w ręku. Ustąpiłem mu z drogi. Przede drzwiami zdjawszy czapkę, podgoloną głowę począł muskać i owe krzaczyste brwi zawisłe przyprowadzać do porządku. Wszedł potem do antykamery. Spojrzał jeszcze na swoje buty, zapyłone, więc chustę ogromną dobywszy z kieszeni, otrzepał je.

— Niech będzie pochwalony...

Dopiero gdy Książę mu odpowiedział: — „Na wieki wieków!“ — dodał:

— Czołem Księciu Wojewodzie...

A cóż tam u ciebie słyhać, panie kochanku? — spytał Książę głosem cichym, ale wesoło. — Ile tam sowa stara na baszcie jaj wysiedziała i czy zdrowe potomstwo jej mości?

Wtem jakby sobie co przypomniał, odwrócił się żywo Książę i zawołał:

— Glinka? a ty tu? Idźże sobie precz, boś nie potrzebny; użyj świeżej aury na korytarzu.

Strasznie mi się zrobiło markotno; a żem był ciekawy, a byłem pewny, że tam sekretów żadnych nie mają, więc choć wiedziałem, że grzech, alem drzwiami stuknąwszy, pozostał tuż, aby rozmowie się przysłuchać. Jakoż cicho było i nie straciłem z niej ani słowa.

— No, cóż tam u ciebie panie kochanku, na naszym starym gnieździe? — powtórzył książę wzdychając.

Chwilę nie było odpowiedzi, stary tylko sapał i nosa obcierał.

— Po staremu Książę Wojewodo, po staremu — rzekł — trzymamy się, aby dalej.

— Wiesz Napiórko! — westchnął Książę — wiesz? Nie mów tego przed ludźmi, aby z tego nie korzystali; przed drugimi się z tem taję, tobie prawdę powiem: oczy mi, panie kochanku, zupełnie zasłoniło, mało co widzę, tak jak nic!...

...Już ja naszego zamku nie zobaczę, a piękny, a miły mi był, i po Nieświeżu najlepiej go lubilem. Tam ja byłem Księciem Wojewodą, a tu sobie prostym Radziwiłłem. Gdym spocząć potrzebował, uciekłem, panie kochanku, do Białej. Teraz Bóg wie: przyjechałem chory, może już z wami zostanę. Z biedy to i u Fary jest sklep!

Napiórko przerwał okrzykiem:

— Niechże Bóg miłosierny uchowa! U nas Książę ozdrowieje, nie ma powietrza jak w Białej! Ja przecie nie wiem

wiele lat jestem starszy, a jeszcze się nie wybieram. Radziwiłlowie długo żyli.

— E! panie kochanku, inne czasy były — rzekł książę. — Mnie sobą nie mierz, ty jesteś mumia chodząca, będziesz żył lat dwieście. Ja, panie kochanku, żyłem tak, żem sobie strasznie pootłukał boki. Przypomnij no sobie od Radomskiej, od Baru po dzisiejszy dzień, mało się to zjadło i wypilo, nie mięsa i wina, ale żółci i octu i zdrady i niegodziwości ludzkiej.

Milczał Napiórko nie sprzeciwiając się, nie mówiąc nic, mruczając coś niedźwiedziowato. Książę zamilkł i głowę spuścił

— Ze mną, bodaj, panie kochanku, mój Napiórko, ostatni duch Radziwiłłowski zejdzie do grobu; ci co zostają, pożal się Boże, nawet dobre ludziska, ale ślimacza w nich krew płynie. Zobaczysz mój Napiórko, jak mnie nie stanie, zamek twój pójdzie w ruinę, skarbiec wyczyszczą, lochy wysuszą... cała ta nasza wielkość rozsypie się w proch.

Zmilczał i zmienionym głosem zapytał:

— A cóż? nigdzie tam u ciebie szkody nie ma?

— Nie, dzięki Bogu — rzekł stary — na świętych Piotra i Pawła, prawda, burza się ku wieczorowi zerwała i pioruny w staw były okrutne. Szczęściem okna wszystkie pozamykałem i piorun choć palnął koło wielkiej sali, tyle tylko, że trochę tynku osypał.

— A taki palnął? panie kochanku — rzekł Radziwiłł — to także znak...

— Najlepszy znak, Mości Książę — odpowiedział Napiórko — boć nic nie zrobił oprócz strachu. Ja zawsze obchodzę przed burzą z Loretańskim dzwonkiem.

Książę zmilczał, po chwili głowę odwrócił ku staremu.

— Co tam, panie kochanku, dzieje się z tą starą trumną Księcia Wojewody? Stoi ona tam?

Namyślał się nieco Napiórko, ale w końcu rzekł:

— A stoi, Mości Książę.

— Gdzie, panie kochanku?

— Na strychu.

— Nasypana? Może tam w nią myszy paskudzą?

— U mnie myszy nie ma ani jednej na zamku — odparł Napiórko — okrom tych głupich, burych, co przychodzą z pola. Ale tu żadna do wieczora nie wymieszka.

— Sucha ta trumna? — spytał Książę — jaka ona?ębowa?

— Stoi pewnie pół wieku, jak nie ma być sucha?

— Czy się nie spekała? — żyto się z niej sypie, panie kochanku, czy nie?

— Szczelna, Mości Książę.

-- A jakiej ona miary? panie kochanku — począł Książę.

Napiórko chciał zmilczeć i nie odpowiadał ochoczo, uważał to Wojewoda.

— Co bo ty stary milczysz? — zawołał — gadaj mi jak należy. Raz przecie czy w Białej, czy gdzie indziej umrzeć potrzeba. Jakiej ona miary, czy ja się w niej wygodnie pomieszczę?

Napiórko usta odstawił, oddał i rzekł wreszcie:

— Przecie była robiona na Księcia Wojewodę, który tuszy był daleko większej od Księcia. Ale co o tem rozprawić?

— Co ci to szkodzi, panie kochanku? hm — rzekł Woje-

woda — ja przecie muszę wiedzieć co się u mnie w gospodarstwie dzieje!...

— A u Księcia Kanclerza? jak tam?

— Wszystko w porządku, nic nie tknięto — rzekł Napiórko.

— A u Księżnej Anny?

— Ja tych pokojów sam pilnuję, Mości Książę, i kluczów nie daję nikomu, nikt też tam nie śmie pyłu zetrzeć beze mnie.

— A u Księżnej Karoliny?

— Podobnież — rzekł Napiórko.

— Figura cała?

— Jak żywa, Mości Książę.

Tego nie zrozumiałem o czem była mowa, jakiś czas milczeli.

— Sepecik opieczętowany — rzekł Wojewoda po chwili — ten, com go sam przywiózł i oddał, pamiętasz?

— Jest u mnie pod kluczem, w szczególnej obserwacji — odparł Napiórko.

— Sepecik ten, jakbym umarł — dokończył Książę — weź, panie kochanku i spal, rozumiesz? Spal go ze szczętem. Tam są różne grzechy moje, o których nie potrzeba, ażeby wiedzieli ludzie. Dosyć im będzie tych, o których wróble na dachu świergocą. Na co mają gorzej Radziwiłła poniewierać.

— Ale jakże go mam spalić? — zapytał Napiórko.

— Panie kochanku, nie dziecko jesteś! Niech grzechy na ogień idą! Sepecik daruj komu chcesz, a z papierów i tych rupiec co tam są, żeby mi nic nie zostało, rozumiesz? panie kochanku. Gdybym komu innemu powierzył, nie usnąłbym

spokojnie, połakomiłby się na jaki świstek albo na fraszkę, a to grzechy moje.

Westchnął Księżę.

— Słyszysz? Napiórko?

— Słyszę i niech Księżę będzie spokojny, ale jam stary.

— Przeżyjesz mnie, panie kochanku.

Pomilczał trochę.

— Mój Napiórko! ja lada dzień mogę koziołka przewrócić; po mnie tu, wiem, chaos nastanie, sądny dzień, rwetes, chwytanina, ładu sobie nie dasz z nimi. Więc pókim ja jeszcze żyw, co byś chciał ażebym dla Waszeci lub dla rodziny twojej zrobił, mów, panie kochanku. Zebyś mnie potem żałami nie wyciągał z grobu.

Na te słowa stary dziwnym śmiechem odpowiedział, aż mi się zrobiło zimno, gdy go usłyszałam. Rozśmiał się Napiórko, nie, nawykły znać do produkowania się ze śmiechem i wcale mu się on nie udał. Coś to było takiego, że i krzyk i jęk w tem słyszałam.

— Wolne żarty, Waszej Księżęcej Mości — rzekł, głos podnosząc — albo ja rodzinę mam? Nikogusieńko na bożym świecie, prócz burego kota. Nie wiem nawet czym kiedy ją miał. Ja nic nie potrzebuję, mam z łaski W. Ks. Mości dosyć, a jeślibym czego mógł żądać to chyba żebyś mnie W. Ks. Mość nie dopuścił stąd wyganiać, ani mi kluczków odbierać. Tem toby mnie jak czekaniem w łeb ubili.

— Uchowaj Boże! panie kochanku! — rzekł Księżę — a ktoby to śmiało uczynić?... O to bądź spokojny, nikt ci kluczków nie odbierze.

Znać po tej rozmowie Księżę skinął na pożegnanie staremu, który już nogą szusnął, gdy ciszej się odezwał:

— Ale proszę cię Napiórsiu mój, panie kochanku, com o sepeciku mówił, pamiętaj, i słuchaj, opatrz mi jutro starą Wojewodzińską trumnę, czy cała, czy sucha, czy się tam jej co nie stało? kto to wie, ona być może potrzebna. Bez zapasu niedobrze.

Napiórko miał wychodzić, a ja ode drzwi odskoczyłem. Jakoż wysunął się wkrótce, czapkę nasuwając na uszy, zamysłony, a ja powróciłem do pokoju księcia, pełną mając głowę tych trumien, sepetów i różnych rzeczy, których nawet dobrze nie mogłem zrozumieć.

Powiedziałem sobie zaraz, że się Napiórkiewiczowi przypochlebić muszę, aby moją ciekawość zaspokoił i resztę mi zamku pokazał, w której nie byłem jeszcze. Księżę tego wieczora, znużony podróżą, usnął prędzej niż zwyczajnie i dał się do łóżka pod kotarę zaprowadzić. Jam też na ziemi rozpostarłszy burkę, położył się i kamiennym snem usnąłem. Raz tylko wśród nocy, obudził mnie Księżę, bo przez sen mówić zaczął i śmiał się. Śmiech był, jak za dawnych lepszych czasów, wesoły i swobodny, a mowa tak prędką i żywą jak niegdyś.

— Księcia apostołów Księżę Radziwiłł nóżki całuje — mówił przez sen — mam honor się rekomendować, ostatni Wojewoda Wileński. Mam nadzieję, panie kochanku, Mości Księżę, iż mi się te rygle otworzą, bo tam na mnie czeka ks. kardynał, Sierotka i Jałmużnik, którzy za mną u Majestatu prosili.

...A tak, Mości Księżę, grzeszyło się, ale żeby znowu

z łada chamami w czyścću siedzieć, to Radziwiłłowi nie przystało, chyba w osobnej komórce?

...Zapisałem na kościoły. Niech się W. Ks. Mość przysłucha, co ich tam za mnie się modli.

...Sodalis Marianus! a tak! i konfederat barski, panie kochanku, amen.

Nazajutrz, jak tylko mnie ze służby zwolniono, przypomniawszy sobie wczorajszy sepet i różne inne ciekawości, postanowiłem przypomnieć się Napiórcę, który dla mnie dawniej dosyć był łaskaw. Przystęp do starego nie bardzo łatwy był dla wszystkich, ale pod pogodę i dobry humor, można go było skaptować. Dwa razy wparłem się, szukając go, do izby w baszcie, ale tylko Paraskę zastałem drzemającą u kądzieli.

Izba była stara, widać jeszcze z zamku pierwszego pozostała, który Sierotka przerobił, sklepienia w niej ze sznurkami, spiczaste. Ściany nagie, całe były ćwieczkami ponabijane, a na nich wisiały klucze duże, małe, ogromne, pordzewiałe i błyszczące, niektóre z poprzywiązywanymi papierkami, inne z drewnianymi klockami na sznurkach. Wiele z nich tak wyglądało dziwnie, iż mi się podobnych w życiu nigdy widzieć nie trafiło. Były i takie pono, które już do niczego służyły i dawno nie otwierały. Przy ścianie przeciwnej, stały rzędem pod oknem różne pastki na myszy, drewniane i druciane, ceglami przyciskane i na strunach. Z drugiej strony stolik obruskiem nakryty reprezentował ołtarzyk. Stał na nim obraz N. Panny Leśniańskiej w ramach czarnych, a obok dwa lichtarze drewniane, dwa otluczone słoiki z kwiatkami i krucyfiks roboty jakiegoś wiejskiego artysty. Z boku książka

i okulary świadczyły, że Napiórkko modlił się przed tym obrazem.

Ta odrobina sprzętu i stolik składał całe jego mienie; mógłby był sobie choć lepsze krzesło znaleźć na strychu, ale wolał siedzieć na zydlu, niż ruszyć to, co za pańskie uważał. W alkowie stało łóżko podobne do kapucyńskiego, twarde i wyleżane.

Trzeciego dnia dopiero zastałem go w domu, przy śniadaniu. Ze dzień był postny, śledzia w occie z cebulą przyprawnego, jadł z chlebem. Pomyślał zrazu może, iż mnie Księżę Wojewoda przysyła, przyjął więc pomrukując, ale dosyć ludzko. Wydało się jednak zaraz z pierwszych słów moich, iż przyszedłem w odwiedziny i nie bez celu. Gdy mu się wypowiadał, że zamku nie znam dobrze, że wielu kątów jeszcze nie oglądał, i że ciekawy go widzieć, namarszczył się stary, siadł nazad do śledzia i już na mnie spojrzeć nie chciał.

Dopiero nierychło, widząc, że nie ustępuję, a ciągle tę materję zaczepiam, popatrzał na mnie i rzekł ostro:

— A po co to ta ciekawość, żeby koniecznie wścibić nosa? po co? co jegomości z tego przyjdzie? Ja nikomu zamku pokazywać nie zwykłem. To co otwarte możecie sobie oglądać cały dzień, a co zamknięte, muszą ludzie wiedzieć dla czego zaparli.

— Ale ja panie Napiórkiewicz — rzekłem — nie pretenduję nawet, żebyście mi zamek pokazywali. Gdybyście kiedy chodząc po nim, pozwolili za sobą pójść, coś bym się nauczył. Przecież sługa jestem Radziwiłłowski, i tajemnic żadnych nie zdradzę.

— E! e! — krzyknął zniecierpliwiony — tu nie ma żadnych tajemnic! a za mną bury kot chodzi, nikogo więcej z sobą brać nie mam zwyczaju. Cóż zobaczysz? ściany, mury, dziury.

Na tem się skończyło; uważałem, że na deszcz się zbierało, więc z Napiórkiewiczem nie było co gadać.

Nazajutrz po nocy słotnej wyjaśniło się i humor Napiórcie przyszedł też lepszy. Pod wielkim gankiem, przy wnijściu od dziedzińca, stały dwie ogromne ławy, gdzieśmy siadywali, to w warcaby grywając, to gawędę prowadząc. Jam się właśnie z Abramowiczem o coś spierał do kąta go przyparłszy, gdy Napiórko z kluczami i kotem nadciągnął powoli.

Skloniłem mu się, stanął i dał mi znak. Zaczęliśmy z nim mówić o pogodzie, a gdy na wschody wchodzić począł, pociągnąłem za nim.

Na górze co było otwartych pokoiów, te ja naturalnie widziałem dobrze, nie było w nich nic tak osobliwego oprócz wspaniałości książęcej; dopiero w pozamykanych spodziewałem się coś ciekawszego.

Wciąż o chmurach, wietrze i pogodzie mówiąc, Napiórko doprowadził mnie do drzwi, w które klucz włożył. Nie odprawiał mnie jakoś; odemknęły się, kot wbiegł pierwszy, Napiórko mi wskazał, abym i ja mu towarzyszył, a za mną sam wszedłszy, klucz wyjął i na powrót drzwi zaryglował.

Pokój, do któregośmy naprzód weszli, był nieco ciemny, niegdyś piękny, ale w nim wszystko jakby mgła jakaś starości przyoblekała. Farby miał zblakłe i szarawe; na ścianach, w drewnianych ramach, obicie jedwabne w kwiaty, miejscami było poprzedziane i wisiało szmatkami, znać

zwątlale od wilgoci. Ogromny komin marmurowy stał, jakby wczoraj ogień w nim był wygaszony, drewna jeszcze leżały niedopalone i szczypce na boku.

Paradne łóż z pawilonem zielonym, zasłane kapą, zdawało się też nietknięte po jakimś co na nim sypiał, poduszka wygnieciona, jeszcze zachowała jakby ślad głowy, która na niej spoczywała. Na małym stoliczku obok leżała gromnica zieloną wstążką przewiązana. U jednego okna stały krosna z robotą, przykryte serwetą; w rogu był klęcznik z pięknym obrazem Św. Anny, na nim książka roztrwarta i różaniec. Tu i owdzie porozrzucone były kobiece sprzęty. U łóżka na skórze niedźwiedziej, spostrzegłem parę trzewiczków na korkach, jakby wczoraj zrzuconą, tylko wyblakłą i opyloną. Na półstolu pod zwierciadłem leżała para rękawiczek pomiętych, a przy nich w porcelanowym puharze suche sterczały jakichś dawno odpadłych kwiatów łądugi.

Obejrzałem się po tym pokoju z trwogą, pytać nie śmiejąc.

— Tu ona umarła! — rzekł, z cicha pokazując mi portret kobiety poważnej na ścianie, ubranej czarno, w zasłonie na włosach i książęcyni płaszczu na ramionach.

To mówiąc głowę pochylił przed wizerunkiem

— Od tej godziny jak ciało nieboszczki do dolnej sali wyniesiono, oprócz mnie nikt tu nie był i nikt się nic poruszyć nie ważył. Święta to była pani !!

To mówiąc poprowadził mnie do klęcznika, wysunął ostrożnie szufladkę i coś w niej palcem pokazał. Spostrzegłem pasek kolczasty i małą dyscyplinę z drucianymi kolcami.

Słony westchnął i powtórzył:

— Święta to była pani! ostra dla siebie, łagodna dla ludzi.

Schylił się w tej chwili do pułapki stojącej pod oknem, przy której już od wniścia naszego Burek czatował. Mysz się w niej niespokojna ruszała, podniósł z góry klapkę, Burek skoczył, chrupnęło coś tylko i stary na nowo pułapkę nastawił.

Przeszliśmy powoli pokój, Napiórko przeciwne drzwi otworzył, kot zaraz w nie pośpieszył pierwszy, ja za nim z kolej, a za nami klucznik, który za sobą zamykał.

Pokój, do któregośmy weszli, przechodni był i pusty, u jednej ściany marmurowy lawaterz¹⁾, od dawna suchy, smoczą głębę otwierał jakby ziewał wiekuiście; naprzeciw niego wisiał portret stary, wyobrażający mężczyznę w cudzoziemskim stroju czarnym, z kresą u szyi, rękawiczkami w rękę, bródką i wąsem po szwedzku.

W tej ścianie po obu jego stronach było drzwi aż dwoje, marmurem okładanych. Poszliśmy na prawo, i tu klucza nie było potrzeba, tkwił we drzwiach, a pokój stał niezamknięty.

Tak samo jak w pierwszym, który widzieliśmy wszystko tu z dawien dawna znać nieporuszone było ale wyglądał inaczej: wydał mi się starszym od tamtego. Od pułapu mosiężny pajak się spuszczał, taki gałęzisty i baniasty, jaki dziś chyba tylko po kościołach się widuje. Łóżko stało jak katafalk czarne, proste, niewysłane wysoko, a ponad nim u ściany makaty spłwiała. Tuż w głowach klęcznik z krucyfiksem czarnym, na którym Chrystus ze słoniowej kości, a pod nim napis:

S p e s u n i c a D e u s .

Nad kominem wisiał owalny portret kobiety młodej,

¹⁾ Umywalnia.

uśmiechniętej, w wysokiej fryzurze na głowie. Na gzymsie komina pełno było kryształowych naczyń, i relikwiarz bogaty, w którym przynajmniej dwudziestu różnych patronów szczątki błogosławione.

U jednej ściany spostrzegłem skrzynię rzeźbioną, pokrytą kobiercem opylonym; u drugiej szafę gdańską, na której miasto zwykłych aniołów i owoców, godła były Męki Pańskiej, palmy, wieńce i różne religijne oznaki.

U jednego okna stół do pisania ustawiony był wielki, a na nim księgi w pergamin oprawne, papiery i pieczęcie kanclerskie w worku jedwabnym ze złotem. Dwie świece woskowe żółte nadpalone, jakby dopiero wczoraj zgaszone. Tuż krzesło stało do pisania i podnózek skórą wybitą. Półarkusz papieru, z nakreślonymi kilka wyrazami, przyciskały męskie rękawiczki, takie same jak na obrazie w antykamerze. Skóra tylko od słońca, wilgoci i wieku pościagała się na nich i skróczyła.

Smutek wiał grobowy ze wszystkich kątów. Napiórko oglądał nie tykając, jakby sprawdzał czy na miejscu rzecz każda leży; przeszliśmy parę razy w milczeniu. Około szafy, na niskiem siedzeniu bez poręczy, jakby zrzucony tylko co, płaszcz leżał czarny, cudzoziemskiego kroju, i kapelusz z szerokimi skrzydły i jedwabnymi kutasami. Pył je okrywał.

— Warto by to wytrześć! — rzekłem.

— Ale!! — oburzył się Napiórko — wytrzeć panoby waszmości, gdybyś mi tu co palcem tknął! Chodź ino, chodź, dosyć patrzaleś.

Wskazał mi na drzwi przeciwległe i wyszliśmy niemi na korytarz pusty, który między dwoma rzędami drzwi prowa-

dził. Po ścianach gdzieniegdzie można i tu było coś ciekawego spotkać.

Tu wisiały portrety królów faworytów, psów myśliwskich i koni. Niektórych płótno się z ram wyrwało i obwisło; indziej sterczały źle przybite rogi jelenie i łosów, pod którymi lata stały podopisywane.

Napiórko przebierając wśród kluczków, namyslać się zdawał i na drzwi poglądał. Poszliśmy w prawo do wnijścia, w którym drzwi były białe malowane i złożone po listwach. Stary klucznik otworzył je powoli.

Weszliśmy do przedpokoiku oświeconego spyloną szybą znad drugich drzwi; stały tu dwa taborety dla służby, a w pośrodku nich otwierały się podwoje do pokojów jasnych i wesołych. Były one niegdyś z wielkim urządzone przepychem, ale i tędy przyszła śmierć, a po niej już może oprócz klucznika, nikt nie chodził.

Ściany osłaniała materia biała, nieco żółkła, w kwiaty różnobarwne, na które, gdzie słońce padło, to farby wyszło, tylko w cieniu i po kątach jeszcze się śmiały jakby żywe.

Ramy dokoła były złote, misternie wyrzynane, gdzieniegdzie w nich zwierciadła. Na półkach chińskie naczynia stały i puchary srebrne i słoje do kwiatów ze szkła weneckiego. W kącie ku oknu był mały klawicymbalik, na którym jeszcze leżały rozłożone nuty. Tuż na marmurowym stolyczku porzucona chusteczka biała kobieca, przylgnęła znać wilgocią i pyłem do niego.

Drzwi szklane do drugiego pokoju zasłonięte były zieloną firanką. Napiórko odwoławszy mnie odsunął ją z wolna: spojrzałem i o mało nie krzyknąłem z podziwienia i strachu.

Nie wiedziałem z pełną czym ducha, czy żywą ujrzał figurę, która tyle tylko, że się nie poruszała. Siedziała u stolika pani jakaś, takim kunsztem cudownym zrobiona, jakby z prawdziwego ciała i kości, nawet kolory na twarzy miała naturalne.

Strach brał patrząc, aby się to nie ruszyło i nie krzyknęło.

Gdy Napiórko drzwi otworzył, ażeby się mógł bliżej temu cudowi przypatrzeć, ujrzałem kobietę, lat może dwudziestu kilku, w sukniach jedwabnych, siedzącą z książką w rękę, z oczyma spuszczone, jak gdyby w niej czytała. Jedną rączką z paluszkami białymi pod brodę się wspierała, a usta miała jakby do uśmiechu nieco ściągnięte.

Włosy, suknie, pierścienie, książka, sama twarz i ręce tak naturalnie się prezentowały, iż zdumiewać tylko się było potrzeba. Co chwila zdało się, że wstanie, odwróci się, zagada. Nigdy nic podobnego w życiu nie widział, aż dopiero później w Warszawie, gdy Niemcy Fryderyka Wielkiego przywieźli ulepionego z wosku, któremu się cała Warszawa chodziła dziwować.

Napiórko dopuścił mnie bliżej, abym mógł oglądać tę osobliwość sam jednak nie przestąpił progu. Wyznaję, że i ja z niejaką obawą, z dala tylko obszedłem tę piękną panią, dziwiąc się co ludzki kunszt może. W drugim końcu tego pokoju na łóżku, leżały rozłożone suknie ślubne, atlasy, białe koronki, kwiaty jakieś robione, od których liście pokruszone poodpadały. Wszystko to okrywała żałobna krepa czarna. Gdym się dziwował, stary rzekł:

— Grzeszne to dzieło ręki ludzkiej, bo co się Bogu podobало odebrać, tego takim zmyślonem życie reprezentować

się nie godzi. Dawno się biedna księżniczka w proch obróciła. Pan Bóg to tylko może przebaczył matce, która dziecię straciwszy, nigdy ukonsolowaną być nie mogła. I przychodziła tu, siadywała, płakała, modliła się, a widząc ów kłamany cień córki, odchodziła pocieszona nieco; aż dnia jednego, matki też na świecie nie stało i nikt już oprócz mnie tego pokoju nie otwierał...

...Tragedie to mosanie, domowe są — mówił Napiórko — księżniczce szyto już suknie ślubne, gdy zachorzała, położyła się i na rękę matki Bogu ducha oddała. Pocieszył się narzeczony, zapomnieli drudzy... serce macierzyńskie ani żalu ni pamięci pozbyć się nie mogło...

Wyszliśmy stąd nareszcie, a gdy się drzwi zamknęły, lżej mi się zrobiło, bo wyszedłem stąd jakby z grobu. Cóż więcej powiedzieć o tem co mi jeszcze pokazywał Napiórko? spać mi trudno wszystkiego. Napatrzyłem się dosyć ciemnych komnat, zczerniałych wizerunków, osobliwego sprzętu starego, szaf kością słoniową i bursztynem sadzonych, miasternie drzewem różnokolorowem wykładanych, jakby malowanie najpiękniejsze. Było tu i owdzie coś zapomnianych zbroi, tarczy, łuków, chociaż lepsze do Nieświeża powywołano.

Stary puszczał mnie, mało mówiąc i objaśniając, chodził posepny, pułapki oglądał, stawiał, kota karmił, tylko, gdy mi co osobliwego chciał pokazać, rękę kładł na tem.

Jużeśmy jedno przejście w rogu u baszty byli minęli, gdy stary się zawrócił i klucze począł z kieszeni dobywać.

— Już kiedyś mi się tu wdarł, co robić z tobą? trzeba żebyś i to zobaczył, czego oprócz mnie chyba mało kto do-

puszczony był oglądać — odezwał się cicho. — A nie paplaj! a nie chwal się! Stare to dzieje.

To mówiąc zawrócił w korytarz wąski, w którego końcu schodki były i drzwi wgłębione żelazne.

W zamku zardzewiałym klucz ledwieśmy we dwu zdołali obrócić, a potem nie łatwo popchnąć drzwi same. Za temi dopiero na szyi drugie były jeszcze, z którymi już łatwiej poszło, bo przy nich kłódka tylko duża wisiała.

Gdyśmy otworzywszy i te, weszli do izby na pół pod ziemią o jednym oknie, objęła mnie wilgoć, chłód, i póki się oczy nie oswoiły, nic dojrzeć nie mogłem. Ciemno było, pod nogami posadzka kamienna, nad głowami sklepienie osobliwe, pogieęte i pofałdowane. Coś było do więzienia i n fun do podobnego. Okienko małe w murze grubym z kratą, okrytą pajęczynami i śmieciem. Szyb w niem tylko szczątki pozostawały.

Powolim się dopiero rozpatrzeć zdołał. Izba była przestronna. Z jednej strony stał nagi tapczan niski, na którym siennik zgnił, tylko z niego resztki śmiecia zostały; w głowach poduszka z grubego płótna, splaszczona, czarna, też przebutwiała być musiała. Obok na stoliczku prostym powywracane dzbanek, miski, łyżka drewniana, lichtarz, leżały w nieładzie, z okruszynami spleśniałego chleba i białemi kośćmi rybiemi.

Gdym się przypatrywał, postrzegłem jeszcze na ziemi płaszcz czarny, podarty i oszarpany, i pas cały w strzępach.

Przy drugiej ścianie sterczało żelazne ogniwo, jakby od łańcucha, a tuż pod niem na ziemi, porwany też łańcuch za-

rdzewiały z okowami, które do rąk czy do nóg niegdyś służyły.

Gdym się z trwogą rozglądał po tem więzieniu, bo nie co innego to być mogło postrzegłem ponad tapczanem na murze zczerniałym, porysowane znaki, poskrobane litery i napisy jakieś; lecz ledwie ku nim się zbliżył próbując odczytać, gdy mnie klucznik mocą oderwał, nie dopuszczając się rozpatrywać.

Nie śmiałem go pytać co to wszystko znaczyło. Podprowadził mnie ku oknu i palcem wskazał, że tak było wykierowane, iż przez nie drzwi kaplicy widać było, a gdy te stały otworem, pewnie i księdza przy ołtarzu mszę świętą odprawiającego.

— Stare to dzieje — powtórzył a uchwaj Boże, abyś Waść tych co to budowali o okrucieństwo posądzal.

...Domowy srom musiano zamykać w domu, aby ludzie zań na cały lud nie plwali. Nie jedna tu lza przyschła.

...Nie sądzcie abyście nie byli sądzeni — dodał ponuro. — Stare dzieje. Światłość wiekuista niech świeci i sędziom i pokutnikom.

Popchnął mnie ku wyjściu, a gdyśmy się na korytarz dostali, rzekł z dziwnym uśmiechem:

— A cóż? nie uczestowałem waszeczki? skarżyć się nie możesz. Znasz już teraz wnętrzości zamku, który tajemnic dla was nie ma, nieprawdaż? Idźże zdrów, a nie paplaj.

Wyszliśmy drugimi drzwiami na świeże powietrze, lżej mi się zrobiło, bo w tych wszystkich izbach pozamykanych, choć je i przewietrzano, osobliwszy był zapach jakiś stęchlizny, świec od katafalku, wilgoci, powiedziałbym niemal

śmierci. Musiałem pójść z godzinę na wałach się orzeźwiać, zanim mnie impressja odeszła. A i tak, gdy do pokojów powróciłem, nie swój byłem do wieczora. Cóż tu mówić o człowieku, który był lata długie sam jeden wśród tych murów i tego smutku, gdyby w kostnicy na cmentarzu?

* * *

Księciu Wojewodzie tego wieczora gorzej się zrobiło, gorączkę miał, i albo milczał lub mówił od rzeczy. Siedział przy nim doktor, felczer nadworny z kolei i pan Morawski. Próbowali każdy czy mu nie dogodzi, lecz nikomu się to nie udało. Głowy nareszcie potracili. Zrobiono widać radę, bo słyszał z drugiego pokoju jak Finke się upierał, aby przy chorym kobiety posadzić, że one lepiej umieją się obchodzić, a wytrzymalsze są i cierpliwsze.

— Jeżeli o kobietę do dozoru chodzi — odezwał się Morawski — cóż prostszego? niech który pójdzie do klasztoru Panien Miłosierdzia, przysłał choćby dwie i trzy najzdolniejszych. Lepszego nic w świecie nie znajdziecie.

Widać, że myśl ta wszystkim trafiła do przekonania, bo pułkownik wybiegł zaraz, i spotkawszy mnie wypadkiem pierwszego, odezwał się:

— Mój panię Glinka! dla miłości Bożej, zbiegnij do klasztoru, do panien, niech tu jedną albo dwie przysłał, dla dozoru przy chorym. Książę się niecierpliwi, rzuca, a my, choćby i doktor, rady sobie z nim dać nie umiemy. Tu trzeba doświadczeńszych.

Pobiegłem natychmiast po czapkę i płaszcz, bo deszcz

listopadowy kropił znowu, i niedługo myśląc, do klasztoru. Wieczór był gdym do furty zadzwonił. Wnet mi furtianka otworzyła.

— Do panny starszej przychodzę — rzekłem — z zamku, od Wojewody.

Ruszyło się wszystko, a mnie tymczasem do sali w lewo puszczono. Niedługo czekałem, wyszła i panna Starsza; osoba była w wieku, ale bardzo żywa jeszcze i ruchliwa. Dowiedziawszy się, żem z zamku, poczęła mnie z troskliwością wielką o księcia dopytywać, oświadczając, że się co dzień na jego intencję modliły i nowenny odprawiały.

— Nam — rzekłem — przy chorym rady sobie dać trudno: pułkownik mnie przysyła do panny dobrodziejki, czyby nam w pomoc której z siostr nie udzieliła.

Panna starsza aż w ręce uderzyła.

— O mój Boże, ale dlaczegoż nie? a dla kogóż większe mamy obowiązki? Zdam siostrze mistrzyni klasztor, sama pójde z drugą. Czekaj Waćpan ćwierć godziny, płaszcze tylko wdziejemy i gotowe jesteśmy.

Potem rozmyśliwszy się i nie chcąc mnie znać opuścić samego, zawołała panna Starsza na którąś ze swych socjuшек; przyniesiono dla mnie lampkę wina i tatarak smażony na zakąskę, a tymczasem sposobilo się wszystko. Byłem niemal świadkiem wyboru, bo panna Starsza wnet siostry Marii prosić kazała.

Gdym to imię usłyszał, a opowiadanie Wiśniowskiego przypominał sobie i obejrzałem się gdzieś był, uderzyło mnie jakby jakieś dziwne zrządzenie Boże. Pomyślałem zaraz, a nuż ta siostra Maria będzie właśnie Wojźbunówną??

Mogę powiedzieć, że od tego struchlałam, i takem się w myślach nad osobliwemi wyrokami Bożemi zatopił, iżem stał, słowa nie mówiąc i com miał przed oczyma nie widząc.

Wtem wezwana owa siostra Maria weszła na próg; spojrziałem na nią, osoba niemłoda, twarzy bardzo miłej i uspokojonej, nawykła znać do pocieszania i przynoszenia tylko słodkich wyrazów. Coś mi mówiło, że to być musi Wojźbuówna.

— Siostró Mario — odezwała się pośpiesznie panna Starsza — idziesz ze mną na zamek, Książę pan gorzej, jak powiadają, żąda posługi naszej.

Gdy to mówiła, jam się w twarz siostry Marii wpatrywał, i widziałem jak wezdrgnęła, a ręce mimowolnie załamała. Podniosła oczy ku pannie Starszej, jak przestraszone.

— Możeby siostra Anna, ja... ja nie wiem czy podołam — odezwała się cicho.

— Siostra Anna musi zostać przy infirmerii, nie, nie! Tu trzeba łagodnej jak wy i doświadczonej, nikt mi dogodniejszym nad was być nie może. Ja idę sama.

W zakonie pierwszą cnotą posłuszeństwo; nie sprzeciwiała się więc wybrana, lecz z wyrazu twarzy jej coraz mocniejszej nabierałem suppozycji, iż Bóg zrządził Opatrznością swą, ażeby te dwie osoby jeszcze się raz w życiu spotkały.

Wyszliśmy pośpiesznie ku zamkowi; cała droga w milczeniu się odbyła, jam pogrążony był w sobie i lzy mi się ciągle w oczach kręciły. Czekałem tylko, abyśmy przyszli na pokoje, gdzie Wiśniowski musiał być, a powinien ją być poznać.

Już tego wieczora nikt chwili nie miał spoczynku z powodu obawy o zdrowie Księcia Wojewody.

Przed sypialnią, w której leżał, na salce pełno było, a choć niemal przecisnąć się mieliśmy trudność, taka cisza, że szelest sukni najmniejszy słyszać było. Szeptano tylko do uszu, bo się nikt głośniejszy nie śmiał odezwać.

Wchodząc spostrzegłem Wiśniowskiego z dala, i dałem mu znak. Przed siostrami rozstąpili się wszyscy, a doktor zaraz przybiegł się rozmówić z niemi.

Gdy się Wiśniowski zbliżył, szepczę mu do ucha:

— Spójrz na tę z sióstr, która słuszniejsza, a powiesz mi co ci się zda?

— Cóż? w takiej chwili, każesz mi się młodej zakonnicy przypatrywać? — ofuknął z oburzeniem. Glinka, jak Boga kocham, tegom się po tobie nie spodziewał.

Mnie też złość wzięła.

— Ale, cóż u kaduka — zawołałem — kto powiedział, że młoda? co Waści w głowie? Idź i patrz! a potem będziesz sądził i wieszał!

Zakręcił się Wiśniowski, poszedł z ukosą i błady do mnie powrócił wraz.

— Przepraszam cię, Glinka...

— To Wojźbunówna? — spytałem.

— Tak jest — odparł — ale jak się to stało?

— Palec Boży — rzekłem — któż potrafi odpowiedzieć jak się to stało? Bóg zrządził.

Zamilkliśmy potrwożeni oba. Powiedziałem tedy sobie, że czy mi pozwolą czy nie, drzwi będę pilnował i do sypialni

się wcisnę. Siostry wprowadzono zaraz, jam też za nimi wszedł.

Książę na łóżku leżąc sapał strasznie i jęczał. Zbliżyły się na palcach, naprzód panna Starsza, potem siostra Maria, spoglądając na chorego. Pierwsza zaraz opatrzywszy poduszki skinęła ku drugiej, i zlekka uniosłszy tę, na której głowa spoczywała, wskazała, aby drugą poprawić.

Książę mruczeć zaczął. Słyszałem, gdy się odezwał:

— Któż to tam koło mnie majstruje? a żebyżeście raz mi pokój dali, panie ko..... kto tam znowu?

Panna Starsza odezwała się cicho:

— Siostry Miłosierdzia.

Książę drgnął, poruszył się, ale przez chwilę nie mógł się odezwać.

Potem rzekł:

-- Jak imię?

— Siostra Justyna i siostra Marya...

Wszystko to mówiła Starsza, gdy tymczasem poduszki poprawiały. Na twarzy Wojźbunówny widziałem pomieszanie wielkie, ręce jej drżały i oczy sobie ocierała.

— Pytam o nazwiska — odezwał się Książę Wojewoda głosem zmienionym.

Panna Starsza namyślała się chwilę i odezwała się, nie widząc, że jej towarzyszka przestraszona daje znaki.

--- Siostra Justyna na świecie zwała się Bartoszewską, a Marya, Wojźbunówną.

Nagle książę się podźwignął przelekły, opierając na rękach.

— Jezus, Marya, Józef! — zawołał — Felicja Wojzbunówna!!

Złożył ręce.

— Niedoścignione Pańskie wyroki.

Słyszac to panna Starsza, która zrozumieć nie mogła, a brała to za gorączkę, szepnęła:

— Niech się Książę Jegomość uspokoi.

Ale ja jestem spokojny, jestem spokojny i umrę teraz spokojny. Bóg widocznie łaskaw na mnie. Jakże jej imię w zakonie?

— Komu? — spytała Starsza.

— Wojzbunównie — prędko odpowiedział Książę. — Gdzie ona jest? Niech przemówi słowo.

Panna Starsza zdziwiona stała, nie mogąc się odezwać. Siostra Maria kryła się w początku i zdawała niepewną co uczyni; potem nagle przystąpiła bliżej i odezwała się głosem drżącym:

— Tu jestem, Mości Książę.

Wojewoda głowę ku niej zwrócił.

— Siostro Felicjo!

— Mam imię Marya.

— Tak, tak, proszę was, dajcie mi rękę swą.

Wahała się Wojzbunówna, potem zwolna ujęła dłoń wyciągniętą Księcia, który poczuwszy rękę jej, pochwycił ją i podniósł do ust.

Panna Starsza patrzała na to z podziwieniem, prawie osłupienia dochodzącem.

— Siostro Maryo — począł książę — Siostro Maryo! Bóg tak zrządził, abym bez twojego przebaczenia na świat lepszy

nie odszedł. Bogu miłosiernemu chwała na wysokościach. Przyszła ta godzina, o której proroczo mówiłaś w Rabce... o przebaczenie proszę...

Milczenie było straszne i długie. Wojźbunówna oczy sobie zakryła, zbierała myśli, ust otworzyć tak rychło nie mogła, aż powoli jasnym i wyraźnym głosem rzekła:

— Niech ci tak Bóg przebaczy, jako ja przebaczam...

Odetchnął Księżę Wojewoda, — rękę, którą trzymał, do ust przycisnął i westchnął puszczając ją.

Panna Starsza, znaczenia wyrazów tych nie rozumiejąc, stała domyślając się tylko, iż ona w tej chwili była narzędziem jakiejś woli Bożej, i myśl ta poruszała ją rozrzewnieniem i trwogą.

— Dajcie mi wody, panie kochanku — słabym głosem odezwał się książę. — Panna Wojźbunówna niech nie odchodzi, proszę o to bardzo, Pan Bóg ją zesłał... Była w tem wola Boża...

Gdy się to działo w sypialni, Wiśniowski cały przejęty i wystraszony, nie mógł w sobie tajemnicy strzymać i pobiegł z nią do siostrzeńca Księcia pułkownika Morawskiego.

Panie pułkowniku — zawołał — nic nie wiecie! Słyszeliście kiedy o jakiej Wojźbunównie?

— O jakiej? co? — spytał siostrzeniec — co za Wojźbunówna? co acan pleciesz?

Okazało się, że Morawski tyle tylko słyszał, iż niegdyś jakaś Wojźbunówna była księcia kochanką; oburzył się Wiśniowski na to.

— Jaką kochanką! — zawołał — pan pułkownik nie wiesz nic.

I po krótko mu opowiedziawszy historię, dodał:

— Otóż Wojźbunówna u łóżka Księcia... jedna z pańien miłosiernych.

Zląkł się Morawski, bo on był promotorem do tego wezwania, i wnet biedz chciał naprawić, co mu się omyłką zda wało. Gdy nadszedł do sypialni, Księżę pił właśnie tyzanne z rąk siostry Marii. Odwiódł zaraz na stronę pannę Starszą, pytając nastraszone, co się stało?

— Ja nic nie wiem — odpowiedziała mu — widzę, że coś dziwnego tu zaszło, czego zrozumieć nie mogę. Nic nie wiem...

Więc Morawski do łóżka się zbliżył, do księcia.

— Jak się wujaszek czuje? — zapytał — możeby wolął sam pozostać?

— Dobrze mi bardzo, panie kochanku — pospiesznie mruczał Księżę. — Jakto sam? dla czego?

I wnet dodał:

— Ani mi się waż tu dysponować, panie kochanku. Ja jeszcze przecie żyję.

Wojźbunówna stała jak posąg nad jego łóżkiem, zapatrzona w tę twarz, po której już naówczas śmierć chodziła. Łzy jej płynęły po wychudłych policzkach. Morawski zmieszany odstąpił.

Późna już noc była, cisza na zamku, jam stał u drzwi. Księżę, jak to bywa przed zgonem, mimo woli sennym chwilami był i usypiał, to się budził znowu. A ile razy się poruszył, pytał:

— Są siostry?

Na co starsza odpowiadała:

— Jesteśmy.

— A siostra Felicja?

Wieńc i ona zmuszona była też odpowiadać:

— Jestem.

— Proszę mnie nie opuszczać.

Ledwie mogąc wybełkotać te wyrazy, zasypiał znowu i budził się wkrótce, i powtarzało się to ciągle, przez noc całą.

Nazajutrz z rana trwoga padła na nas, bo już i lekarze i siostry i kto tylko zbliżyć się mógł do chorego, o życiu jego zwątpić musiał. Po kościołach dnia tego, u Fary, u Reformatorów, u Bazylianów, odprawiały się nabożeństwa z wystawieniem Przenajświętszego Sakramentu, aby Bóg księciu życie uchronąć raczył.

Posłano oprócz tego na nabożeństwa do Leśnej, do Kodnia. Dla dworu osobną mszę na tę samą intencję miał kapelan w kapliczce stojącej na zamku pod wałami, w której niegdyś ciało św. Józefata, wprzód nim do Bazylianów je przeniesiono, spoczywało. Wszyscy tu byli i mało nie wszyscy płakać musieli.

Pod wieczór już czując się gorzej, zażądał Księżę Wojewoda spowiedzi i ostatniego Sakramentu, ale sobie wymógł, aby się to odbywało bez żadnej pompy i okazałości. Gdy ksiądz kanonik od Fary nadszedł, i wszyscy sypialnię opuszczali, zażądał Księżę od panny Starszej, ażeby do klasztoru nie powracała i z siostrą Marią została przy nim.

— Już tego niedługo będzie! — rzekł do niej — proszę was, uczyńcie to, nie dla mnie, ale dla Boga.

I przyrzec musiały, poczem dopiero kanonika wpuszczono-

no. Spowiedź trwała z pół godziny, a choć osłabiony był bardzo i o swej sile podnieść się nie mógł, do Komunii zażądał wstać i uklęknąć.

Chciał ksiądz kanonik odwieść go od tego, ale się nie dał.

— Z Panem Bogiem żartów nie ma, panie kochanku — rzekł. — Radziwiłł, czy prosty chłop, musi mu czołem bić. Ja grzeszny człowiek jestem.

Narzucono mu więc futro, i wzięliśmy go pod pachy podtrzymując do Komunii świętej, przed którą bił się w piersi ze skrucłą wielką. Złożyliśmy go potem nazad do łóżka, a przez chwilę ze zmęczenia i impressji przemówić nie mógł słowa. Westchnął potem i rzekł:

— Wszystko tedy skończone, odchodzę, panie kochanku, a d p a t r e s ! ¹⁾ Bywajcie zdrowi!

Kanonik, który był pozostał, począł lepszą robić nadzieję, że częstokroć przyjęcie Sakramentów nie tylko dla duszy, ale i dla ciała jest pomocne. Ksiązę się uśmiechnął na to.

— Niech się dzieje wola Boża, panie kochanku — rzekł cicho — ja ochoty wielkiej do życia nie mam. Na nic się już nie przydałem, ślepy jestem, zawalidroga, więc do sklepu.

Spytałem zatem o panny, a że kanonik siedział przy nim, i czuł się istotnie orzeźwionym, zażądał, aby dozorczyńiom jego jeść przynajmniej dano i czem się posilić. W istocie bowiem ledwie wodą z winem i biskoptami do tej pory się krzepiły. Poszedłem więc ja, prowadząc pannę Starszą i Wojzbunównę do bocznej salki, gdzie naprędce nakryć kazał, a w kuchni zawsze coś było gotowego. Korzystałem

¹⁾ „Do ojców“ (w zaświaty).

z tego, aby się pannie Wojźbunównie przypatrzeć lepiej, która prawie nic nie tknąwszy, siedziała wielce zamyślona i widocznie tylko wielką siłą duszy broniła się, by nie okazać wzruszenia. Znać było jeszcze w niej i piękność dawną, szczególnie w oczach, i charakter energiczny, patrzała śmiało, powagę miała wielką, ale życie uczyniło ją przytem łagodną i słodczy w niej łączyła się z tą mocą charakteru. Zaledwie tyła w usta wzięwszy, ażeby głodu nie poczuć, wstały obie zaraz i do pokoju Księcia wróciły. Obok niego uprzątnięto im gabinet, ażeby od czasu do czasu mogły w nim pójść odpocząć spokojnie. Odszedł kanonik wkrótce, a że Księżę zdawał się cokolwiek lepiej i na sen mu się zbierało, doktor zaś zapewnił, iż gorączka się zmniejszyła, panny mogły pójść odpocząć do siebie, mnie zaś zostawiono na straży z Pulkowskim. Ponieważ Księżę się kilka razy o mnie pytał z przyzwyczajenia, Finke mi polecił, dopóki siostry nie wrócą, administrować Wojewodzie miksturę jakąś, którą piżmem czuć było po wszystkich pokojach, aż mnie od tego smrodu głowa bolała. Zegarki po temu mieliśmy przy sobie, bo bijące wszystkie pozatrzymywano.

W nocy zdaje się, że gorączka znowu przyjść musiała, bo Księżę budził się, zrywał, kołdry z siebie ściągał i nieustannie je poprawiał, gadał, śmiał się, potem wpadł w senność i chrapał tak strasznie, jakby już ostatnie grały organki. Panny naówczas przychodziły i ostawialiśmy go poduszkami do koła, podnosili, aby mu wygodniej było. Oddech coraz miał cięższy. Miksturę tę piżmową przyjmował z wielkim wstrętem, tak że mu ją niemal gwałtem łać było potrzeba w usta, a połowa jej zaraz się nazad wylewała.

Z północy panny poszły do swojego gabinetu odpocząć, Pułkowski usnął twardo, ja, aby uchowaj Boże nie zdrzemać się, wziąłem w papierek tabaki mocnej od Napiórki i tęp sobie prawie nieustannie w nos tkał, tak, że mi nazajutrz opuchł jak trąba. A miałem z nią biedę nie małą, bo swędziła mnie do kichania, a tu kichnąć było kryminałem; nos więc w rękę trzymać musiałem i z wielką z tem miałem mękę.

Po północy usłyszałem mruczenie niewyraźne. Świece paliły się, jak zwykle za zielonym parawanikiem, i blade tylko światelko na twarz mu padało. Spojrzałem, uśmiechał się jak za dobrych czasów, na twarzy mu się jakaś błogość rozlała, jakby wszelkiej pozbył się troski.

Usta poruszały się powoli, z początku cicho, potem mówił coraz wyraźniej, bardzo żywo i prędko, jakby przyspieszał mowę, by wypowiedzieć wszystko.

— Która godzina? Ha? nie wybiła jeszcze? Jestem gotów do drogi! Z Panem Bogiem rachunek zrobiony. Bywajcie zdrowi, panie kochanku, bywajcie zdrowi!

...Radziwiłłowszczyzny mi tu pilnujcie proszę, a zczecznać jej nie dawajcie. Pamiętajcie, bo się, panie kochanku, z tamtego świata wyproszę i przyjdę spytać o kalkulację.

...Już mi ramiona popuchły tyle wieków na nich dźwigając... i orły z trąbami. Hej! hej! panie kochanku! orły te niegdyś wysoko latały, a trąby głośno l a r u m grały światu; aż ptakom skrzydła poobcinano jak kurom, a trąby już chyba na pogrzeb zagrają. T u b a m i r u m...¹⁾

...Skończyło się, panie kochanku. Wojewodziński mun-

¹⁾ Tu „trąba wzywająca na sąd ostateczny“.

dur doszarzałem do nitki. Dajcie mi go do trumny, nikt w nim już chodzić nie będzie: dla tych cienkuszów zaprzestronny. Ale Bóg wielki, nad Radziwiłłami się zlituje! a jeśli przeważą grzechy nasze i przyjdzie kara, panie kochanku, umiejcie nosić nieszczęście tak jakeście szczęścia nosić nie umieli! Tylko się nie uginać, nie leżeć w błoto. Łachman purpurą się stać może, lepsze dziury niż plamy!

Przerywał tak sobie, jakby do kogo mówił i odpowiedzi czekał, a potem rozpoczynał na nowo.

Już idę, już idę. Widzę czekają na mnie w progu, Wojewodowie, Hetmani, Kanclerze, Biskupi... wołają ku sobie, idę, ojcowie kochani. Dajcie mi tylko jeszcze raz spojrzeć na moje zamki, grody i puszcze, na wsi i kraje. Trzy łokcie ziemi dosyć dla Radziwiłła.

...Aby tylko ta trumna Wojewodzińska ciasną nie była: ja lubię leżeć przestronno, panie kochanku, zwłaszcza, że tej pościeli nie na jedną noc ale do sądnego dnia, panie kochanku!

...Różaniec Sierotki dać mi do ręki, nie pożałujcie go. Jam też sierotą był i sierotą schodzę ze świata, jak palec sam! Bóg z wami, panie kochanku, nie płaczcie.

Zasnął, aż nad ranem zerwał się i zawołał:

— Trąb pogrzebowego w Radziwiłłowskie trąby! Niedźwiedź padł, ale skóra po nim pozostała.

I zawołał na mnie z nawyknięcia:

— Glinka? jest tam który? która godzina?

Pospieszyłem do łóżka, a panny też posłyszawszy głos nadbiegły. Obudził się przytomny i poprosił pić. Dała mu panna Starsza, ale usta ledwie umoczywszy w kubku, głowę

na poduszki opuścił. Poprosił o różaniec Sierotki i począł się modlić niby po cichu. A modląc się drzemał i budził, modlitwę rozpoczynając na nowo.

Widocznie już było, że ostatnia nadchodzi godzina. Cały dwór na nogach, w ciszy wielkiej czekał co Bóg zrządzi. Nad ranem znowu wody zażądał od Wojżbunówny, ale takim głosem, że go ledwie można było dosłyszeć. Biorąc kubek pocałował ją w rękę i wnet począł szeptać:

— W ręce twoje Panie...

A potem:

— Jezus, Marya, Józef!

Twarz okryła się bledością, pot wystąpił na czoło, usta zdawały się uśmiechać.

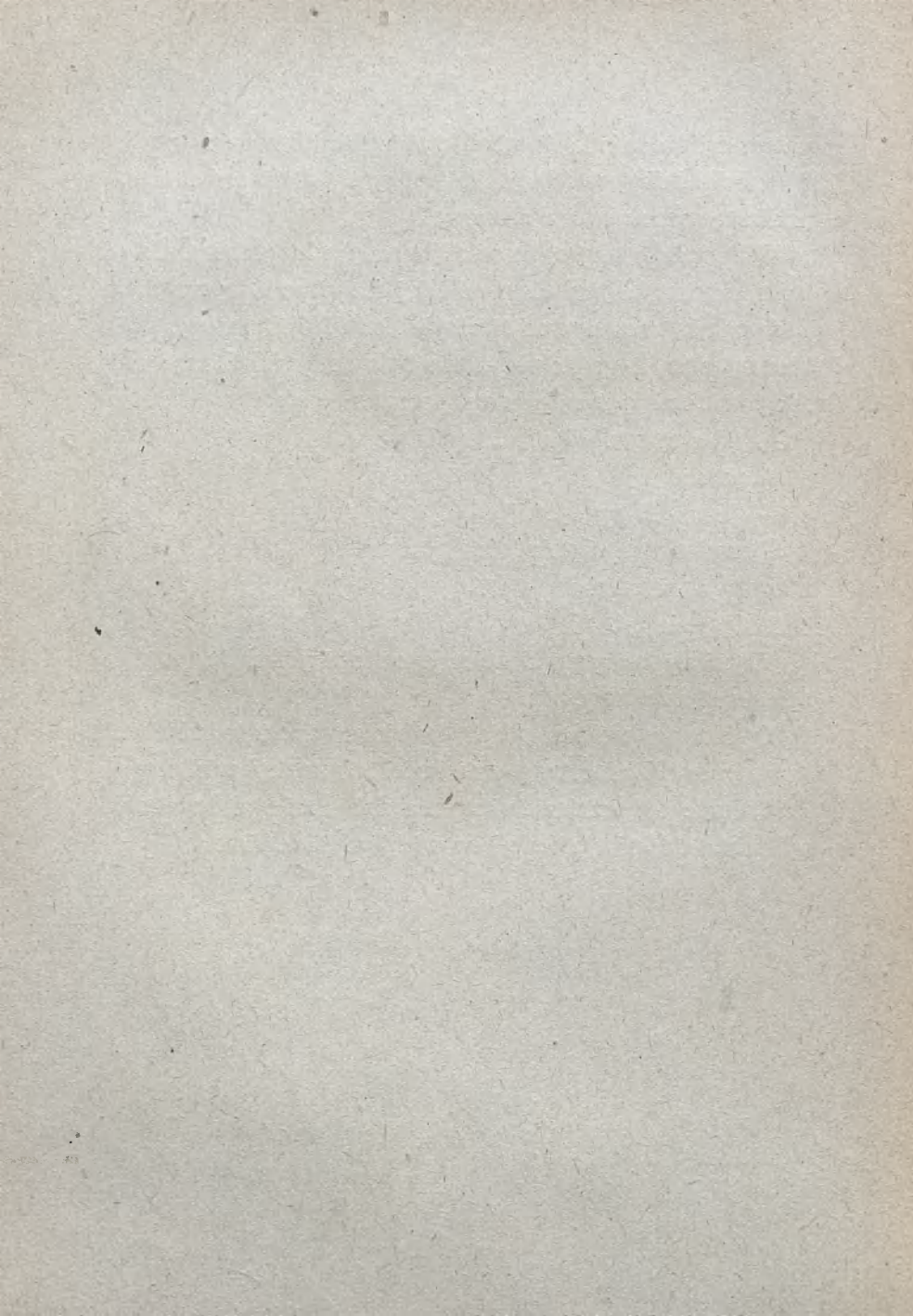
Księżę nie żył.

Klękliśmy wszyscy dokoła jego łoża, i ksiądz począł odmawiać modlitwy.

O brzasku we wszystkich kościołach poczęto bić we dzwony, i w miasteczku płacz a lament się rozległ wielki.

Wieczne odpocznienie racz mu dać Panie, a światłość wiekuista niechaj mu świeci na wieki wieków. Amen.

K O N I E C



INNE WCIELENIE LITERACKIEJ POSTACI KSIĘCIA „PANIE KOCHANKU“

NAPISAŁ

K. W. ZAWODZINSKI

Można powiedzieć, że pod imieniem ks. Karola Radziwiłła „Panie Kochanku“, wojewody wileńskiego, istnieją dwie niezależne od siebie i bardzo odmienne postaci naszej przeszłości. Jedna w płaszczyźnie rzeczywistości historycznej (ur. 1734 — 1790): postać zupełnie nieznacząca w stosunku do bogactw i możliwości życiowych przyniesionych z urodzenia. Bogacz największy bodaj w całej Rzeczypospolitej Polskiej, właściciel prywatny włości o przestrzeni równej co najmniej połowie królestwa Belgii¹⁾ w których mieszkało, nawet przy ówczesnym rzadkim zaludnieniu i obszarach błotnistych lasów, kilkaset tysięcy ludzi, w mniejszym lub większym, ale zawsze w wysokim stopniu zależnych od swego pana i władcy: byli to „pracowici“ — gleba e

¹⁾ Obliczenie moje opiera się na następujących danych. Tak zwana „masa radziwiłłowska“, tj. to co przeszło z głównej linii Radziwiłłów, której przedostatnim przedstawicielem był ks. Karol „Panie Kochanku“, do dwóch po kolei książęcych rodów niemieckich, wynosiła w momencie likwidacji, koło 1890 r., mocno już na wszystkie strony rozdrapana przeszło 900.000 ha; do tego trzeba doliczyć ordynację nieświeską, wynoszącą jeszcze w 1914 roku przeszło ćwierć miliona hektarów oraz rozmaite inne posiadłości, które przeszły do bocznych linii domu Radziwiłłowskiego. Nie licząc majątków rozdanych „ciepłą rączką“ przez samego Panie Kochanku oraz jego bratanka i spadkobiercę ks. Dominika, też wielkiego marnotrawcę, trzeba zwrócić uwagę w kalkulacji na

a d s c r i p t i — po wsiach, „sławetni“ i „niewierni“ po miastach i miasteczkach, a także wielka rzesza „urodzonych“ — oficjalistów, dzierżawców, funkcjonariuszów, administracji centralnej, palestrantów pilnujących interesów radziwiłłowskich, nie mówiąc już o liczniejszych niż na jakimkolwiek innym dworze pańskim w Polsce, różnych stopni dworakach i rezydentach oraz o dziesięciotysięcznej blisko sile zbrojnej, tworzącej regularne chorągwie i pułki różnych rodzajów broni, a stanowiącej garnizony kilku fortec, z których sam Nieśwież zaliczał się do najpotężniejszych w Rzpltej i dlatego był oficjalnym miejscem przechowania „metryki litewskiej“, archiwum urzędowych akt W. Ks. Lit. Jak widzimy, potęga rozciągająca się i pod względem uzależnionych rzesz ludzkich na miarę niejednego udzielnego księstwa, z tym, w dodatku, że zależność ta wynikała z prawa prywatnego, a nie publicznego, bądź co bądź, nawet w najbardziej absolutnych ustrojach państwowych, zostawiającego określoną sferę niezależności poddanym. Należałoby więc może raczej porównać stanowisko Radziwiłła z pozycją miliardera amerykańskiego, rzekomo równego wobec prawa każdemu ze

dobra skonfiskowane przez Rosję po pierwszym rozbiórze i na skutek udziału Radziwiłła w Konfederacji Barskiej. Są to, że wymienimy nazwy najbardziej znane, dobra siebieskie i newelskie, stanowiące nawet w proporcji fortuny radziwiłłowskiej bolesną dla nich stratę. Jak widać na oko, już doszliśmy do cyfry minimum półtora miliona ha, czyli 15.000 klm kw., to jest więcej niż połowa Belgii przedwojennej a o wiele więcej niż dziesiątki udzielnych księstw niemieckich, mając tu na myśli jedynie większe, te które dotrwały do pierwszej wojny światowej, nie mówiąc zaś o tym roju zmediatyzowanych w epoce napoleońskiej drobnych państweczek, z których po pokoju westfalskim składała się Rzesza.

swoich robotników, z którym wymienia uścisk dłoni przy nadarzonej sposobności, w istocie stojącego ponad prawem i to od urodzenia, jeśli nie należy on do rzędu tych, którzy w dzieciństwie sprzedawali gazety, lecz do rodowej arystokracji pieniężnej, do tej *soci  ty*, na której imaginacyjne życie patrzy z uwielbieniem i czułością, równą naszej dla sarmackiego magnata, widz amerykańskiego filmu. „Równość szans życiowych“, która rzekomo jest przywilejem obywatela U. S. A., była też i oficjalnym przywilejem każdego szlachcica polskiego¹⁾), urodzonego w tak surowo przestrzeganej równości i braterstwie, że byłoby dlań obrazą, gdyby w liście od tegoż Radziwi  ła nie znalazł zwrotu „Mi  ściwy Panie i Bracie“. Można jednak cho  by w  sanie na przyk  dzie ksi  cia Panie Kochanku stwierdzić iluzoryczno   tej równości: od najwcze  niejszej m  do  ci przeznaczony do wielkich i odpowiedzialnych urz  d  w publicznych, czternastoletni pose   na Sejm, m  dzie  czy Miecznik W. Ks. Litewskiego, z tym swoim wysokim tytu  em zwi  zany w legendzie z serią dzikich i bezkarnych wybryk  w, potem wojewoda wile  ski, kt  ra to pierwsza godno   senatorska w W. Ks. Litewskim dziedziczy   si   nieomal i nigdy prawie nie wychodzi   z domu Radziwi    w; otoczony, poza bezpo  rednio od niego zale  nymi, ca   koohort   „przyjaci    “ a raczej

¹⁾ Jednak, jak i w stosunkach ameryka  skich, potencjalnie realnym. Jak w  r  d miliarder  w s   „selfmademani“, tak i w dawnej Rzpltej przy zdolno  ciach, szcz  s  ciu i energii, mo  na by  o wspia   si   z do  w szlacheckich do najwy  szych godno  ci, a w ci  gu dw  ch pokole   a   na stopnie tronu, jak to widzimy na Sobieskim i Poniatowskim; obaj byli synami pierwszych wybitnych cz  lonk  w swych rod  w.

klientów, tradycyjnie oddanych jego domowi, przedstawicieli często starożytnych i możliwych samych przez się rodzin szlachty litewskiej, mając na każde skinienie głosy i szable tysięcy braci szaraczkowej z zaścianków, wciśniętych pomiędzy jego włości albo po prostu czynszowej — oto trampolina, z której księciu Karolowi, synowi hetmana W. L. i ostatniej przedstawicielki książęcego, a mającego w poprzednim wieku swego członka na tronie, rodu Wiśniowieckich, dane było wykonać skok w życie.

Tymczasem i w pamiętnikach ówczesnych i w opracowaniach historycznych czy historyczno-obyczajowych jego epoki dziwnie małe zajmuje on miejsce. Z wyjątkiem przez legendę najchętniej wstydliwym milczeniem pomijanej roli w konfederacji radomskiej, gdzie był on główną marionetką w ręku obcych potencji, nie widzimy go na stanowiskach decydujących i historycznie pamiętnych. W konfederacji barskiej, której niejako patronem duchowym czyni go epopea kontuszwowa, nie znajdujemy go ani w rządzie licznych rozślawionych partyzantów, Pułaskich czy Bierzyńskich i Sawów, ani choćby w jakimś nieudanym ale na większą skalę przedsięwzięciu, jakby wypadało magnatowi jego kalibru, narówni choćby z hetmanem Ogińskim, ani wśród wielkich intrygantów Generalności konfederackiej, reprezentujących przeważnie nieszczęśliwie, ale nie bez wydatnych efektów politycznych, Polskę przy stole gry ówczesnej dyplomacji europejskiej. Nawet pomiędzy tak licznymi typami jaskrawych oryginałów i awanturników, w które obfitował wiek XVIII, a o których rozwodzą się pamiętnikarze współcześni, nie zajmuje on poczesnego miejsca obok takiego Ksawerego Branickiego czy

Starosty Kaniowskiego. Najwyżej przytacza się go jako przykład ograniczoności umysłowej (Niemcewicz) i niedostatecznego, nieodpowiedniego człowiekowi jego stanu wychowania (H. Kołłątaj), co dziwi nieco, gdy się zważy, że jego matka była literatką, wystawiała na własnym nadwornym teatrze swe sztuki, w których była prekursorką dramaturgii stanisławowskiej, a w każdym razie jedną z kulturalniejszych wielkich dam swego czasu; po niej mógł on odziedziczyć twórczą fantazję czy skłonność do tworzenia fikcji, lecz nawet o jego legendarnej mitomanii nie zdarzało mi się spotkać autentycznych świadectw. Jeśli go porównamy z innym magnatem, współcześnie analogiczne stanowisko dzięki fortunie i urodzeniu zajmującym na Rusi, ze Szczęsnym Potockim, (nie z jakąś wybitną, pożał się Boże! indywidualnością — lichotę swojego charakteru ujawnił on wystarczająco w sprawie swego nieśczęsnego małżeństwa z Gertrudą Komorowską, dość przeczytać wydany przez Kraszewskiego zbiór dokumentów pt. *Starościna Bełzka*), to i tu trzeba powiedzieć, że pan Tulczyński pod każdym względem głośniejsze, większe miejsce zajmuje w historii, choćby anegdotycznej, czy to pierwszoplanową rolę w konfederacji targowickiej, czy przedtem niepozbowionemi gestu, a przynajmniej efekciarstwa patriotycznego wystąpieniami w epoce Wielkiego Sejmu, czy mecenatem artystycznym, upamiętnionym realną Sofiówką i poematem Trembeckiego, wziętego w starości na rezydencję, czy choćby wreszcie rozgłosem swego życia prywatnego z jego dwoma małżeństwami: nieszczęśliwie-romantycznym pierwszym i egzotyczno-skandalicznym ostatnim. Naprawdę, wyjątkowa chyba tylko mierność historycz-

nej postaci księcia wojewody wileńskiego mogła pozostawić go postacią tak małego znaczenia w stosunku do odziedziczonej, otrzymanej przy urodzeniu szansy życiowej.

Inną zupełnie osobą, innego kalibru, jest Książę Panie Kochanku w literaturze: żyje do dziś dnia trwalszem i jaśkrawszem życiem niż jakikolwiek inny z portretów galerii nieświeskiej. Trudno wyliczać wszystkie te dzieła literackie, w których jest on głównym bohaterem, a tem bardziej te, w których występuje epizodycznie na dalszym planie, albo choćby tylko pośrednio, jako stały paragon moralny, miernik najwyższych wartości, jako patron, duch opiekuńczy, istota sama epoki kontuszowej. Można by z naszej literatury w epoce romantycznej i późniejszej utworzyć cały cykl epicki, w którym książę Panie Kochanku gra rolę jakby Karola Wielkiego we francuskich *Chansons de gestes*, króla Artura w cyklu powieści Okrągłego Stołu lub księcia Włodzimierza „Krasnoje Sołnyszko“ w „kijowskim“ cyklu bylin wielkoruskich: potentat dobrotliwy lecz kapryśny, wokół którego drużyna bohaterów dokonywa wielkich czynów: na jego rozkaz, pod jego auspicjami, w okolicznościach rozpętanych jego wolą, czy nieostrożnością. Od wymienionych już władców, patronujących cyklom epickim, ale ujętych dość blado i schematycznie jako osobistości, różni się on bogatszą charakterystyką indywidualną, do której należy dowcip i fantazja niesłychanego łgarstwa, nieskalana nigdy wspaniałość duszy i osobista dzielność, ujawniona zwłaszcza w różnych okazjach burzliwej młodości. Nie tylko pod względem znaczenia i fortuny, ale i pod względem politycznym i obyczajowym ukazuje się on prawdziwym królem Litwy, zaćmiewającym

wszystkich współczesnych w Rzpltej magnatów, a wobec którego śmieszną i niegodną karykaturą majestatu wydaje się król warszawski, „stolnik litewski“, reprezentant „zepsutego wieku“, gdy cały zdrowy trzon społeczeństwa, patriotyzm i zdolność przetrwania nieszczęść, z ufną wiarą w lepszą przyszłość, są uosobnione w jowialnej i oryginalnej postaci ordynata nieświeskiego.

Kiedy, gdzie i w jakich okolicznościach urodziła się ta legendarna postać? Mogłoby to być przedmiotem obszernej rozprawy, na którą tu brak miejsca i brak odpowiednich materiałów. Jak mi się zdaje, narodziny jej związać należy z wileńsko-nowogródzką genezą naszego romantyzmu. Najwcześniejszy znany mi ślad istnienia tej legendy, ale już zupełnie sformowanej i rozkwitłej, znajdujemy w Panu Ta-deu-szu. Nieliczne wprawdzie, ale wymowne napomknienia, odnoszące się do Księcia Panie Kochanku, ukazują go takim, jakim w całej okazałości, jako główny bohater książki, ma wystąpić w Pamiątkach Soplicy, których geneza, jak wiadomo, jest w związku z mickiewiczowskim otoczeniem w epoce poprzedzającej powstanie Ostatniego Zajązdu na Litwie. Uderza też, że Henryk Rzewuski, tworząc powieść na tle czasów kontuszkowych, nie sięgnął ani do barwnej historii anegdotycznej ziem Ruskich, z którymi był ściśle związany, albo do bliższej mu tradycji rodzinnej, skąd mógł przecie wydobyć i ożywić tak ciekawe i charakterystyczne postaci, jak pradziada swego, znakomitego umysłem i zasługą, a niemniej godnie utytułowanego, hetmana Wacława, jak jego syna Seweryna, mniej może staropolskiego hetmana, zato fanatycznego ideologa ustroju staro-

szlacheckiej Rzeczypospolitej. Szedł więc widać torem wskazanym mu przez tę tradycję, w której skapał się, zetknąwszy się ze szczytami literatury polskiej w momencie przygotowującym Pana Tadeusza, ze środowiskiem, w którym „Radziwiłł Książę” żył już pełnią swego legendarnego żywota. Jak do tego doszło? Wydaje mi się, że dla potomków ubogiej przeważnie szlachty litewskiej, dla syna skromnego palestranta nowogródzkiego, jakim był Mickiewicz, który w dodatku niejedne wakacje spędził w jeszcze bliższemu promieniowaniu Nieświeża podległej okolicy nad brzegami Świtezi, postać przedostatniego, a ostatniego kontuszowego, przedstawiciela całej potęgi Radziwiłłów była z opowieści słyszanych w dzieciństwie czymś najwyższym jako potęga i władza człowieka na ziemi; od niego, jak od króla samowładnego, zależały losy tych wszystkich, wśród których wzrastał i rozwijał się Mickiewicz; o nim, jak o każdym królu wśród jego poddanych, krążyły anegdotki wyolbrzymiające dostrzegalne rysy charakteru; jak król w bajce, występował on jako czynnik decydujący w ostatniej instancji w rozwiązaniu każdej sprawy; jak król w bajce, jak Bóg w niebiosach, był on w mowie *tertium comparationis*, gdy chodziło o stopień najwyższy jakiegóż właściwości, („królewska uczta“, „boska rozkosz“ itp.) To też, gdy romantycy nasi, w braku własnego średniowiecza zwrócili się do tradycji im bliższej, do naszej epoki kontuszowej w poszukiwaniu materiału tematycznego dla epoki (a pierwociny tego odnajdujemy znowu u Mickiewicza, w pisanym w 1825 r. *Popasie w Upicie*), centralną postacią wysublimowanego sarma-

tyzmu stał się legendarny pod domową strzechą Księżę Panie Kochanku.

Kraszewski, choć wiele młodszy, wyszedł ostatecznie z wileńskich kół romantycznych, tam, w stolicy Litwy, spędziwszy burzliwe dlań i płodne wspomnieniami na całe życie lata uniwersyteckie. Jeśli chodzi o jego tradycje rodzinne, to aczkolwiek nie bezpośrednio w promieniowaniu Nieświeża, wzrastał on w kręgu oddziaływania drugiej stolicy Radziwiłłów, Białej Podlaskiej, gdzie w cieniu murów zamkowych minęła część jego lat szkolnych. Wszystko to czyniło go podatnym na przyjęcie legendy Księcia Panie Kochanku, więc też w niejednym jego utworze odnajdujemy artystyczne wcielenie tej postaci, niezależnie od historycznego oblicza, które Kraszewskiemu, wybornemu znawcy XVIII wieku i wybitnemu historykowi, było dobrze znane w swej nikłości, nikłe też zajmuje miejsce w czysto historycznych jego opracowaniach tej epoki. Kraszewski i w tej sprawie, jak w każdej innej, współżył duchowo ze swym społeczeństwem i był jego duchowym wyrazicielem: dla tego też legendarnego Panie Kochanku ożywiał w swych dziełach powieściowych i dramatycznych. Jednocześnie jednak był on umysłem wyższym i niepodległość przekonań łączył z oryginalnością sposobu widzenia, właściwą artyście; nieraz, w sprawach obchodzących społeczeństwo, umiał z godną uznania odwagą cywilną zająć stanowisko samodzielne i śmiało się wypowiedzieć. Ten dwoisty stosunek do powszechnie uznanych wartości odnajdujemy w naszych powieściach, pisanych już w ostatnim okresie twórczości, ale stanowiących dowód niesłabnącego jeszcze, w najlepszych jego chwilach, talentu. Do tych chwil naj-

lepszich należą właśnie lata 1872—1876, kiedy prócz tylu innych udanych, godnych pamięci utworów, powstają i są właśnie z wymienionymi datami związane, jakby niejako słupy graniczne tego odcinka czasu, głośne i powszechnie uznane arcydzieła znakomitego powieściopisarza: *Moritur i Stara Baśń*.

Dwie opowieści powstałe w tych czasach łączymy w jednej książce. Wewnętrznym ich związkiem jest nie tylko identyczność bohatera głównego ale też, i nadewszystko — tożsamość fikcyjnego narratora, doskonale w swej „mowie pozornie niezależnej“ wystylizowanego. W pierwszej z r. 1872, krótszej opowieści znajdujemy księcia Panie Kochanku już na schyłku życia, w otoczeniu dworu nieświeskiego, którego atmosfera komplikuje się — w porównaniu do obrazu danego przez innych współautorów jego epopei — motywami treści skandaliczno-erotycznej, ujętymi to w napomknienia, to w krótkie scenki humorów i kaprysów pana i władzy. Ze swą naiwną dobrodusnością, połączoną z legendarną hojnością, wyzyskiwaną przez obieżyświata, przebiegłego pochlebcę, zwyciężającego w grze zabawnych podstępów, którą możnaby ująć przysłowiem „trafiła kosa na kamień“, a gdzie dałoby się odkryć sporo anegdotycznych wątków wędrownych, znanych m. i. z bajki o „chłopku roztropku“ i jego panu, zręcznie przez Kraszewskiego zużytkowanych i odnowionych — książę zjawia się z tradycyjnymi rysami swej charakterystyki, nieodbiegając zbyt przytym, choć i niezupełny dureń, od swego historycznego prawzoru. Natomiast w drugiej opowieści, z r. 1875, uderza odmienna od tradycyjnej, majorowej, pełnej tężyzny, facecyjno-anegdo-

tycznej, w której są skomponowane inne fragmenty (i piór innych) tej wielkiej epopei radziwiłłowskiej, tonacja. Choć Radziwiłł występuje i tutaj z wielu tradycyjnymi rysami swej legendarnej postaci, choć idealizacja trwa, ale jakże odmienna jest tonacja! A przede wszystkim nie znajdziemy tu ideowego wybielenia sarmatyzmu. Radziwiłł jest tu indywidualnością wybitną, nic z durnia, przeciwnie góruje nad otoczeniem również i umysłowo; nic ze zbrodniarza bez sumienia, z pijanego i upojonego bezkarnością swawolnika, jakim był w młodości — przeciwnie, choć despota i pasjonat, ale zarazem „dusza-człowiek“, zrozumiałe, że władca dusz otaczającej szlachty i prawy „Książę Litwy“; koncepty jego i figle na tak wysokim poziomie, że to raczej jakiś mądry szyderca, filozoficzny błazen Szekspira, choć jednocześnie staropolski, szlachecki żartowniś; Jowialski, a przecież facecjonizm jego ma charakter swoistej, w oryginalną szatę przybranej, ponurej filozofii życia, na które już pada cień zbliżającej się śmierci. Szatą tą jest legendarne łgarstwo a raczej niewyczerpana w inwencji, niczym nieskrepowana fantazja opowieści, którymi skraca swoje długie bezsenne noce chorego, zabijającego czas rozmową z dyżurującymi przy jego łożu dworzanami: nie wśród wesołych uczt widzimy bowiem ks. Karola, ale oślepego, przeczuwającego rychły koniec, obracającego się wśród wspomnień burzliwej młodości i wśród widm dawno nieżyjących jej towarzyszy. Owe wspomnienia młodości też nie zawierają w sobie nic tak bardzo chwalebego i jawią się jakby w formie nie startej zgryzoty, dokuczliwych wyrzutów sumienia. Niepohamowana duma i jej kaprysy, zgodnie z rysami legendarnego oblicza,

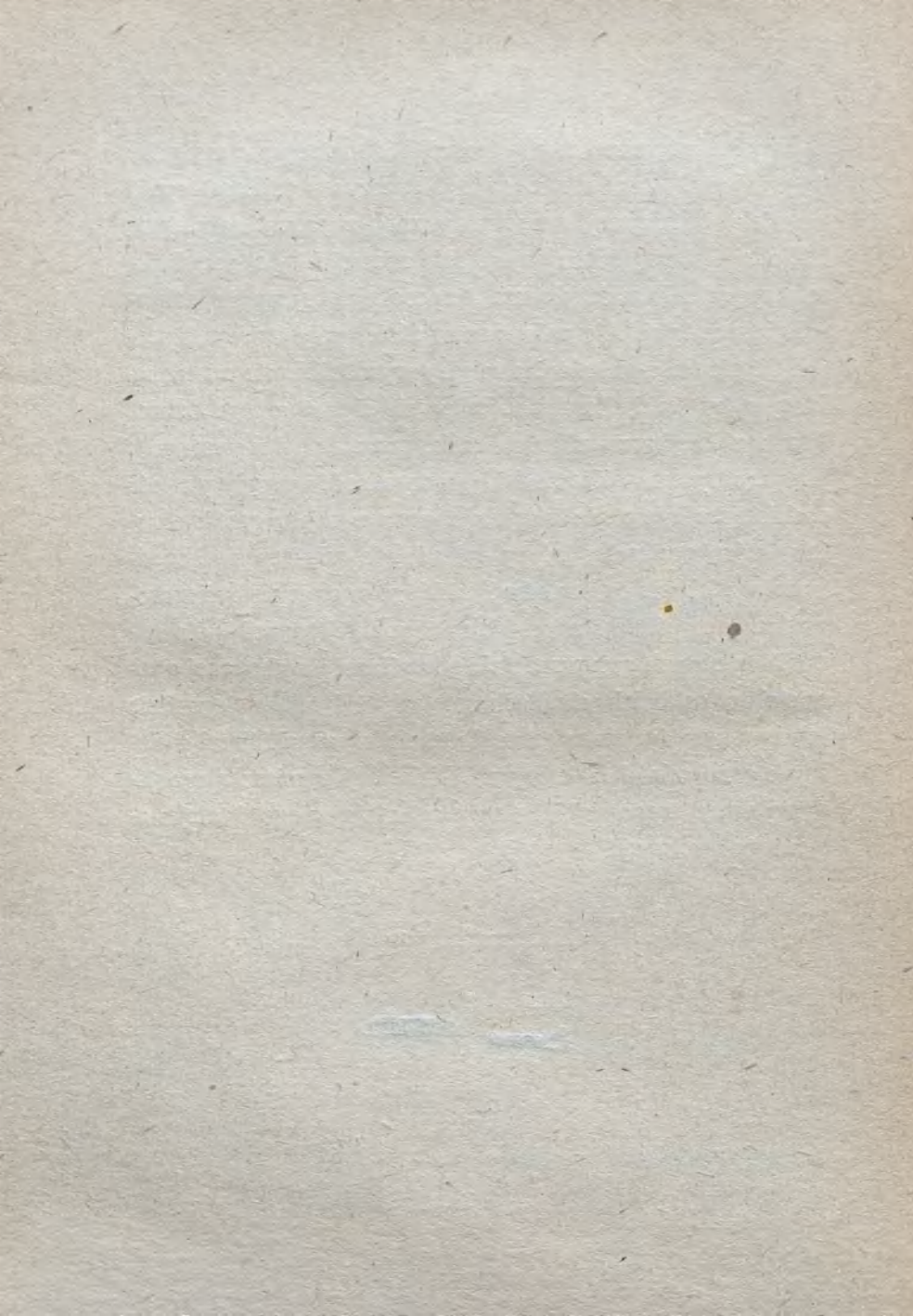
doprowadzają do konfliktów nie dających się gładko, szybko i sielankowo rozwiązać: przebaczenie tych win można uzyskać tylko na łożu śmierci.

Na czym te winy polegały, dzieje miłości, a raczej pańskiego sentymentalno-erotycznego kaprysu, poznajemy z rzutów sondy w przeszłość, kompozycyjnie stanowiących jakby użycie metody zastosowanej w naszych czasach w dwóch głośnych utworach wybitnych powieściopisarek doby międzywojennej: H. Boguszewskiej *Całe życie Sabiny* i M. Kuncewiczowej *Cudzoziemka*: przeszłość ukazana w nawrotach pamięci wstecz, w chwili przedzgonnej. W *Ostatnich chwilach księcia Wojewody* sposób ten ukazują się dzieje wielkiej winy umierającego niejako i fragmentarycznie; dokładnie są one przedstawione w zanotowanym przez fikcyjnego narratora opowiadaniu starego dworzanina, zajmującym na objętość całą połowę książki. Jest ono barwne i butne w tonie, a niemniej plastyczne i malarsko świetne od melancholijnych i jednolicie zabarwionych swych ram, którymi jest właściwa, bezpośrednio podana opowieść o ostatnich chwilach wojewody. Tę jednolitość należy szczególnie podnieść w rzędzie walorów artystycznych utworu dawno już, od chwili publikacji, bardzo wysoko i zupełnie słusznie ocenionego.

Nie wchodzimy tu w analizę wartości samego stylu, pełnego werwy, barwności, w miarę użytych archaizmów i tych niezliczonych metafor, wyrzutni i wyrażań obrazowych potocznej mowy, nadających stylowi zwężłość i malowniczość, a stawiającego go w rzędzie najlepiej napisanych narracyjnych utworów artystycznej prozy polskiej. Jeśli chodzi

o wspomnianą przed chwilą jednolitość nastroju, to możnaby ją porównać zaledwie z najwybitniejszymi dziełami epoki o wiele późniejszej, neoromantycznej, z prozą narracyjną „Młodej Polski“, gdzie wywołanie nastroju było przedmiotem specjalnej troski pisarza i sposobem lirycznego zabarwienia powieści. Ale wówczas właśnie, przy masowej produkcji, ujawniła się różnica między wyrobnikiem a mistrzem, którym był taki Zeromski. Niewiele się też z tego ostało. Reszta z Przybyszewskim na czele, „przeminęła z wiatrem“; jest więc tryumfem Kraszewskiego czytelność i sugestywność podzisiejsza jego o tyle starszego utworu, z jego nastrojowością, którą podkreśla jedyny epizod, nie wiążący się bezpośrednio z fabułą: opis zamku Bialskiego wydaje się być wprowadzony umyślnie dla pogłębienia ponurej tonacji i dla nadania żałobnych ram wspaniale pomyślanej i wykonanej opowieści o ostatnich chwilach postaci, żyjącej w legendzie intensywnym życiem rubasznnej wesołości, a znikającej z naszych oczu wśród makabrycznej dekoracji zamieszkałego jedynie przez wspominki zameczyska, olbrzymiego i majestatycznego grobowca.





W Y D A W N I C T W O
W Ł A D Y S Ł A W A B A K A
Ł Ó D Ź — W R O C Ł A W

W 60-tą rocznicę śmierci znakomitego pisarza
(† 1887 r.)

J. I. KRASZEWSKIEGO

przystąpiło nasze wydawnictwo do wydania serii

KRASZEWSKI
NA NOWO ODCZYTANY

Wybór powieści opracowany przez
K. W. Zawodzińskiego.

I seria: 12 utworów.

Poczytność Kraszewskiego, którą poświadczyć w czasie okupacji może każda wypożyczalnia i każda księgarnia, a którą po wojnie potwierdzają pośpieszne reedycje niektórych jego utworów i to tych samych niekiedy, w kilku firmach wydawniczych naraz — nie jest pozbawiona „odwrotnej strony medalu“:

„Zaczytane“ zostały egzemplarze najbardziej nawet pospolitych wydań jego powieści, co, łącznie z katastrofą Warszawy a zniszczeniem księgozbiorów domowych rodzin polskich na terenach włączonych do „Reichu“, uczyniło dzieła Kraszewskiego rzadkością bibliograficzną i uniemożliwia rozejrzenie się w całości jego spuścizny nawet zapalonym jego wielbicielom, tym bardziej, że bodaj ani jedna z wielkich bibliotek publicznych nie może się poszczycić kompletem jego drukowanych utworów.

Ten stan rzeczy jest jedną z przyczyn, dla których wydawcy obracają się w wąskim kręgu wciąż przedrukowywanych „szkolnych“ utworów Kraszewskiego, najczęściej jego „powieści historycznych“, nieraz najsłabszych pozycji jego olbrzymiego dziedzictwa, podczas gdy rzeczywiste skarby, dające miarę jego talentu i charakteryzujące go prawdziwie jako twórcę, pozostają nieznane dzisiejszej publiczności a nawet polonistom, fałszującym przez to obraz literatury polskiej XIX wieku, której Kraszewski w tak wysokim stopniu „magna pars fuit“.

Rozpoczynające się wydawnictwo jest właśnie próbą wyjścia poza ten magiczny krąg otaczający Kraszewskiego.

60-ta rocznica śmierci znakomitego pisarza († 1887 r.) zostanie najgodniej uczczona udostępnieniem szerokim kołom jego utworów zapomnianych, niekiedy przemilczanych za życia lub od dawna niewznawianych, a przecież aktualnych artystycznie albo społecznie dla dzisiejszego czytelnika.

To odkrycie na nowo Kraszewskiego, ukazanie go w nieoczekiwanym niekiedy świetle, rewelacja literacka równa nieomal odkopaniu w bieżącym stuleciu Norwida, materialnie urzeczywistni się przez dostarczenie tekstów w ich autentycznej postaci, stanowiących dosłowne a nawet literalne powtórzenie wydań, najbardziej prawdopodobnie odpowiadających intencji autora, z dodaniem przypisków, objaśniających obcojęzyczne lub niezrozumiałe wyrazy oraz nazwiska i nazwy geograficzne, których rozumienie jest niezbędne dla pojmowania tekstu. Pod względem wierności — będzie to zupełne przeciwstawienie skróconych i „ufryzowanych“ najczęściej przedruków Kraszewskiego w naszym stuleciu.

Każdy tom serii stanowić będzie osobną całość (wyjątkiem będzie powieść dwutomowa i dwa związane ze sobą mniejsze utwory w jednym tomie), w towarzystwie studium znakomitego krytyka prof. K. W. Zawodzińskiego, nawiązującego do utworu a oświetlającego jakąś stronę myśli lub arcyzmu Kraszewskiego.

Piękny papier, czytelny druk, czcionka odpowiednich rozmiarów, aby oszczędzić oczy czytelnika, i zewnętrzna prezentacja książki uczynią z niej pożądany nabytek i trwały fundament każdej biblioteki domowej.

Nie trzeba dodawać jak niezbędną będzie ta seria w każdym zakładzie nauczającym dziejów literatury polskiej lub badającym historię kultury naszej, której wszystkich pól pracownikiem niestrudzonym był Kraszewski.

Numeracja utworów serii będzie odpowiadała chronologii ich powstania, ale ze względów wydawniczych pojawiać się będą one niezależnie od tej numeracji.

Dotychczas wyszły z druku

SZALONA

Stron 370, format A 5, na pięknym białym papierze 80 gr.

jako „powieść charakteru“ jest rzadkim fenomenem nie tylko w granicach literatury polskiej. Jej heroina, bojowniczką postępu, reprezentantką radykalizmu polskiego, wczesniczka komuny paryskiej, jednocześnie urzekająca czarem erotyzmu „kobieta wyzwolona“ jest najzupełniejszym wyjątkiem na tle całych dziejów powieści polskiej, nie wyłączając najnowszej.

CZERCZA MOGIŁA

Stron 193, format A 5, na pięknym, białym papierze 80 gr.

Kraszewski w „Czerczej Mogiła“ wykazuje, że jest nie tylko świetnym realistą, ale także autorem, który może w dziedzinie literatury fantastycznej być zestawionym z najlepszymi twórcami tego rodzaju w literaturze świata.

Plastycznie narysowane środowisko, doskonała psychologia bohaterów i przykuwająca od początku do końca uwagę widza akcja, składają się na całość o wysokich wartościach artystycznych. „Czercza Mogiła“ może być śmiało zaliczona do arcydzieł literatury powieściowej w Polsce.

„Czercza Mogiła“ jest dowodem wszechstronności artysty Kraszewskiego. „Czercza Mogiła“ wyjątkowy w naszej literaturze okaz noweli, przepojonej ponurą fantastyką, jak romantyczna ballada, ale ujętej w formę „powieści kontuszowej“, niezwyklej energii i zwięzłości stylu, malowidło życia współczesnego a bliskiego geograficznie i społecznie środowisku „Pana Tadeusza“.

PAPIERY PO GLINCIE — OSTATNIE CHWILE KSIĘCIA WOJEWODY

Stron 300, format A 5, na pięknym, białym papierze 80 gr.

Dwa związane osobą bohatera i osobą narratora opowiadania „kontuszowe“, barwne i pełne prawdy, swym bezlitosnym realizmem sprzeciwiające się kliwej idealizacji starszylachetczyzny, rozpowszechnionej u współczesników Kraszewskiego.

W przygotowaniu:

LATARNIA CZARNOKSIĘSKA

Wielki (w pierwodruku dwie serie, po cztery tomiki każda) obraz obyczajowy Polski ówczesnej, jednocześnie pierwsza nowożytna powieść polska, bezlitosna analiza odmian uczucia miłości.

ukazały się następujące książki:

J. I. KRASZEWSKI

Powieści historyczne i obyczajowe:

KRZYŻACY

Tom I stron 196, tom II stron 188, format A 5, na pięknym białym papierze 80 gr,
w broszurze lub w jednej oprawie kartonowej.

Wielki powieściopisarz w powieści tej przedstawia nie tylko walkę Polaków z Krzyżakami i jej szczytową bitwę — pod Grunwaldem, ale sięga także do tych wszystkich przyczyn politycznych, które pozwoliły Krzyżakom się podnieść po ciosie zdawałoby się śmiertelnym. Charakteryzuje on Polaków, przedstawiając ich bohaterstwo, lecz również podkreśla wady ich, które wykorzystali Krzyżacy w sposób perfidny. Książka ta nie jest tylko gloryfikacją, ale także ostrzeżeniem dobitnym o szczególnie jaskrawej aktualności w naszych dniach. Czytelnik zrozumie historię współczesną i metody obecne Niemców jasno po przeczytaniu tej mądrej i natchnionej prawdziwym patriotyzmem i politycznym rozumem powieści. Jest ona niezbędna w każdym domu, w każdej szkole i bibliotece.

Fascynująca akcja, przedstawiająca dzieje krzyżackiej intrygantki politycznej, szpiega i truciicielki w jednej osobie, która wciska się do obozu polskiego, siejąc zamęt i śmierć, każe czytelnikowi z niesłabnącym na chwilę zainteresowaniem śledzić tok powieści.

Książka niezwykle zajmująca i aktualna!

ZYGMUNTOWSKIE CZASY

T. I str. 223, t. II str. 207, format A 5, papier biały, mat. 80 gr.

Znakomity pisarz przedstawił w tej powieści „złoty wiek“ narodu polskiego. Kraków z czasów Zygmunta Augusta staje jak żywy przed naszymi oczyma. Humanizm polski, epoka rozkwitu ducha polskiego, zmartwychwstaje przed nami. Uczestniczymy duchowo w życiu politycznym, umysłowym i społecznym Polski tego okresu — i odczuwamy, jak ścisłe więzy wiążą nas z historią narodową. Szczególnie dzisiaj, kiedy kłamliwa propaganda niemiecka usiłowała w nas zbudzić zwątpienie w wartości i piękno kultury polskiej, powieść Kraszewskiego jest niezwykle aktualna. Wykazuje ona jasno prawdę o dawności, żywotności i pięknie naszej kultury, związanej z ogólnoludzkimi prądami, ale zawsze zachowującej oryginalne, narodowe piętno.

Biblioteka bez „Zygmuntowskich czasów“, nie spełnia swego zadania narodowego.

W każdym polskim domu muszą być „Zygmuntowskie czasy“, by krzawić patriotyzm prawdziwy i słuszne poczucie wartości naszej kultury.

Stron 280, format A 5, papier biały, matowy 80 gr.

Czytając tę powieść, odnosimy nieraz wrażenie, że mamy przed sobą reportaż z ostatniej wojny. Wielki powieściopisarz z taką plastyką i wnikliwością opisał metody postępowania Zakonu Krzyżackiego, że ze zdumieniem rozpoznajemy w nich wzory nazbyt dobrze nam znanych metod hitlerowskich. Zainteresowanie nasze wzrasta z każdą przeczytaną stronką książki. Jakżeż bliska i zrozumiała jest dla nas postawa obrońców nieszczęśliwych Pilen! Chwilami wydaje nam się, że pisarz nie mówi o zamierzonych walkach Krzyżaków z Litwinami, lecz w świetnym reportażu przedstawia nam powstanie warszawskie.

Książka jest niezwykle aktualna i jako opis i jako ostrzeżenie przed zabobornością i okrucieństwem niemieckim.

Powinna się znaleźć w rękach każdego Polaka, szczególnie zaś młodzieży dorastającej! Lektura to szczególnie dla niej pasjonująca!

POWRÓT DO GNIAZDA

Stron 329, format A 5, na pięknym białym papierze 80 gr.

„Powrót do gniazda“ należy do najwartościowszych powieści historycznych Kraszewskiego. Znakomita znajomość historii pozwoliła wielkiemu powieściopisarzowi przedstawić w sposób plastyczny i z wielkim znawstwem psychologicznym wiek XVI w Polsce, kiedy to przenikały do nas z Zachodu ruchy reformacyjne. Środowisko polskie zostało odmalowane z wielką wnikliwością psychologiczną — równie interesujący jest obraz Wittenbergi. Na tle przeciwieństw narodowych, religijnych, kastowych rozwija się głęboko zajmująca akcja miłosna.

Powieść czyta się z niesłabnącym zainteresowaniem. Świetne połączenie elementów historycznych z powieściowymi, każe uważać „Powrót do gniazda“ za jedną z najcelniejszych powieści Kraszewskiego. Czytelnik nie tylko z zajęciem śledzi tok akcji, ale także uczy się przeszłości narodowej.

HISTORIA O JANASZU KORCZAKU I PIĘKNEJ MIECZNIKÓWNI

Tom I stron 195, Tom II stron 188, format A 5, na pięknym białym papierze 80 gr.

Jest to jedna z najpiękniejszych i najwięcej wzruszających powieści Kraszewskiego. Treścią jej jest szlachetna miłość Janasza Korczaka do wyższej od niego stanem pięknej Miecznikówny. Miłość ta została przez Kraszewskiego przedstawiona z niezwykłą subtelnością i delikatnością. Tłem tej uroczej sielanki są napady Tatarów oraz wyprawa wiedeńska. Powieść ta zawsze przez krytykę i historię literatury była uważana za skończoną arcydzieło — przez publiczność zaś rozchwytywana.

Kto kocha doskonale powieści o czystym i szlachetnym nastroju, musi posiadać w swej bibliotece tę godną największych mistrzów pióra sielankę.

Jest to jedna najwięcej czarujących powieści znakomitego powieściopisarza.

RZYM ZA NERONA

Stron 248, format A 5, na pięknym białym papierze 80 gr.

Rozwój chrześcijaństwa w starożytnym Rzymie jest tematem tej świetnej powieści historycznej. Kraszewski przedstawia plastycznie dwa światy — świat rozkładającej się kultury rzymskiej i powstającej kultury chrześcijańskiej. Wysoka wartość książki polega na pełnym erudycji opisie tych czasów. Obraz pogańskiego Rzymu jest zgodny z obrazem przekazanym nam przez historyków rzymskich. Społeczeństwo pogańskie występuje w nim z wszystkimi objawami rozkładu, ale także z zadatkami wyzdrowienia kulturalnego. Na tym tle ukazuje autor środowisko chrześcijańskie w sposób plastyczny i przekonujący.

Wartości wychowawcze tej znakomitej powieści jak i jej wysoka klasa artystyczna nakazuje ją zaliczyć do najwartościowszych powieści historycznych w literaturze polskiej.

Powinna się ona znaleźć w każdym domu polskim i w każdej bibliotece.

CHATA ZA WSIĄ

T. I str. 208, T. II str. 224, format A 5, papier biały, mat. 80 gr.

Powieści tej zalecać nie trzeba. Od chwili ukazania do dziś dnia była ona rozchwytywana przez najszersze warstwy czytelnice. Pasjonująca intryga, głębokie znawstwo psychologii, szlachetna tendencja wychowawcza, zawsze zachwycały ogół czytelnicy. Któż z starszego pokolenia nie odświeży z radością wspomnień z pierwszej lektury? Któż zaś z młodzieży nie chciałby przeczytać tej książki, która po trylogii Sienkiewicza była chyba najwięcej czytana i miłowaną przez całe pokolenia powieścią.

Ta historia nieszczęśliwej miłości cygana, opowiedziana przez wielkiego pisarza z plastyką i znakomitą talentem narracyjnym, uczy równocześnie szlachetnego humanitaryzmu. Stąd poza wartościami artystycznymi pochodzą jej wysokie walory wychowawcze.

W przygotowaniu do druku:

BANITA

POD BLACHĄ

KRÓL CHŁOPÓW

MISTRZ TWARDOWSKI

Z wydania zbiorowego dzieł S E W E R A (J. Maciejowskiego)

ukazały się następujące znakomite powieści:

MATKA

zatw. do użytku szkolnego pismem Ministerstwa Oświaty z daty 4. XI. 1946,
Nr VI OC-1439/46.

Str. 176, format A 5, papier biały, mat. 80 gr.

Świetna ta powieść obrazuje na podstawie opisu życia wielkiego pisarza Władysława Orkana karierę chłopca wiejskiego, który stał się dzięki energii i poświęceniu matki, gotowej do wszystkich ofiar dla dobra syna, wielkim pisarzem polskim. Doskonale narysowana postać matki, plastyczny obraz wsi polskiej, podkreślenie dodatknych cech chłopstwa polskiego, szlachetna idea, stanowią główne wartości tej powieści, która szczególnie dziś jest aktualna. Dobra ta artystycznie, a znakomita pod względem wychowawczym powieść, powinna się znaleźć nie tylko w każdej bibliotece, lecz również w rękach każdego czytelnika. Szczególnie w obecnym czasie, kiedy chłop stał się równouprawnionym współgospodarzem kraju, interesująca ta powieść zyskała na aktualności.

Nie można chłopca dobrze zrozumieć, nie znając „Matki” Sewera!

BAJECZNIE KOLOROWA

Stron 192, format A 5, papier biały, matowy 80 gr.

Jest to powieść w istocie „bajecznie kolorowa”. Przedstawia ona życie cyganerii artystycznej na tle wsi polskiej pod Krakowem. To połączenie życia artystów-malarzy z wsią polską, oparte zresztą na prawdziwej historii małżeństwa artysty-malarza Włodzimierza Tetmajera z córką chłopską, umożliwiło świetnemu powieściopisarzowi stworzenie powieści, którą czyta się „jednym tchem”. Tendencja, jak zawsze u Sewera, szlachetna podnosi wartość tej pasjonującej lektury.

Powinna się ona znaleźć w każdej bibliotece publicznej i prywatnej.

NA POBOJOWISKU

Stron 184, format A 5, papier biały, matowy 80 gr.

W tomie mieszczą się dwa opowiadania. W pierwszym przedstawia autor walkę Polaków na obczyźnie z zaborcą niemieckim. Bohaterska walka generała Bossaka-Haukego o wolność Polski i wszystkich narodów, jest tematem zajmującego opowiadania batalistycznego. Czytelnik z napięciem czyta opis bitw i potyczek z wrogiem. Śmierć bohatera wstrząsa głęboko, gdyż w nim krystalizuje się „polskość”, pięknie i plastycznie przez autora opisana.

W drugim humorystycznym opowiadaniu przedstawia autor promieniowanie kultury polskiej. Opowiadanie to wzrusza szlachetnym humorem.

Książka zainteresuje głęboko każdego czytelnika. Żywy i plastyczny sposób pisania Sewera nie pozwala na chwilę przerwać lektury, która posiada duże wartości społeczne i wychowawcze.

Książka powinna się znaleźć w rękę każdego czytelnika!

W bibliotekach jest nieodzowna!

W najbliższym czasie wyjdą z druku

BIEDRONIE

W serii poetyckiej naszego wydawnictwa ukazały się ostatnio następujące zbiorki:

WOJCIECH BĄK:

SYN ZIEMI

Stron 136, format A 5, papier biały, bezdrz. 70 gr.

Tom zawiera nowe poezje laureata nagrody „Wiadomości Literackich“ za najlepszą książkę w r. 1934 i nagrody literackiej Poznania za r. 1945. Utwory, zamieszczone w książce, były pisane w obozie pracy w Niemczech i po powrocie do Polski. Są one pamiętnikiem lirycznym ostatnich lat historii i dlatego są bliskie każdemu czytelnikowi, który przeżywał to, co autor przeżył i wyraził.

Wszystkie dotychczasowe tomy Wojciecha Bąka („Brzemie niebieskie“, „Śpiwna Samotność“, „Monologi anielskie“) już przed wybuchem wojny były wyczerpane, gdyż rozchodziły się w krótkim czasie po wydaniu. Obecnie nie można ich otrzymać ani w księgarskim ani w antykwarycznym handlu. Nie wątpimy, że także obecny tom zostanie w krótkim czasie wyczerpany. Każdy miłośnik poezji polskiej powinien tom ten mieć w bibliotece.

ROMAN KOŁONIECKI:

ELEGIE ZIELONOŚWIĄTECZNE

Stron 72, format A 5, papier biały, bezdrz. 70 gr.

Nowa książka poetycka świetnego poety i znakomitego tłumacza poezji Valéry'ego.

Każda książka Kołonieckiego zachwycała czytelnika poezji pięknym i szlachetnym wierszem oraz prawdziwym artystem. Kołoniecki należy do poetów o niezwykle wyczulonym zmysle estetycznym. Jest to wyjątkowo czysty poeta.

„Elegie Zielonoświąteczne“ nie tylko utrzymują ten sąd o Kołonieckim, ale wzmacniają go. Jest to bowiem najdojrzalsza książka tego świetnego poety — książka, która wywalcza dla niego jedno z najpierwszych miejsc w poezji współczesnej.

Znakomity poeta wypowiada w nieskazitelnym wierszu, świadczącym o najlepszej szkole francuskiej, swoje przeżycia i zadumę melancholijną nad rzeczywistością.

Stanowisko Kołonieckiego w poezji polskiej współczesnej jest zupełnie oryginalne. Nie ma pełnego obrazu tej poezji ten, kto nie zna „Elegii Zielonoświątecznych“

WOJCIECH BĄK:

PIĄTA EWANGELIA

Stron 86, format A 5, papier biały, bezdrz. 70 gr.

Nowa książka znanego poety nie jest właściwie, ściśle biorąc, zbiorem luźnych wierszy, ale poematem, w którym opis liryczny „czasów grozy“ jest ściśle połączony z refleksją i uczuciem grozy i nadziei.

Jest to mimo bolesności przedstawionych cierpień wojennych poemat radosny o nadziei. Nie ma w nim rozpacz, pesymizmu, braku zaufania do ludzkości.

„Piąta Ewangelia“ przede wszystkim tym swoim optymistycznym, radosnym nastrój różni się od wszystkich zbiorków, które po wojnie wyszły.

Poemat ten, w którym została wyrażona wiara w zwycięstwo dobra nad złem, prawa nad gwałtem, prawdy nad błędem nie jest bynajmniej wyrazem jakiegoś hurra-optymizmu. Nie są to krzykliwe, a mało przekonujące wiersze zadowolonego z siebie i świata naiwnego optymisty, który dlatego ma wiarę w przyszłość, że nie widzi rzeczywistości. Wręcz przeciwnie: poeta uświadamia sobie całą jej nędzę i grozę, odzuwa ją — a mimo to głosi nadzieję.

Już wyszły z druku następujące utwory dramatyczne:

WOJCIECH BĄK:

SŁUGA DON KICHOTA

Tragikomedia znanego poety nie jest bynajmniej powtórką udratyzowaną Don Kichota Cervantesa. Autor w oryginalny sposób zmienił akcję, stawiając bohaterów genialnego powieściopisarza hiszpańskiego w nowe warunki i okoliczności.

Aktualna i interesująca problematyka moralno-społeczna utworu niewątpliwie zajmie czytelnika. Oryginalne ujęcie zagadnień wiecznych, a dziś szczególnie aktualnych, pozwoli mu śledzić akcję z zacięciem.

Don Kichot, rzekający się posłannictwa, Sanszo Pansa, który się porywa do działalności rycerskiej — cały splot zagadnień moralnych, związany z przeżyciami wielkiego rycerza i jego sługi stanowi temat tego interesującego utworu.

Każdy miłośnik literatury pięknej powinien przeczytać „Sługę Don Kichota“, utwór oryginalny, interesujący i aktualny. Znajdzie on w nim nie tylko akcję interesującą, lecz także ciekawie przedstawioną problematykę współczesną.

Książka nadaje się do bibliotek wszelkiego typu.

WOJCIECH BĄK:

ŚWIĘTY FRANCISZEK

Postać „biedaczyny z Asyżu“, którą zwykle przedstawia się w sposób konwencjonalno-słodkawy, została w tym utworze narysowana oryginalnie. Podkreślono bardzo dramatyzm życia wielkiego świętego. Życie to było tragiczne. Tę niekonwencjonalną prawdę świętości starał się autor plastycznie przedstawić.

Nie potrzeba podkreślać, jak aktualna jest dzisiaj postać świętego Franciszka z Asyżu. W czasie, gdy jeszcze żywo stoją nam przed oczyma objawy zdziczenia moralnego, na które patrzyliśmy w czasie okupacji, myśl o genialnym poecie świętości, jakim był św. Franciszek, pozwala nam z radością i nadzieją myśleć o ludzkości.

Misterium znanego poety w plastyczny sposób wywołuje przed nami postać wielkiego świętego. Autor ustrzegł się banalnego dewocjonalizmu, który tak często psuje wszelkie utwory literackie, poświęcone zagadnieniom i postaciom religijnym, co pozwala nam wczuć się w wielkość i świętość św. Franciszka.

Misterium to powinno się znaleźć w rękach każdego czytelnika polskiego, dla którego zagadnienia religijne i moralne są ważne.

Utwór ze względu na wartości wychowawcze powinien się znaleźć w każdej bibliotece!

W przygotowaniu:

WOJCIECH BĄK:

ANTOLOGIA POEZJI POLSKIEJ

W naszym wydawnictwie ukazała się znakomita powieść:

LEW TOLSTOJ
HADŻI MURAT

Stron 224, format A 5, papier biały, matowy 80 gram.

1-sza powieść z 1-szej serii

Arcydzieła powieści rosyjskiej.

Genialny pisarz rosyjski przedstawia walkę caratu z dążeniami niepodległościowymi narodów, uciskanych przez carską Rosję. Jest to namiętne oskarżenie absolutyzmu carskiego, jego tyrańskich metod rządzenia oraz biurokracji carskiej. Tolstoj broni praw narodów małych, uciskanych przez administrację rosyjską owych czasów, dążącą do zniszczenia ich i całkowitego podporządkowania centralistycznym planom carskiego despotyzmu.

Tło egzotyczne, głębokie wczucie się w psychikę bohaterów, oburzenie moralne na carską despotyczną Rosję, depcząca wszelką wolność — są głównymi wartościami genialnego opowiadania.

W tym samym tomie opowiadanie: „Za co?“, przedstawiające męczeństwo Polski pod uciskiem carskim. Oba opowiadania są nie tylko wielkimi dziełami sztuki, lecz także głębokim przeżyciem genialnym. Powinny się znaleźć w każdej bibliotece! Zasluguja na to jako dzieła genialnego artyzmu i głębokiego przeżycia moralnego!

II-ga powieść 1-szej serii

F. GŁADKOW:

TESTAMENT OJCOWSKI

Stron 282, format A 5, papier biały, matowy, 80 gr.

Opowiadania Gładkowa, przedstawiające życie rosyjskie podczas wojny z najęźdźcą hitlerowskim, zainteresują każdego czytelnika. Pozwalają one głębiej wniknąć w życie społeczeństwa rosyjskiego i zrozumieć jego energię i konsekwencję w walce z żaborcą. Gładkow w sposób jasny precyzuje stanowisko narodu rosyjskiego, w którym całe społeczeństwo karnie stanęło do walki.

Te opowiadania, przedstawiające życie poza frontem pozwalają nam pojąć, że także poza frontem strategicznym istniał nie mniej ważny front wewnątrz kraju.

Współdziałanie zdyscyplinowane tych obu frontów zdecydowało w największej mierze o zwycięstwie.

Każdy, kto chce zrozumieć nastrój w Rosji podczas wojny, powinien przeczytać opowiadania Gładkowa. Pisarz rzuca jaskrawe światło na życie rosyjskie, pokazując je w chwili największego wysiłku w celu osiągnięcia zwycięstwa.

Czytelnik polski z wielkim zainteresowaniem przeczyta na pewno tom Gładkowa. Książka nadaje się do bibliotek wszelkiego typu.

W najbliższym czasie ukaza się następujące książki:

A. S. PUSZKIN: **CÓRKA KAPITANA**

N. W. GOGOL: **MARTWE DUSZE**

I. TURGIENIEW: **OJCOWIE I DZIECI
DYM**

SZLACHECKIE GNIAZDO

M. GORKIJ: **RUDIN**

FOMA GORDIEJEW

Znakomite powieści dla młodzieży:

CERVANTES:

DON KICHOT

Stron 192, 8 ilustracyj na kredzie, twarda oprawa z ilustracją kolorową, format A 5, papier biały, bezdrz. 90 gr.

Arcydzieło Cervantesa przez wieki całe nic nie straciło z piękna i uroku. Każde pokolenie potwierdzało sąd o jego nieśmiertelnych wartościach. Poeci opiewali je, powieściopisarze często wzorowali się na nim, a także dramaturgowie czerpali z niego wątek.

Największymi jednak wielbicielami arcydzieła byli zawsze młodzi chłopcy i dziewczęta. Opracowania Don Kichota dla młodzieży cieszyły się zawsze niezwykłą popularnością. Ten nieszczęśliwy rycerz pociągał serca młodzieży szlachetnością i poświęceniem dla wielkich idei ludzkości. Wyciskał z oczu łzy, budził współczujący śmiech — i co najważniejsze umacniał i utrwalał miłość do bliźnich, szczególnie dla nieszczęśliwych i pokrzywdzonych.

Wydanie Don Kichota w nowym opracowaniu uważaliśmy nie tylko za potrzebę społeczną, ale wręcz za konieczność. Don Kichot jest najpiękniejszym podarunkiem dla młodzieży.

Nieśmiertelny rycerz, który przez tyle wieków był umiłowany przez młodzież wszystkich narodów, na pewno z taką samą miłością będzie przyjęty przez współczesną młodzież.

Don Kichot to nie tylko doskonała powieść dla młodzieży, ale także utwór o najwyższych wartościach wychowawczych.

G. ZIELIŃSKI:

MANUELA

Przemyślenia Polaka, służącego w armii napoleońskiej, w okupowanej przez Francuzów Hiszpanii, wzbudza głębokie zainteresowanie czytelnika.

Plastyczny opis Hiszpanii, sceny batalistyczne i obyczajowe nie pozwolą mu odłożyć na chwilę książki. Obyczaje hiszpańskie zostały w powieści z dużym znawstwem i umiejętnością przedstawione.

Wzruszająca jest miłość Polaka do pięknej Hiszpanki, Manuely. Dzieje tej miłości zostały przedstawione z wielką umiejętnością i znawstwem psychologii. Akcja rozwija się żywo na egzotycznym tle geograficznym i historycznym.

Szczególnie nadaje się „Manuela” na lekturę dla młodzieży. Będzie ona dla niej lekturą pasjonującą, choć także starszy czytelnik z przyjemnością wielką przeczyta tę interesującą i pełną prawdy życiowej powieść.

Książka powinna się znaleźć w każdej bibliotece, gdyż stanowi lekturę zajmującą i pożyteczną!

W serii historyczno-literackiej ukazały się:

K. W. ZAWODZIŃSKI:

STULECIE TRÓJCY POWIEŚCIOPISARZY

Znakomity krytyk literacki K. W. Zawodziński omawia twórczość Sienkiewicza, Orzeszkowej i Prusa. Studium jego nie potrzeba zalecać. Cechuje je wnikliwość sadu, doskonała znajomość literatury powieściowej i zrozumienie dla społecznego jej podłoża.

Książka jest nieodzowna dla każdego miłośnika wielkiej trójcy powieściopisarzy. Znajdzie on w niej wiele oryginalnych sądów i nowe oświecenie postaci klasycznych naszych powieściopisarzy. Szczególnie zainteresuje go podkreślenie społecznych wartości i prądów, których wyrazicielami są wymienieni powieściopisarze. Ta głęboka analiza społeczna stanowi pierwszorzędną wartość studium Zawodzińskiego.

Książka powinna się znaleźć w każdej bibliotece, gdyż pozwoli ona głębiej zrozumieć twórczość powieściową z epoki pozytywizmu, usuwając wiele nieporozumień i ustalając nowe stwierdzenia.

Studium Zawodzińskiego jest niezbędne dla kształcącej się młodzieży.

Zawodziński wykazał w swej książce, że jest obecnie najkompetentniejszym znawcą naszej powieści.

H. M. DĄBROWOLSKA:

O KAROLU IRZYKOWSKIM

Karol Irzykowski należy do tych wybitnych umysłów, których stratę tym boleśniej odczuwamy, im więcej czas nas od nich oddala. Śmierć jego jest jednym z najboleśniejszych ciosów, jakich kultura polska doznała w minionej wojnie. Ten krytyk i myśliciel, którego można zestawiać tylko z największymi umysłami polskimi w przeszłości, wywarł głęboki wpływ na współczesność. Nie ulega wątpliwości, że wpływ ten będzie się wzmagał z każdym rokiem.

Książka H. M. Dąbrowskiej kreśli niezwykle plastycznie sylwetkę wielkiego krytyka. Niezlomność postawy moralnej, odwaga cywilna, szlachetność i głębia występują wyraźnie na tle losów Irzykowskiego. Wzruszający do głębi jest opis tragicznych przeżyć i śmierci wielkiego człowieka. Wyżyna moralna, na której stanął Irzykowski, jest przedstawiona ze zrozumieniem i wnikliwością psychologiczną. Książkę czyta się jak najwięcej zajmującą powieść!

Człowiek kulturalny nie może pominąć książki Dąbrowskiej o Irzykowskim! Znajdzie on w niej nie tylko opis życia krytyka, lecz także wielkiego, szlachetnego człowieka. Ta ludzkość Irzykowskiego zbliża go nie tylko do ciasnego grona miłośników literatury, lecz do wszystkich ludzi bez wyjątku.

Do książki dołączono nigdzie nieogłoszone dotychczas fragmenty prac znakomitego krytyka!

Książka powinna się znaleźć ze względów na głębokie jej wartości intelektualne i moralne w każdym domu polskim. Obowiązkowo powinna być w każdej bibliotece!

W druku:

WOJCIECH BĄK:

ZAGADNIENIA I POSTACIE

Wydawnictwo WŁADYSŁAWA BĄKA

ŁÓDŹ — UL. PIOTRKOWSKA 153

Konto P. K. O. Nr VII - 4360 — Telefon 276-39

Zamówienia wykonujemy odwrotną pocztą za pobraniem pocztowym.
Kosztów przesyłki i opakowania nie doliczamy.

W wydawnictwie naszym uka-
zała się znakomita powieść:

J. I. KRASZEWSKI

SZALONA

Str. 372, format A 5, na pięknym
białym papierze 80 gr. Cena 600 zł.

1-sza powieść z 1-szej serii

KRASZEWSKI

NA NOWO ODCZYTANY

pod red. prof. Uniw. Toruńskiego
K. W. Zawodzińskiego

jako „powieść charakteru“ jest
rzadkim fenomenem nie tylko
w granicach literatury polskiej.
Jej heroina, bojowniczką postę-
pu, reprezentantką radykalizmu
polskiego, uczestniczką komuny
paryskiej, jednocześnie urzeka-
jąca czarem erotyzmu „kobieta
wyzwolona“ jest najzupełniej-
szym wyjątkiem na tle całych
dziejów powieści polskiej, nie
wyluczając najnowszej.

Wartość tej znakomitej powie-
ści jak i jej wysoka klasa arty-
styczna nakazuje ją zaliczyć do
najwartościowszych powieści w
literaturze polskiej.

Powinna się ona znaleźć w
każdym domu polskim i w każdej
bibliotece.

Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000914469



II 756426

